Sylwia
WINNIK
OCALONA
O miłości,
która narodziła się
w Auschwitz

Sylwia
WINNIK

OCALONA

MUZA

Projekt okładki: *Urszula Gireń*
Redakcja: *Magdalena Zabrocka*
Redaktor inicjujący: *Barbara Czechowska*
Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*
Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*
Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *Barbara Milanowska*, *Katarzyna Głowińska (Lingventa)*

Zdjęcia:
© Natasza Fiedotjew/Trevillion Images
© Freepik

© for the text by Sylwia Winnik
© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2025

ISBN 978-83-287-3375-6

MUZA SA
Wydanie I
Warszawa 2025

Ten e-book jest zgodny z wymogami Europejskiego Aktu o Dostępności (EAA).

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA
ul. Sienna 73
00-833 Warszawa
tel. +4822 6211775
e-mail: info@muza.com.pl
Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl
Wersja elektroniczna: MAGRAF sp.j., Bydgoszcz

Mojej przyjaciółce Annie

Każdy chce zmieniać świat,
ale nikt nie chce zmieniać siebie.

LEW TOŁSTOJ

Prolog

Warszawa

1935 rok

Smak gorzkiej czekolady pozostał w pamięci małej Letycji na długo. Kostka rozpływała się przyjemnie, najpierw trochę chropowata, później płynna, oblepiająca język i podniebienie. Z początku wyczuwało się w niej nutę goryczy, ale po kilku minutach przebijała się delikatna słodycz, która pozostawała na dłużej.

Letycja wierciła się niespokojnie na krzesełku wedlowskiej pijalni czekolady przy ulicy Szpitalnej, wyglądając zza stolika w stronę lady. Ekspedientka w białym, eleganckim stroju przygotowywała dla niej gorący napój. Tatuś głaskał ją po burzy jasnych loków, by opanować jej zniecierpliwienie. Uczył ją, że to, co ma czasem gorzki smak, wcale nie musi pozostać na zawsze gorzkie. To właśnie mówił, gdy pytała, dlaczego najpierw dostaje kawałek ciemnej czekolady, a nie mlecznej. Siedziała na krześle, nie dosięgała nogami do podłogi, więc machała nimi beztrosko. Miała tylko dziewięć lat.

Wtedy, na cztery lata przed wojną, nie mogła wiedzieć, że przy tym samym stoliku usiądzie za kilkanaście lat z kimś zupełnie innym. Nie mogła też wiedzieć, że mogiły jej

rodziców nie zostaną odnalezione do końca jej życia. Być może wyrosną na nich sosny i krzaki jałowców i będą się piąć ku niebu niemal jak dusze ciał uwięzionych pod ziemią.

Warszawa

czasy obecne

Twarz, która odbijała się w lustrze, w niczym nie przypominała tej sprzed roku. Zafarbowane włosy, zbyt ciemne jak na jasną i piegowatą cerę dziewczyny, uwydatniały jej kości policzkowe i oczy podkrążone od nieprzespanych nocy. Ich kolor był dokładnie taki sam jak kolor oczu jej matki. Przejrzyście niebieski. Ojciec cały czas powtarzał, że ta czerń, którą się otaczała, nie pasuje do jej natury ani do tego, kim jest – córką zamożnego rzeźbiarza. Choć żałoba już minęła, śmierć matki nieodwracalnie wyrwała jakąś niezbędną do życia część z serca Grety. Emilia była nie tylko jej matką, ale i bratnią duszą, podobnie wrażliwą na świat.

Greta nie umiała albo nie chciała pogodzić się z przeszłością, choć dobrze wiedziała, że tylko puszczenie tych lin, które przeciągała z losem o własny spokój, mogłoby ją uzdrowić. Trzymała je jednak kurczowo. Bała się, że jeśli postąpi inaczej, zapomni. Bała się, że straci kolejną nić łączącą ją z matką – wspomnienia mocno zakorzenione w podświadomości, które w żadnym wypadku nie mogły być utracone. Greta więc codziennie wracała w myślach do zapachu, jaki unosił się wokół jej matki. A ta pachniała wiatrem. Jakiegoś rodzaju wolnością, niezależnym podejściem do świata, choć jak nikt inny związana była

z domem i otaczała go troską. Była jego bijącym sercem. Wraz z jej śmiercią mury okryły się mrokiem. Niby niewidocznym dla oczu, a odczuwalnym tak bardzo, że aż bolesnym.

Gdy Greta była mała, nie rozumiała, skąd we włosach matki bierze się zapach wiatru. Wieczorami często zanurzała twarz w burzy jej jasnych loków, ułożonych niedbale na poduszce, podczas gdy Emilia śpiewała z zamkniętymi oczami kołysankę, którą nuciła jej kiedyś babka. Greta dobrze pamiętała delikatne dłonie matki, gładzące wtedy jej policzek.

Z wiekiem przyszła odpowiedź. Greta uświadomiła sobie wtedy, że codzienność z mężem rzeźbiarzem, artystą żyjącym według własnych zasad, nie była dla jej matki łatwa. Ucieczki do lasu i długie przebywanie na łonie natury pozwoliły Emilii wytrwać. Dla córki. Jak mitologiczny pelikan przebijała własne serce, by jej dziecko kwitło. A im Greta była starsza, tym więcej było wokoło wiatru. Wkrótce matka zginęła w wypadku. I zniknęła tak bardzo, że mocniej już się nie dało.

Rozdział I

Warszawa

czasy obecne

Wierzchołki sosen poruszane wiatrem niebezpiecznie zakołysały się we wszystkie strony. Echem niosło się wyraźne, ale stłumione skrzypienie. Greta spojrzała w górę. Lubiła ten widok sprawiający wrażenie, że drzewa nachylają się w jej stronę, jakby chciały ją otulić. Jakby ją obserwowały. Łypały na nią. Szeptały coś między sobą. Czuła to w szumie wiatru przedzierającego się przez wąskie przestrzenie między igliwiem.

Często zastanawiała się nad tym, co powiedziałyby drzewa, gdyby mogły mówić. Co powiedziałby wiatr... Czuła się mała. Dla potęgi natury miała respekt. I chyba już tylko takiej siły, pochodzącej z natury, się bała.

* * *

Dzień jak wiele poprzednich niknął w gestach rutyny i znudzenia, ale jednocześnie dłużył się w nieskończoność. Greta miała czasami wrażenie, że od dawna nic nie jest jak należy i że nigdy już się to nie zmieni.

Zazwyczaj budziła się o piątej rano równie zmęczona, co przed snem, więc niewyspanie zakrywała mocnym makijażem. Współlokatorki pytały, po co tak wcześnie wstaje. Nie odpowiadała. W ogóle mało mówiła, szczególnie do pierwszego espresso. Odpowiadała dopiero wtedy w myślach, że nie może spać i chyba już nigdy spokojnie nie zaśnie. Kiedyś, jeszcze nie tak dawno, książki zastępowały jej sen, teraz – myśli o alkoholu. Ojciec wyklinał i krzyczał wniebogłosy, że matka przewraca się w grobie. I właśnie to wspomnienie matki było jedynym, co wyrywało Gretę z letargu. Podnosiła wtedy na chwilę wzrok z podłogi i patrzyła prosto w ojcowskie oczy. Wyraz jej twarzy pozornie się nie zmieniał. Najczęściej był jak skała, niewzruszony. Jednak kiedy ktoś mówił o Emilii, tylko najuważniejszy obserwator mógł dostrzec niewielkie, być może mimowolne drgania kącików ust Grety. I jej oczy. Nabierały nagle życia. Jakby w śmierci bliskiej osoby szukała iskry wskrzeszenia dla siebie samej. Nigdy jej jednak nie znalazła. Te chwile mijały dość szybko, a potem Greta znów zapadała w ten swój niedostępny dla nikogo świat.

– Po co tu w ogóle nocujesz? – zapytała Laura.

Jej jedyna koleżanka, która akceptowała, jak to nazywała, „Gretowe dziwactwa", mieszkała w akademiku, bo musiała. Warszawska uczelnia pozwalała się jej wyrwać z przemocowego domu gdzieś na Opolszczyźnie. A Greta... Greta to co innego.

– Mogłabyś spać u ojca, przyjeżdżać tu boltem i wracać po zajęciach do swojej luksusowej chaty. A ty siedzisz w tym zatęchłym pokoju. Wąchałaś swoje włosy? – Złapała czarny kosmyk i powąchała go, przesadnie wykrzywiając usta. – No

właśnie, o to mi chodzi! Czuć cię akademikiem! Co gorsza – teraz złapała swoje włosy i przytknęła je do nosa – mnie też. Tylko ja w tym momencie nie mam innego wyboru.

– Milion razy mówiłam ci, że nie wytrzymałabym z nim pół dnia. – Greta, mówiąc te słowa, rzuciła ołówkiem w stronę koleżanki. – Poza tym mam dwadzieścia sześć lat, więc mam prawo nie mieszkać w rodzinnym domu.

– I co? Będziesz wybierać kolejne kierunki studiów, żeby tu tkwić? Bo to już, niech no sobie przypomnę... – ironicznie wykrzywiła twarz – twój trzeci kierunek? Wynajmij coś chociaż. Weź stąd uciekaj, bo zaczynam się martwić, że skończysz nie jako stara panna na uniwerku, tylko jako babka od nauczania. Zostaniesz tu na wieki, będziesz dręczyć studentów wywodami na temat filozofii i kulturoznawstwa czy czego ty się tam uczysz...

– Historii...

– Co takiego?

– Studiuję historię... – Greta spojrzała z zażenowaniem na koleżankę. Mieszkały razem od momentu, gdy Laura przyszła na pierwszy rok, a Greta kończyła już swój drugi kierunek. Historia miała być ostatnim. Tak sobie obiecała.

* * *

O piątej rano świat był spokojny. Jeszcze nieobudzony, cichszy, nawet na warszawskich ulicach. Z rzadka wolnym krokiem ktoś spacerował z psem po parku, ktoś inny szybko, niemal truchtem, z kawą w dłoni przebiegał na czerwonym. Greta wtedy właśnie, gdy słońce dopiero miało wschodzić,

najbardziej tęskniła za światem. Takim prawdziwym, nie miastowym. Szklane wieżowce wywoływały w niej lęk, a co najmniej poczucie beznadziei. Nie widziała piękna w miejscach pełnych ludzi, szczególnie takich miejscach, gdzie przestrzeń była coraz bardziej ograniczana ciasno stawianymi budynkami i gęstym smogiem niepozwalającym na swobodny, głęboki wdech. Dla niej prawdziwy świat był zupełnie gdzie indziej. Wsiadała do swojego auta i po godzinie znajdowała się w lesie.

Skręciła w wąską dróżkę pomiędzy dębami. Ich rozrośnięte korony łączyły się, tworząc liściaste krużganki. Uśmiechnęła się do siebie. Natura budowała przestrzenie godne uwagi.

Ziemia parowała. Dziurawa mgła nisko się nad nią unosiła. Teraz zaczęły się przez nią już przedzierać nieśmiałe promienie słońca. Greta otworzyła okno. Nic nie mogło pachnieć lepiej niż mokra od rosy ziemia. Zapach cierpki i orzeźwiający jednocześnie. Tak pachnie prawdziwy świat, który dopiero co budzi się do życia. Do wnętrza auta dobiegły pierwsze odgłosy ptaków i wiatr, który szumiał pomiędzy konarami drzew. Greta zatrzymywała w sobie ten moment, bo las wyglądał tak tylko o poranku i tylko przez krótką chwilę.

Podczas jazdy wyboistą drogą, wysypaną kamieniami, samochodem niemiłosiernie trzęsło. Greta była do tego przyzwyczajona, przemieszczała się tędy niemal codziennie. Jednak tego dnia wszystko miało potoczyć się inaczej. Letnia już herbata wylała się na siedzenie pasażera i papierowy kubek spadł na podłogę. Greta odruchowo schyliła się, by go podnieść. Gdy uniosła głowę, ostro zahamowała. Czarne włosy rozsypały się na twarzy, a ona uderzyła czołem o lusterko. Zapiszczało jej w uszach, zmrużyła oczy, a jej palce

powędrowały w stronę guza, który momentalnie wyrósł nad lewą brwią.

– Szlag! – zaklęła cicho.

Miała ochotę powiedzieć więcej, mimo że jej słowa gdzieś na tym leśnym, bezludnym kawałku ziemi uleciałyby w eter, ale coś niezwykłego przykuło jej uwagę. Zaniemówiła i zastygła w bezruchu. Wstrzymała oddech. Przez krótką chwilę wydawało się jej, że to omamy. Tuż przed maską samochodu stał siwy koń w delikatne, brązowe plamki. Jego sierść, mokra od rosy, mieniła się w słońcu, przenikającym między drzewami. Kremową, o kilka tonów ciemniejszą od sierści, majestatyczną grzywę rozwiewał wiatr. Koń miał łeb zwrócony prosto w stronę Grety i – była pewna – patrzył właśnie na nią. Dostrzegł ją przez szybę samochodu i – być może – równie jak ona przestraszony, ani drgnął. Dziewczyna powoli odpięła pasy. Nie chciała go spłoszyć. Uchyliła drzwi i wykonując powolne ruchy, podchodziła do konia, z dłonią wyciągniętą naprzód w geście przyjacielskich zamiarów. Dopiero gdy była bliżej, zobaczyła długie białe rzęsy, które okalały wielkie oczy w kolorze bursztynu. Koń prychnął, uniósł kopyto i już miała wrażenie, że zbliży się do niej. Jej dłoń niemal czuła jego ciepło… Czuła jego ducha ulotnego jak powietrze wokół nich. Właśnie w tym momencie, gdy cisza zastygła gdzieś pomiędzy dwiema istotami a opadającą mgłą, wielka biała ćma[1] usiadła na pysku konia, więc ten spłoszył się i uciekł. Zniknął gdzieś wśród drzew. Niczym duch rozpłynął się w świetlistym poranku. Po chwili ucichł też tętent jego kopyt. Greta stała z uniesioną dłonią, ciągle jeszcze zaskoczona.

Zamknęła na chwilę oczy, znów to poczuła. Ten zapach. Tym razem był inny, intensywniejszy. Świeży i ziemisty. I choć wcale nie otwierała oczu, była już pewna, że gdzieś tam w oddali zbierają się nimbostratusy. Że gdzieś tam pada już intensywny deszcz, dlatego niesiony wiatrem petrichor wpada prosto w jej nozdrza. Uważała, że to piękniejsze niż słodka woń kwiatów. Zapach ziemi po deszczu był unikalny i zadziwiał ją za każdym razem na nowo, tak jakby nigdy wcześniej go nie znała. Lekki chłód przyprawił Gretę o gęsią skórkę. Podjechała jeszcze kawałek samochodem i weszła na niezbyt strome zbocze, by zatrzymać się wśród sosen. To tam dostrzegła w oddali niebo spowite w znacznej części ciemnoszarymi jednolitymi chmurami. Nie myliła się. Umiała wyczuć deszcz na długo przed jego pojawieniem się. Usiadła na chwilę i starała się o niczym nie myśleć.

– Pieprzony *overthinking*! – szepnęła i złapała się za skronie.

Myślała zdecydowanie za dużo, analizowała niepotrzebnie każdą sytuację, a to wywoływało u niej niepokój i smutek. Laura zalecała terapię, bo nadmierne myślenie, jak mówiła, może być objawem depresji, którą Greta, według niej, zdecydowanie miała. Przyjaciółka się o nią martwiła i dobrze wiedziała, że do stanu głębokiej depresji lepiej nie dopuszczać. Jej siostra przez to niemal straciła życie. Latami musiała chodzić do psychoterapeuty, by odzyskać zdrowie. Laura zaś z tego wszystkiego nabawiła się nerwicy. I w pewnym momencie sama nie wiedziała, co jest bardziej destrukcyjne. Dlatego gdy widziała permanentnie smutną Gretę, otaczała ją opieką na tyle, na ile potrafiła, i próbowała poprawić jej nastrój. Greta doceniała jej starania, choć sama

wcale nie uważała, by cierpiała na cokolwiek innego niż tęsknoty. Nie dopuszczała do siebie myśli o depresji i nie chciała słuchać, gdy Laura o tym mówiła. Gdzieś w głębi jednak dobrze wiedziała, że bezsenność, alkohol, nieustanne analizowanie i ciągły brak apetytu nie wróżą niczego dobrego. Czasami nie miała siły wstać z łóżka, a jedyne, co trzymało ją przy zdrowych zmysłach, to te leśne spacery. Teraz starała się wyciszyć umysł. Myślała o białej ścianie, płynnie przechodziła do pustki, którą wyobrażała sobie jako wielką czarną dziurę we wszechświecie. I gdy tak w niej trwała, znów zaczęły się pojawiać obrazy: ojca, jego pracowni, spadającego dłuta, zapłakanej twarzy matki, jej włosów beztrosko leżących na poduszce i pachnących wiatrem i Igora.

No tak. Przecież w jej życiu był jeszcze Igor. A raczej już go nie było. Kiedyś sądziła, że go kocha. Czy jednak można kochać kogoś, kto wywołuje tyle lęków, doprowadza do ciągłego poczucia smutku i nie daje choćby namiastki bezpieczeństwa? To było już tylko przyzwyczajenie. Żadna tam miłość. Była z nim, bo bała się zmian. Bo nie chciała być samotna. Bo uważała, że jest stworzona, by kogoś kochać, tymczasem traciła po kolei wszystko, na czym jej zależało. Gdy jednak Igor wyprosił się z jej życia, po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że to przywiązanie od dawna nie było miłością, tylko strachem przed konieczną zmianą. Czasami trzeba otoczyć się w życiu pustką, by zrobić miejsce na to, co dobre, co pisane, co właściwe. Wtedy tego nie rozumiała. Teraz może nawet była mu trochę wdzięczna, że odszedł. I nie żałowała już, że płakała i że przez chwilę bolało. Pustki bolą, ale, jak to mawiała matka Grety, dzięki cierpieniom wiemy, że panowały i że czegoś nas nauczyły. Każdy ból wypływający z życia ma

swój odpowiednik w jednym gramie siły. I czemuś służy. Żadne cierpienie nie idzie na marne. Nie przechodzi bez echa jego ciepła natura. Tak, ciepła natura, bo tak określała cierpienie Greta. Było w nim coś niezwykle przytulnego i tym lubiła się otulać do snu. Jakiś rodzaj ukojenia, zastania, a może tylko przyzwolenia na poczucie się bezsilnym. Może lubiła się oszukiwać, że cierpienie ją uwzniośla, a może tak właśnie było. Nie bez powodu poeci podczas największych cierpień pisali najwspanialsze poematy. Czy zatem w cierpieniu naprawdę nie ma nieco piękna?

Nie umiała już zliczyć, ile razy płakała. Ale nie po nim. Płakała, ponieważ uwierzyła, że nie jest warta uczucia, że nie da się jej pokochać. O to, czy tak właśnie jest, zadawała sobie pytanie w myślach już setki razy, aż uwierzyła, że tak. I od tej chwili myślała już tylko w ten sposób. Czasami, nagle, zaciskała mocno powieki, tak bardzo, że widziała białe poruszające się plamy. Mimo to łzy jak groch spływały na blade policzki, bo nie mieściły się pod powiekami. Innym razem bezsilnie opadała na podłogę w łazience i nie umiała się podnieść. Wtedy nie płakała, a wyła z rozpaczy. Nie wiedziała już dlaczego. Po prostu czuła, że nic innego w tym momencie nie umie z siebie wykrzesać. Całą pustkę po stratach wypełniała rozpaczą. Płakała tak, że zdzierała gardło. Wiła się to w prawo, to w lewo, jak oszalała chwytała za głowę, potem dłońmi przyciskała klatkę piersiową. Miała zamknięte oczy. Ledwie łapała oddech, z jej ust wydobywał się niemy krzyk. Zasłaniała oczy, ścierała rozmazany tusz. Trwała tak kilka minut. Później wstawała, myła twarz i wychodziła naprzeciw życiu. Chwytała je najmocniej, jak potrafiła. Chociaż nie udawało jej się to zbyt często.

– Jak życie da ci kilo cytryn, zrób z nich dobrą lemoniadę. I bez takiej kwaśnej miny. Kiedy przełkniesz cytrynę, w ustach niespodziewanie pojawia się słodycz. Zauważyłaś? – mówiła matka.

Tylko z uwagi na to jakoś się trzymała i wyciskała z każdego dnia tyle, ile potrafiła. I chociaż się zbytnio nie starała, odnosiła sukcesy wszędzie tam, gdzie się pojawiła. Czy jej na tym zależało? Wcale. Ludzie ją cenili. Lgnęły do niej zwierzęta i dzieci. A ona stała pośrodku tego wszystkiego niemal jak w czarnej pustce, z rozłożonymi rękoma, i nie wiedziała, co mogłaby z tym zrobić. Ostatecznie nie robiła nic.

Nie tęskniła za Igorem, a za samą sobą, która jeszcze wtedy umiała kochać. Teraz nie kochała ani siebie, ani nikogo innego. Umiała darzyć miłością drzewa, zwierzęta, ale nie wyobrażała sobie, by mogła zaufać drugiemu człowiekowi. Wiedziała, że musi przestać o tym wszystkim myśleć. Była na zboczu, wśród sosen. Obsesyjnie szukała czegoś, na czym powinna skupić uwagę. Nisko latające jaskółki, ich pisk. Pierwsza kropla na przedramieniu. Zimny wiatr. Jazgot jaskółek. Skrzypiące sosny. Jaskółki. Wiatr.

Gdy wracała do samochodu, nadal starała się panować nad myślami i właśnie wtedy przypomniało się jej, że dziś mija termin przedstawienia tematu pracy licencjackiej. Teraz to mogłoby – i powinno – zaprzątać jej głowę. Tym razem dziekan Kurowski nie chciał zwykłej pracy pisemnej. Wymagał od studentów twórczego rozwiązania podjętego tematu, a Greta nie była obecnie zdolna do kreatywności.

Wracała na zajęcia. Zatłoczone już o tej porze ulice przypominały jej, dlaczego nie potrafi się odnaleźć w wielkim mieście. Znów ogarniało ją przygnębienie, ale coś kazało jej

rozejrzeć się po bezdusznych warszawskich murach. Gdy mijała wedlowską pijalnię czekolady, ujrzała w oknie naprzeciwko starszą kobietę. Ta oparła splecione dłonie o parapet i wpatrzona w drzwi wejściowe Wedla, zastygła w bezruchu. Zastygała tak codziennie. Greta już ją kiedyś widziała. Niewiele myśląc, gwałtownie skręciła kierownicą, czym wywołała pisk opon i trąbienie podenerwowanych kierowców jadących za nią. Stanęła na parkingu pod pijalnią czekolady. Jeszcze raz spojrzała w tamto okno. Kobieta nadal tam była. Greta weszła do sklepu. Pachniało czekoladą. Panował przyjemny gwar i niczym melodia rozbrzmiewał stukot filiżanek. W tle leciał spokojny jazz. Podeszła do witryny i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w misternie wykonane małe jadalne arcydzieła. W końcu wybrała torcik wedlowski i kilka pralinek i poprosiła, by zapakować je na prezent. Sama nie wierzyła, że to robi. Przez chwilę patrzyła na słodycze, które trzymała w dłoniach. I nie wiedziała, kiedy to się stało, ale nagle była już przed kamienicą znajdującą się naprzeciwko.

Do jej wnętrza prowadziły stare, ciężkie drzwi. Greta chwyciła za klamkę i mocno je popchnęła. Otworzyły się ze skrzypnięciem. Weszła na pierwsze piętro i starała się domyślić, które mieszkanie będzie tym właściwym. Drogę wskazały jej kwiaty. Sansewierie stały przed wysokimi drewnianymi drzwiami ze świetlikiem. To były te same rośliny, pomiędzy którymi starsza pani siedziała przy oknie.

Ciche pukanie do drzwi poniosło się echem po klatce schodowej. Greta się rozejrzała. Na schodach wisiały pajęczyny. Ściany, choć nieodrapane, i tak wymagały malowania. Pachniało piwnicą: wilgocią i zakamarkami.

Zapukała jeszcze raz. Nikt jej nie otworzył, ale coś usłyszała. Ciche szuranie w głębi mieszkania, gdzieś za drzwiami, i słabe: „Już idę”.

Klamka się poruszyła, a po chwili drzwi się uchyliły i na zaciemniony korytarz wlało się ciepłe światło. W jego smugach widziała drobinki kurzu unoszące się w powietrzu. Poczuła przyjemny zapach pieczonego ciasta i od razu pomyślała, że to musi być przytulne miejsce. Tak ją to urzekło, że przez chwilę nawet nie zauważyła starszej pani, zapragnęła poznać to niezwykłe mieszkanie. Było wysokie, jasne i przestronne. Duże beżowe dywany, nieco wytarte od chodzenia, częściowo przykrywały drewnianą podłogę. Na regałach stało tyle książek, że półki się pod nimi uginały. Greta dostrzegła nazwiska Myśliwskiego, Herberta, Różewicza i Krall. Widziała przewodniki sudeckie, pamiętniki obozowe, nie brakowało też książek współczesnych autorów. Starsza kobieta najwyraźniej ceniła Jakuba Małeckiego, bo wszystkie jego powieści stały obok siebie. Dalej widać było reportaże wojenne, biografie o ludziach z gór, himalaistach... Na stoliku leżały w nieładzie rachunki, obok nich stał mały koszyczek z cukierkami. W głębi mieszkania dziewczyna zobaczyła kolejne regały, tym razem z wiekowymi tomami – pożółkłe brzegi i zniszczone grzbiety opowiadały historię starszej pani.

Na ścianach wisiały obrazy. Gęste warszawskie powietrze wdzierało się do wnętrza. Greta obserwowała przez chwilę to wszystko, mieszkanie ją pochłonęło, z zamyślenia wyrwał ją dopiero czyjś głos.

– Dzień dobry. Widziałam panią przez okno – rozległo się delikatnie. Greta nie zdążyła odpowiedzieć, starsza kobieta

dostrzegła jej zaskoczoną minę. – Tak, wiem, straszne, że staruszka jeździ na wózku inwalidzkim po mieszkaniu na pierwszym piętrze kamienicy. Jak się domyślasz, nie wychodzę stąd. Mam tylko to okno. I moje niemal sto lat na karku.

– Ja... przepraszam. To niegrzeczne z mojej strony, że tak się przyglądam. Dzień dobry. – Greta schyliła głowę. Poczuła się zażenowana własnym zachowaniem. – Nazywam się Greta.

– Letycja – odrzekła starsza kobieta. Była bardzo elegancką panią. Srebrne włosy miała upięte w schludny kok. Na uszach perłowe klipsy, na prawej dłoni pierścionek z rubinem i złota obrączka. Ubrana była w błękitną sukienkę z kołnierzykiem. To wszystko czyniło ją w oczach Grety damą. – Miło mi ciebie poznać. Lecz wyjaśnij, proszę, w jakim celu przyszłaś. Sprzedajesz coś? Nie jestem zainteresowana... – Letycja spochmurniała i z tęsknotą spojrzała znów w stronę okna.

– Nie, nie, nie... Ja tylko... – zaczęła dziewczyna, ale szybko się wycofała. – Nieważne, to było głupie z mojej strony. – Mówiąc te słowa, zrobiła krok w tył i już miała wyjść, ale jej uwagę przykuło zdjęcie wiszące na ścianie. Młoda kobieta o jasnych prostych włosach stała obok pięknego siwego konia w brązowe plamki, a on do złudzenia przypominał tego, którego Greta widziała o poranku w lesie. Dłuższą chwilę wpatrywała się w cudowną górską scenerię, na tle której zostało zrobione zdjęcie. Nie uszło to uwadze Letycji.

– To ja i Dyzia – powiedziała, wskazując na fotografię. – Zdjęcie z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku w Górach Stołowych, na Dolnym Śląsku. Piękny widok na

Szczeliniec Wielki. Byłam taka młoda, a Dionizja miała tu dopiero kilka lat.

– Zachwycające ujęcie. – Greta nie mogła przestać myśleć o niezwykłym podobieństwie koni.

– Zrobił je mój... – Letycja odchrząknęła niespokojnie – mój mąż. To była podróż poślubna. Byliśmy wtedy tacy szczęśliwi. I ledwo co tamtego lata... ledwo co się znaleźliśmy po wojnie i po tym wszystkim... co nam się przydarzyło, po tym, co nas spotkało, pobraliśmy się bez zastanowienia w kilka tygodni od spotkania.

Greta odwróciła się w stronę Letycji i z zaciekawieniem się jej przyjrzała. Wyciągnęła dłonie, w których trzymała mały pakunek ze słodyczami.

– To dla pani. W sumie po to przyszłam. Żeby je pani dać.

– To... to niezwykle zaskakujące i miłe. Ale dlaczego? – Letycja wyciągnęła dłonie i przyjęła prezent.

– Widuję tu panią w oknie już od dawna. Zawsze patrzy pani na tę pijalnię czekolady. Coś mi mówiło, że nie może pani sama tam pójść, więc postanowiłam, że przyniosę choć małą cząstkę Wedla do pani.

Oczy Letycji rozpromieniły się, a potem szybko zaszkliły od łez. Greta wtedy zrozumiała, że wszystko, co powiedziała i co przeczuwała, było prawdą. Starsza kobieta położyła na kolanach prezent i powoli odjechała w stronę okna, z którego każdego dnia obserwowała pijalnię czekolady.

– Tu kiedyś wszystko się zaczęło. W tym miejscu był początek... I tu wszystko się skończyło – wyszeptała. – Ale to stara historia, tak stara jak ja. Dziś już nikt nie chce słuchać

pomarszczonych doświadczeniami ludzi. I ich pomarszczonych jak skóra wspomnień.

Greta nie mogła oderwać oczu od starszej kobiety na wózku. Czuła, że za jej cichą obecnością kryje się coś niezwykłego. Jakaś opowieść, którą chciałaby usłyszeć.

– Pani Letycjo... – zaczęła ostrożnie, nie wiedząc, jakich słów użyć. – To miejsce musi mieć dla pani ogromne znaczenie.

– Ma – odparła kobieta krótko. – Ale to „znaczenie" bywa ciężarem.

Te słowa sprawiły, że w Grecie zaczęło narastać przekonanie, iż nie może zmarnować tej chwili.

– Mam dla pani propozycję. – Greta poczuła, że nie przez przypadek weszła dziś do starej kamienicy naprzeciwko pijalni czekolady. Historia, którą kobieta chciałaby opowiedzieć, mogła być teraz usłyszana nie tylko przez Gretę. Ta historia miała szansę dotrzeć do wielu ludzi. I choć Greta nie wiedziała o Letycji nic, czuła, że los prowadził ją zarówno do lasu, jak i do tego mieszkania. Pomyślała, że ta prawie stuletnia kobieta musi nosić w sobie wyjątkową opowieść. I to ta opowieść mogłaby spełnić wymagania dziekana Kurowskiego.

* * *

– Nie było cię na pierwszych zajęciach. Kurowski jest wściekły – szepnęła Laura, gdy jej koleżanka wreszcie dotarła późnym popołudniem na salę wykładową.

– Niech nie przesadza. Jego ulubiona studentka wymyślała idealny pomysł na licencjat – odrzekła Greta spokojnym tonem i przygryzając lekko wargę, wsadziła ołówek w luźno upięty kok.

– I wymyśliła?

– Wymyśliła...

– Pani Greto – rozległ się niespodziewanie donośny, nieco szorstki głos prowadzącego. – Jak miło, że zaszczyciła nas pani swoją obecnością. Zapraszam do tablicy. Proszę zapisać temat swojej pracy. Wszyscy chętnie go poznamy.

Doktor Kurowski był specyficznym człowiekiem. Greta odnosiła wrażenie, że im bardziej któryś ze studentów się wyróżniał, tym mocniej był gnębiony przez prowadzącego. Może wraz z ambicją takiej osoby proporcjonalnie wzrastały wymagania doktora, który oczekiwał od swoich studentów ponadprzeciętnego zaangażowania. Greta nigdy nie miała mu tego za złe. Nawet teraz, gdy stała pod tablicą, nie wiedząc jeszcze, jaki dokładnie temat będzie jej docelowym.

– No, proszę. Proszę napisać.

Greta chwyciła za pisak i uniosła rękę nad głowę. Zawiesiła na chwilę dłoń w powietrzu, zamknęła oczy i pospiesznie szukała w myślach słów, które mogły oddać to, co chciałaby napisać. Na ile mogła zgadnąć, jaką opowieść nosi Letycja? Przypomniała sobie zdjęcia wiszące na ścianie, pomyślała o pijalni Wedla i oczach kobiety, które rozbłysły na widok czekoladowego podarunku, i szepcząc, jednocześnie nakreśliła:

– Człowiek to los i jego historia. Opowieść świadka wojny o prawdziwym życiu w ujęciu aspektu podróży jako dążenia

do zachowania stabilności życia w jednym z najtrudniejszych okresów panujących w Polsce i na świecie. – Greta odłożyła pisak, zamyślona, odwróciła się do reszty studentów i dodała: – Efektem rozmów ze świadkiem historii będzie napisany wspólnie pamiętnik – blefowała. Nie miała pojęcia, czy Letycja da jej taką historię, która rozwinie ten temat, czy kobieta powie jej cokolwiek, co będzie mogła wykorzystać w pracy licencjackiej. Zaryzykowała, bo musiała coś powiedzieć. Wiedziała jednak, że jeśli pani Letycja opowie jej cokolwiek sensownego, Greta napisze jakiś pamiętnik, może nawet zrobi jakąś prelekcję, naciągnie historię i tekst będzie z głowy.

Doktor Kurowski przez chwilę wpatrywał się w zapisany temat i Greta dostrzegła w jego oczach nareszcie, po raz pierwszy od początku studiów, iskrę zaciekawienia.

– Znakomity pomysł, wykonanie trudne. Takich rzeczy powstało wiele, wszystkie cenne, ale podobne do siebie. Zobaczymy, czy pani Greta przełamie tę schematyczność. Zobaczymy, jaki efekt pani uzyska. – Uciął i gestem poprosił ją, by wróciła na swoje miejsce. Gdy szła do swojej ławki, zobaczyła jeszcze szelmowski uśmiech skryty pod bujnym wąsem, ponieważ doktor Kurowski domyślał się, że na tę pracę warto czekać. Teraz jednak już niewiele zależało od Grety i to martwiło ją najbardziej.

– Nie będzie mnie wieczorem. I w najbliższych dniach, Lauro – uprzedziła Greta. – Zamierzam zanurzyć się w opowieści pani Letycji i zrobić to szybko, by mieć sprawę za sobą. – W tej uroczej kobiecie Greta odkryła potencjał historyczny. Chociaż lubiła uczyć się o drugiej wojnie światowej, rozmowy z ludźmi wywoływały u niej lęk. Musiała

go teraz jednak przełamać, by zyskać materiał na licencjat. Nie zastanawiała się nad tym zbyt długo, nie miała innego wyjścia.

– Dzięki takiemu tematowi dostaniesz w kolejnym roku stypendium, którego w ogóle nie potrzebujesz. Znowu – powiedziała Laura z wyrzutem.

– Przede wszystkim będę miała święty spokój od Kurowskiego, choć nie ukrywam: lubię grać mu na nosie i przewyższać oczekiwania – zaśmiała się.

Gdy tylko zajęcia się skończyły, Greta zebrała swoje rzeczy i wybiegła z sali. Choć na Szpitalną z uczelni był rzut beretem, i tak przejechała tych kilka ulic, by zaparkować pod pijalnią Wedla. Samochód miał pozostać tam dłużej, niż się spodziewała.

* * *

Letycja wyciągnęła z szuflady stary beżowy album. Zniszczone brzegi strzępiły się, pokazywały, ile czasu już leżał w tej lub podobnej szufladzie i jak wiele razy ktoś brał go do rąk, by wrócić wspomnieniami do zdjęć w nim pozostawionych, przecież nie bez powodu. Greta zawsze rozczulała się przy starych albumach. Wyobrażała sobie dotyk opuszek palców, który zatrzymał się nie raz na twarzach zastygłych w ujęciu fotografa. Ile wywołał łez wzruszenia i ile uśmiechów. Jak rodził w ludziach tęsknoty, gdy spoglądali na te nieruchome kadry, i jaki ból po stracie mógł odnawiać. Jak ożywiał korony drzew, jak budził falujące morze i jak gdzieś tam, w odległości dekad, pozwalał usłyszeć śmiech dzieci beztrosko biegających wokół domu. A to tylko dotyk…

Letycja gładziła dłonią jedno ze zdjęć i Greta zrozumiała, że nieistotne jest to, co materializuje się na papierze, ani nawet ciepłe, pełne ulatującego już życia palce kobiety, a to, co zawieszone pomiędzy. Gdzieś między fotografią a opuszkami jej palców drżała skulona w sobie miłość i niewyobrażalna tęsknota wywołana śmiercią. Właśnie o tej małej przestrzeni Letycja chciała snuć opowieść.

– To jest mój mąż Karol. Przez lata był moim najlepszym przyjacielem… Był takim rodzajem spokoju, dzięki któremu cichłam nawet wtedy, gdy wzbierała we mnie burza. Wiesz, co to znaczy czuć się tak kochanym? Bo miłość to nie uniesienie pełne ekscytacji, ekspresji… To nie wichura zwalająca z nóg. – Przerwała na chwilę. – To też, nie zaprzeczę, jest potrzebne, ale mija tak samo szybko, jak przychodzi, jest gwałtowne. Miłość to coś znacznie poważniejszego. To spokój ducha, który rozlewa się latami po naszym wnętrzu przy tym drugim człowieku, i poczucie, że jesteś naprawdę bezpieczna z powodu samego istnienia tego człowieka. Znasz to?

– Nie… – odrzekła szczerze Greta.

– Wielka szkoda. Bo tylko po to warto żyć. By poczuć to choć przez krótką chwilę. Chociaż jeden raz. Ludzie opowiadają bzdury, że można być szczęśliwym bez takiej wszechogarniającej miłości. Rodziny nie kupisz za pieniądze. Pieniądze nie cofną utraconego życia ani czasu. Najgorsze jest być tak bardzo ubogim, że nie mamy w życiu nic poza pieniędzmi. To dla tych krótkich chwil z drugim człowiekiem warto żyć. – Letycja zamknęła oczy i na chwilę zamilkła, na jej twarzy nieśmiało rozgościł się uśmiech. – Czas. To jest najważniejsza waluta.

– Nie można wiedzieć, że to ta jedyna osoba. Dziś ktoś jest, jutro nagle się okazuje, że wcale się go nie znało, i ten ktoś znika.

– Zależy, jak znika. Czy z wyboru, czy dlatego, że zdecydował tak los. To wiele zmienia. Czasami zniknięcia są potrzebne. Niektóre wychodzą nam na dobre, niektóre nie. Karol umarł. Nie mógł temu zapobiec, nawet jeśli bardzo by chciał. Śmierć to menda. – Letycja skrzywiła się mimowolnie. – Można jej nienawidzić, ale to nic nie daje, nic nie zmienia. Można ją też zaakceptować. Wtedy nie boli mniej, nie będę cię oszukiwać, ale ta akceptacja pozwala się oswoić ze stratą... – Zawiesiła na krótką chwilę głos. – Jeśli zaś myślisz, że nie można się w żaden sposób przekonać, że to ta jedyna osoba, to powiem ci, że to też bzdura. Czcze gadanie i myślenie na skróty. Miłość nie wywołuje poczucia winy ani lęku. Owszem, pojawiają się obawy, czy to ta pisana ci osoba, to naturalne. Wszak niczego poza śmiercią w życiu być pewnym nie można. Ale gdy obok już jest ten ktoś, czujesz to. Czujesz to gdzieś tu. – Letycja wskazała na klatkę piersiową, a później na głowę. – I tu. Może wzbraniasz się przed tym, może przez chwilę oszukujesz serce czy umysł. W ten sposób ludzie błądzą latami. Nawet jeśli stwierdzisz, że już cierpiałaś, że ktoś cię skrzywdził, i przez to nie zaufasz... Przesłonisz sobie świat i to, co wartościowe, przejdzie ci koło nosa niezauważone. Coś o tym wiem...

– Jak to? Przecież pan Karol był pani mężem, czyli zauważyła go pani. Nie minęliście się w życiu.

– To nie takie proste i nie od razu... – W jej oczach pojawił się błysk.

Greta już wyciągała dyktafon, ponieważ czuła, że opowieść zaraz się zacznie. Letycja jednak miała zupełnie inny plan na ten wieczór. Podjechała wózkiem do starego, drewnianego gramofonu, uruchomiła go i pokój wypełniła stara jazzowa muzyka. Trzeszczenie i delikatny szum w tle dodawały klimatu i potwierdzały, że płyta ma więcej lat, niż można się było spodziewać. Dźwięk trąbek rezonował subtelnie z kolorowym szkłem ustawionym za witrynkami i wypełnił też zauważalnie serce Letycji. Uniosła lekko ręce, zaczęła nimi poruszać, jakby chciała tańczyć. Miała zamknięte oczy, uśmiechała się.

– Karol lubił tańczyć. Robił to w swój niepowtarzalny sposób. Zamykał oczy, unosił ramiona i drętwo nimi ruszał. – Letycja się roześmiała. – Tańczył jak kłoda, ale lubiłam na niego patrzeć, bo sprawiało mu to tyle radości. Jego radość dawała mi tyle szczęścia… Szczęście z powodu czyjejś radości czuje się tylko wtedy, gdy wypełnia cię miłość, a ja, jak się domyślasz, kochałam Karola. – Znów zamyśliła się na chwilę. – Miał taki zwyczaj, że przed każdą potańcówką zakładał zieloną muchę. To była zawsze ta sama mucha. Wiązał ją starannie, a potem mówił, że to dla mnie. Miłość wyzwala w tobie pragnienia, o których nawet nie wiedziałaś. Chcesz dać tej drugiej osobie wszystko i jeszcze więcej. To tak naturalne jak oddychanie. A gdy lęk przed miłością spokojnie zamienia się w silną więź, wtedy już wiesz.

– Jeśli jest tak, jak pani mówi, to tym bardziej nigdy tego nie czułam. – Greta nerwowo się zaśmiała. Nie chciała zwierzać się obcej kobiecie, przyszła tu w innym celu, i dziwiło ją, że tak łatwo dała się wciągnąć w tę dyskusję. Ona w miłości zawsze się spalała, kurczyła w sobie jak suszona

skórka pomarańczy. Każda miłość w jej życiu: ojcowska – z powodu ego ojca, matczyna – z powodu śmierci matki, ta do Igora – z powodu toksyczności, pozostawiała ją zwęgloną. A potem miała wrażenie, że ktoś bierze jej prochy w palce i rozsypuje na wietrze. Tylko taki rodzaj miłości znała i nie umiała nawet sobie wyobrazić, że można inaczej.

Gdy nie dodała ani słowa więcej, między nią a Letycją zapadło dziwne milczenie, nieswojo pobrzmiewające niedopowiedzeniem, jakimś brakiem, który należało wypełnić słowami. Wtedy starsza kobieta dodała:

– Zawsze bądź sobą. Nie zatrać się dla kogoś nieodpowiedniego, nie zmieniaj ani siebie, ani tej drugiej strony. Kto ma zostać w twoim życiu, ten zostanie. Odpuszczenie tego, co trzyma cię w przeszłości, nie tylko pozwoli ci się wyzwolić z traumy czy blokad, jak to dziś nazywają psychologowie, Greto. Odpuszczenie to największy wyraz miłości do samego siebie. A! I życie nauczyło mnie jeszcze jednego: im bardziej odpuszczam, tym więcej pięknych rzeczy do siebie przyciągam. Puść więc to, co cię trzyma w przeszłości, i leć, bo każdy człowiek ma swoje niepowtarzalne skrzydła, każdy inne. Jednak by cię uniosły, musisz zerwać kajdany trzymające cię przy ziemi, niejako w niewoli.

– No tak… kto chciałby trwać w niewoli?

– Och, zdziwiłabyś się, jak wielu ludzi…

Rozmowy tego wieczoru toczyły się niespiesznie, krążyły wokół ogólnych tematów. I choć Greta chciała przede wszystkim zdobyć materiał, by uwolnić się od studenckich zobowiązań, z każdą chwilą spędzoną z Letycją odkrywała, że

czuje się w jej towarzystwie zaskakująco inaczej niż na co dzień wśród innych ludzi. Nie miała tak od dziecka. Coś w niej drgnęło, jakaś iskra ciepła rozlała się po klatce piersiowej, ale kiedy tylko to poczuła, szybko od siebie odrzuciła.

Po dwóch kieliszkach gruszkowej nalewki i obfitej kolacji straciła rachubę czasu. Na stole stały już teraz tylko słoiczek po konfiturach z wiśni – srebrna, ręcznie wykonana łyżeczka dotykała dna – i pusty koszyczek, w którym niedawno była pyszna, świeża chałka. Gdyby dobrze się przyjrzeć, na ustach Grety i Letycji można byłoby znaleźć jeszcze jej okruchy. Nim skończyły rozmowy o niczym, zegar wybił północ.

– Zostań na noc, nie będziesz przecież wracać taksówkami o tej porze, a po nalewce nie pojedziesz sama – nalegała Letycja.

Greta złościła się, że pozwoliła sobie na tak wiele. Miało być przecież inaczej. Rozmowa powinna toczyć się wokół wojny i dat, i ludzi, i miejsc. Tymczasem ani przez chwilę tak nie wyglądała.

* * *

Tej nocy Greta śniła. Dawno nie miała snów. Biegła. Była w głębi lasu. Zachód słońca daje tam poczucie mroku i ciepła zarazem. Złota godzina sprawia, że świat robi się niemal pomarańczowy, ale drzewa odcinają dostęp światła, więc w głębi jest szaro. Greta biegła w tej narastającej szarości ścieżką, na końcu której tliło się pomarańczowe światło. Im bardziej zbliżała się do jej końca, tym droga bardziej się wydłużała. Wreszcie w oddali dostrzegła ciemną sylwetkę

konia. Jakaś niewidzialna siła pchała ją w tamtą stronę, a ona nie mogła tam dotrzeć. Tak bardzo chciała, tak bardzo...

– Dzień dobry, Greto – rozbrzmiał radosny głos Letycji.

Greta, ciągle zaspana, jakby tkwiąca w swoim śnie, spojrzała na zegar wiszący na ścianie pomiędzy wielkimi portretami kobiety i mężczyzny. Obrazy były ogromne, zbyt duże jak na pokój, w którym się znajdowały. Zobaczyła je dopiero o poranku i pomyślała wtedy, że powinny raczej wisieć w kościele, ale na pewno nie w małym pokoiku warszawskiej kamienicy. Wybiła właśnie szósta rano. Dla Grety to była późna godzina. O tej porze najczęściej już oddychała świeżym powietrzem w lesie.

– Dzień dobry, pani Letycjo, już idę.

Zaśmiała się w duchu na myśl o tym, jak starsza kobieta przejęła się dwoma kieliszkami nalewki, którymi się wczoraj uraczyły. Gdyby tylko wiedziała, ile Greta jeszcze nie tak dawno była w stanie wypić... A potem chodziła sama przez miasto, przez ciemne ulice Warszawy... Otworzyła w pośpiechu drzwi, wkładając jeszcze drugą skarpetkę.

– Będę już uciekać. Przyjadę później, jeśli mogę. Może... może coś pani opowie o wojnie – dała jasno do zrozumienia, że spieszy się jej z tą opowieścią. Nawet nie zważała, czy wypadało tak powiedzieć.

Letycja spojrzała zdziwiona na studentkę, która teraz zachowywała się zupełnie inaczej niż poprzedniego dnia. Zniknęło zaangażowanie, nie było też śladu po chęci słuchania o zwykłej życiowej filozofii starszej kobiety. Greta nie dała się zatrzymać, kuszona szarlotką i śniadaniem. O tej

porze już dawno powinna być w lesie. Nie zamierzała sobie tego odbierać, nawet dziś.

– Do widzenia – wyszeptała Letycja już do siebie, gdy drzwi mieszkania zatrzasnęły się z głośnym stukotem kołatki.

Nalała kawy do kubka. Nachyliła się nad nim, więc para osiadła na okularach. Wiedziała, że śniadanie zje sama, jak zawsze, od lat, a potem usiądzie w oknie i zacznie rozmyślać o tym samym, co zawsze. Myślenie, rozkładanie na czynniki pierwsze wszystkich chwil z minionego życia niczemu nie służyło. Letycja odradzałaby to każdemu, z kim by rozmawiała. Sama jednak uważała, że jest już tak stara, że nic ciekawszego jej nie pozostało i nic, co ma w sobie iskrę życia, jej już nie spotka. Wbrew pozorom myślenie o tych, co odeszli, i o tym, co przestało istnieć, miało w sobie najwięcej życia.

– Pieprzony *overthinking*! – zaklęła. – Jak to mówią psychologowie. – A potem odłożyła do albumu list, który właśnie chciała pokazać Grecie.

* * *

Cicho i spokojnie. Gdyby dobrze się wsłuchać i zatrzymać na choćby krótką chwilę, można by usłyszeć, jak krople rosy kapią z liści prosto na ziemię, jak w podziemnych strumieniach woda spływa w dół, szukając ujścia.

Greta stała na środku sosnowej polany, ręce spuściła wzdłuż ciała, głowę skierowała ku niebu. Chciałaby, żeby lunął zimny deszcz. Żeby zmył z niej przytulną atmosferę spotkania z kobietą z okna, okruchy chałki z policzków, ale przede wszystkim dziwne poczucie, że takie życie istnieje,

tylko ona nigdy o tym nie wiedziała. Albo zdążyła zapomnieć. Gdyby żyła matka, na pewno byłoby inaczej. Dom nabrałby znaczenia. A tak był tylko stertą mebli, nikomu niepotrzebnych gratów i zimnymi ścianami. Nie było w nim ciepła.

Nagle poczuła zapach wiatru, dokładnie taki sam jak ten, który przynosiła ze sobą matka. Tak jak kiedyś włosy Emilii, tak teraz włosy Grety wchłaniały tę woń. Matka w lesie potrafiła czekać godzinami na lepszy dzień, lepszy tydzień, lepszy rok i opowiadała drzewom swoim milczeniem, łzami, a kto wie, może i czasami słowami, co czuje. Co drzewa usłyszały w te wszystkie dni? Co powiedziałby wiatr, gdyby spytać go o historię Emilii?

Las szumiał, gwizdało wiatrem prześlizgującym się pomiędzy wąskimi prześwitami drzew. Wtedy właśnie zobaczyła konia po raz drugi. Stał po przeciwnej stronie polany. Postanowiła powoli do niego podejść, a im bliżej niego była, tym więcej niepokoju wyczuwała. Wiercił się w miejscu, prychał, unosił łeb i gwałtownie go spuszczał. Zatrzymała się. Odległość kilku metrów stwarzała wystarczającą barierę, by siebie dostrzec, ale nie wchodzić w swoją przestrzeń. Z tej odległości przyglądali się sobie. Greta dokładnie widziała jego subtelne brązowe hreczki na całym tułowiu, coś jej przypominały.

– Piegowaty jesteś – wyszeptała.

Jej uwagę przykuło coś jeszcze. Zabliźniona rana na prawej tylnej nodze. Musiała być głęboka, bo zrosła się niejednolicie, jakby wyszarpana część ciała konia próbowała się wypełnić w całości brakującą tkanką. To jednak nigdy nie mogło się

udać. Coś lub ktoś zranił go na tyle mocno, że blizna już na zawsze miała go oszpecać.

– Każdy ma swoje blizny – powiedziała cicho Greta.

Pomyślała, że czasami odległość jest potrzebna, by zobaczyć siebie naprawdę. Z odpowiedniej perspektywy widać więcej i to pozwala się tak naprawdę do siebie zbliżyć. Jak w sztuce: powoli rzeźbione zaufanie buduje więź twórcy z arcydziełem. Greta jeszcze nie wiedziała, kto w tej relacji będzie kim, ale szemrające wiatrem sosny już znały odpowiedź. Koń nagle się zerwał, jakby wiedziony niewidzialnymi lejcami, i pobiegł w zagajnik. Zniknął, tak jak ostatnio, wraz z cichnącym odgłosem kopyt uderzających o ziemię.

Niespodziewanie zadzwonił telefon. To była Letycja. Greta usłyszała raczej zdystansowany ton, tak niepodobny do wczorajszego.

– Dzień dobry, Greto. Przygotowałam dla ciebie materiały na studia. Jeśli przyjedziesz, mogę ci je pożyczyć, żebyś na ich podstawie mogła napisać to, co zaplanowałaś.

– Dziękuję. Ja… – Greta nagle się otrząsnęła, w jednej chwili przepełnił ją wstyd, że rano zachowała się nie tylko niestosownie, ale też niewdzięcznie. – …niedługo u pani będę.

Telefon zawibrował ponownie, gdy prowadziła auto. Trochę za szybko jak na warunki i znaki drogowe. Chwyciła komórkę i spojrzała na ekran.

– Ojciec? – Mimo zdziwienia odrzuciła połączenie i upuściła telefon na siedzenie pasażera. Nie. Nie miała zamiaru odbierać, ani teraz, ani później.

* * *

Na stole leżały dokumenty, stare i pożółkłe. Pomiędzy nimi było kilka stosów czarno-białych zdjęć i parę kopert. Jedna z nich przykuła uwagę Grety. Jej wyblakłe kolory podpowiadały, że list w środku ma kilka dekad, co nie było wyjątkowe. Wyjątkowe były przyklejone do koperty ususzone kwiaty, które dziś przypominały o czyichś dłoniach i zaangażowaniu. Greta pomyślała, że to niezwykłe. Każdego dnia przez dekady i setki lat każdy z nas na nowo pisze historię. Pytanie tylko, czy ktoś zechce ją kiedyś usłyszeć.

– Ułożyłam je datami. Tu są moje zdjęcia przedwojenne, kilka się zachowało, a tu – Letycja wskazała spis wydrukowany na komputerze – rozpisałam, co się wydarzyło rok po roku, jeśli chodzi o najważniejsze rzeczy. Kiedy przeczytasz listy i moje notatki, wszystko ułoży ci się w całość i nie będę potrzebna do rozmowy. – Mówiąc te słowa, zaczęła pakować wszystkie materiały do teczki.

Greta wiedziała, że uraziła ją swoim zachowaniem, jednak nie była w stanie jej przeprosić. Czasami najtrudniej jest powiedzieć najprostsze rzeczy. Nawet jeśli powinny wybrzmieć. Czasami trzeba dać im dojrzeć, ale nie zbyt długo. Bo gdy czeka się w nieskończoność, może być za późno. Doskonale zdawała sobie sprawę, jakie to dziwne. Czuć tak wiele i nie umieć wypowiedzieć ani jednego słowa. Wzięła więc teczkę, podziękowała i wyszła z mieszkania w starej kamienicy. Jaki człowiek jest głupi – przeszło jej przez głowę – myśli jedno, robi drugie, a czuje jeszcze coś zupełnie innego.

Zamknęła się w swoim pokoju w akademiku i na łóżku delikatnie rozłożyła całą zawartość teczki, by niczego nie zgubić. Z korytarza dobiegał harmider, ale ona skupiała się tylko na szeleście kartek listów, które właśnie czytała. Trudno jej było uwierzyć w to, co trzymała w dłoniach. Stary, niemal kruszący się papier, na którym Letycja i Karol pisali listy miłosne. Pierwszy datowany był na osiemnastego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku.

– Nie wierzę... – Spojrzała na miejsce zapisane tuż obok daty. – Auschwitz-Birkenau.

Rozdział II

Na dnie torebki, w środku tego wszystkiego, co tylko kobieta może w niej zmieścić, telefon wibrował raz za razem. Greta nawet nie zwróciła na to uwagi. Całą noc czytała, nie umiała przestać. Z każdym kolejnym listem, z każdą kolejną linijką łkała coraz głośniej i wyraźniej, tak że obudziła Laurę. Teraz obie czytały i obie płakały.

– Dlaczego Bóg dopuścił do czegoś takiego? – wypowiedziała te słowa zdruzgotana Greta, zapatrzona w piękne pismo Karola.

– To ciekawe – zaczęła Laura. – Zawsze o to, co najgorsze, obwiniamy Boga...

– A od kiedy ty jesteś taka wierząca? – zakpiła Greta.

– Nie chodzi wcale o wiarę, tylko o trochę logiki – wyjaśniła powoli. – Dlaczego Bóg miałby to zrobić? Czemu zapominamy o tym, co ma bezpośredni kontakt ze złem, czyli o nas? Ludzie... Przecież nikt nie zmusi twojej ręki do użycia broni wobec drugiego człowieka. Każdy z nas ma w sobie dobro i zło i to od nas zależy, które z nich wygra, które wybierzemy w życiu. Tak jak z nożem. Twoim zdaniem jest dobrym narzędziem czy złym?

– Nóż? Zależy...

– No właśnie. Możesz nim ukroić chleb, a możesz kogoś zabić... To, co mamy i jak to wykorzystujemy, zależy od nas. Bóg daje człowiekowi wolną wolę. Jaka więc byłaby lekcja z życia, gdyby podjął za nas taką decyzję? Czy zatem coś ponadziemskiego wywołuje wojny na świecie, czy jednak wywołują je ludzie, ale jesteśmy tak pyszni, że nawet tego nie potrafimy przyznać?

– Jedna z kobiet, które przeżyły wojnę, powiedziała w wywiadzie do pewnej książki, że ludzie zawsze będą toczyć wojny o trzy rzeczy. O władzę, o terytorium i o pieniądze. To słowa Urszuli Koperskiej, która jako dziecko trafiła do niemieckiego obozu zagłady[2].

– Sama więc widzisz. Czy te rzeczy są związane z tym, co boskie, czy z tym, co ludzkie?

Greta musiałaby przyznać rację Laurze, ale ciężko było jej to zrobić, dlatego milczała. Trudno jest zaakceptować tragedie, które dotykają ludzi i świat. Łatwiej przerzucić za nie odpowiedzialność na coś innego, na kogoś obcego, na Boga, na cokolwiek – szczególnie jeśli to coś odległego.

* * *

Czekała na świt. Nim słońce wzeszło, była już gotowa. Siedziała w aucie od dłuższego czasu, szukała stacji w radiu, by zająć czymś głowę i przez chwilę nie roztrząsać wydarzeń z minionej nocy. Tym razem jednak nic nie mogłoby zagłuszyć jej myśli. Zbyt wiele poczuła i zbyt wiele zrozumiała. Ruszyła. Pozostawiona za samochodem wąska smuga kurzu opadała powoli, ale tego Greta już nie mogła zobaczyć. Dzisiaj nie pojechała w stronę lasu. Letycja

codziennie wstaje o szóstej i o tej porze Greta zaplanowała pojawić się przed jej mieszkaniem.

Drzwi otworzyły się powoli. Trochę niezdarnie i z łomotem sugerującym uderzenie o futrynę kół wózka inwalidzkiego.

Letycja była zmieszana, nie spodziewała się gościa. Przynajmniej nie tak z samego rana. Nawet jeśli miała nadzieję, że jeszcze się spotkają, że Greta cokolwiek zrozumie... nie sądziła, że nastąpi to tak szybko.

– Pani Letycjo, ja... przepraszam za wczoraj. – Słowa, które wypłynęły z ust dziewczyny, były wypowiedziane szybko, trochę chaotycznie. Letycja uśmiechnęła się pod nosem. Nie umiała się długo gniewać. Czy w ogóle była zdolna do gniewu? To, co czuła po odejściu Grety poprzedniego dnia, to był żal i zawód. Jak wtedy, gdy miała kilka lat i czekała przy stoliku w pijalni Wedla na mleczną czekoladę, którą mógłby przynieść ojciec, ale ostatecznie za każdym razem jej usta zanurzały się w gorzkiej, ciemnej czekoladzie. Niby nic takiego, niby nic ważnego, a jednak rozczarowanie. Aż w końcu niespodziewanie polubiła tę gorycz.

– Dobrze już – odrzekła chłodno, chociaż widać było, że to przesadnie udawany ton.

Greta weszła do salonu i od razu zaczęła układać chronologicznie listy. Zajęły cały blat, parapet i komodę.

– Przeczytałam.

– Domyślam się. – Letycja zerkała z ciekawością na dziewczynę. – I...?

– Będę szczera... Nie spodziewałam się, że to będzie tak prawdziwe i tak piękne.

– Cóż, droga Greto – zaczęła Letycja – słowa mówione czy pisane, nie ma to znaczenia, mają wielką moc. Potrafią niszczyć i budować. Raz wypowiedziane, raz zapisane, a później odczytane są nie do cofnięcia. Koniec i kropka. – Tu wyraźnie podkreśliła to, co powiedziała, przecinając dłonią powietrze jak ostrzem, dłonią lekko drżącą i pomarszczoną. Później znów mówiła łagodnie: – Słowa zostają w człowieku na zawsze. Zostają bardziej niż cokolwiek innego. Są wieczne, nie to co rzeczy. Dlatego tak ważne jest, by ważyć te, które wypowiada się do drugiego człowieka. Ale i te, które w myślach kieruje się do siebie... Listy miłosne, które przeczytałaś, były bardzo intymnym zakątkiem naszych dusz: mojej i Karola.

– Intymnym... Ciekawie to pani ujęła. Intymność kojarzy mi się z czymś zupełnie innym.

– Gdy patrzysz na świat tak zwyczajnie, to owszem. Intymność będzie tylko cielesna. To też bardzo ważne, nie zaprzeczę. Ale taką intymność budujesz na fundamencie zupełnie innej, znacznie ważniejszej. Obnażyć emocje i myśli przed drugim człowiekiem... Mieć pewność, że ta osoba cię nie wyśmieje, gdy powiesz jej, co czujesz i myślisz, że wesprze cię w najbardziej błahej dla kogoś, a dla ciebie być może najważniejszej na dany moment, sprawie. Nagość emocjonalna i ta... bezbronność, gdy mówimy o uczuciach, to największa intymność. Wtedy wpuszczasz kogoś do głowy i serca i ufasz, że nie poczyni tam spustoszenia.

– Długo myślałam, że to jest niemożliwe, że nie można tak zaufać. Przez większość życia ufałam tylko sobie. Emocji szukałam w zwierzętach, na pewno nie w ludziach. Jednak te listy...

– Nie wiem, przez co przeszłaś i czy kiedykolwiek zechcesz mi o tym powiedzieć, ale jedno wiem na pewno. Niezależnie od tego, co spotkało nas w życiu, nie można skreślić całej swojej przyszłości i innych ludzi.

– Nikogo nie można być pewnym...

– Pewni możemy być jedynie tego, że kiedyś umrzemy. Czy musisz jednak być pewna drugiego człowieka, by spróbować mu zaufać, odnaleźć w nim wartość i budować z nim życie?

– Nie wiem, to bardzo trudne. Teraz... teraz nie wyobrażam sobie, by poczuć taką intymność emocjonalną do kogokolwiek.

– I to duży błąd: wątpić. Nawet nie zauważysz, jak miłość przejdzie ci koło nosa, albo coś więcej: człowiek, któremu po prostu będziesz mogła bez obaw powiedzieć, co czujesz.

Greta przez krótką chwilę poczuła, jak pustka wypełnia jej głowę. Dawno tak nie miała. Nie myślała zupełnie o niczym, jakby ktoś do jej wnętrza wprowadził nagle mnóstwo informacji, których nie dało się udźwignąć. Przez ten przesyt była w stanie wybąkać jedynie ciche „No tak...", ale nic więcej.

Auschwitz-Birkenau

20 lipca 1943

Słodka Panno Letycjo,

niegodzien jestem pisać do tak słodkiej istoty jak Ty, więc gdy siadam w ciemności tej nocy, skryty przed wzrokiem innych, i w bladym świetle księżyca kreślę ten list, tak naprawdę brakuje mi słów. Czym zasłużyłem sobie na to, żeś

popatrzyła na mnie tamtego dnia? Czy to na pewno mnie posłać chciałaś spojrzenie pełne uroku? Czy nie przez omyłkę odczytałem wtedy ten znak, że to mnie wybrałaś? Jakim byłbym nieszczęśnikiem, gdyby okazało się, że zupełnie przypadkowo wziąłem to do siebie. A jednak później uśmiechnęłaś się i uniosłaś dłoń, żeby pomachać na pożegnanie po tym krótkim, niezaplanowanym przecież spotkaniu.

Letycjo, słodka Pani,

człowiek może żyć bez miłości, ale cóż to jest za życie? Czy jednak mogłem Cię pokochać, widząc Cię w kolumnie zawieszonej między życiem a śmiercią? W takich samych i ja chodzę. Brodzę, by doczekać wolności. Nie miałem już nadziei, że o własnych siłach opuszczę to miejsce, i nie chciałem nawet już myśleć o świecie innym niż ten. Tu skonać chciałem, trawiony strachem i beznadzieją. A wczorajszy dzień tylko pokazał nam tu więzionym, co nas czeka, gdy będziemy chcieli walczyć o wolność[3]*. Jednak Twoje pojawienie się, niczym przebłysk światła, gdy idzie się między drzewami, a promienie, pojawiając się i znikając, oświetlają ostatecznie drogę wędrującym, rozjaśniło moje czarne myśli. Teraz więc nie marzę o niczym innym, jak tylko o tym, by wolności zaznać. A w tej wolności widzę Ciebie obok. I nie dopuszczam innej myśli, moja dobra Letycjo.*

Karol

Greta odłożyła pierwszy list. Wyczekująco spojrzała na Letycję.

– Tamtego dnia, gdy zobaczyłam go pierwszy raz, wszystko się zmieniło... – Letycja zaczęła swoją opowieść. –

Pamiętam jak dziś. Nim zdążyło wzejść słońce, przed barakami stały już, niczym duchy, chude sylwetki. Jak cienie zajmowały przestrzeń między esesmanką a drewnianą ścianą. Wyczuwalny słodko-cierpki zapach unosił się w powietrzu dniami i nocami. Mimowolnie poruszałyśmy nosami, by choć na chwilę się od niego uwolnić. Ale to nigdy nie działało. Przesiąknęłyśmy nim. Nie można było powiedzieć, żeśmy się przyzwyczaiły. Do tego nie da się przyzwyczaić, można jedynie w pewnym momencie zaakceptować, że nic innego się nie wydarzy niż to, co zaplanowano z góry. Że ktoś podejmie decyzję o twoim życiu i choćbyś nie wiem jak bardzo się sprzeciwiała i krzyczała w środku, nic nie poradzisz i nikt cię nie usłyszy. Ten krzyk w mojej głowie był przerażający. Byłam nie tylko więźniem niemieckiego obozu zagłady, ale też więźniem własnej duszy. Jak wszyscy tutaj. – Przerwała na chwilę i spostrzegła, jak oczy Grety zawilgotniały. – Nic nie mogłam poradzić, że każdy dzień przynosił ten sam smród, brud i dramat, a potem wieści o śmierci kogoś bliskiego. W najlepszym wypadku umrze się szybciej, tak często myślałam – snuła opowieść dalej. – Nad szarym niebem nie latały ptaki. Było martwo i pusto, szczególnie wewnątrz, za drutami. Gdzie wegetowało tysiące ludzi, już martwych, choć nadal biło w nich serce. Gdzie leżały stosy trupów sięgające dachu baraków. Wywozili je na drewnianych wózkach do krematorium, a potem na tych samych przywozili lurę obozową[4]. Chichot losu: wywozić zagłodzonych na śmierć, a potem przywozić głodowe porcje jedzenia, i tak upragnione przez ludzi. Dziwiliśmy się samym sobie: od świata dzieliło

nas tylko kilka zwiniętych metalowych prętów, wystarczyłoby przejść i żyć. I walczyć o wolność dla innych. A tu tylko baraki, wszy i pluskwy, dym na niebie i przeraźliwe krzyki w nocy, które wybrzmiewały tuż po tym, gdy na szynach zatrzymał się wagon. Bywało, że ciszę nocy przerywał strzał, częściej był to jednak płacz dzieci z odległych baraków. Spały tam te najmłodsze, które nie miały jeszcze trzynastu lat. Chociaż wiek nie zawsze miał znaczenie... Nad niektórymi czuwał jakiś anioł, wyglądały na młodsze niż w rzeczywistości. Trafiały wtedy do baraku dla dzieci, uchowały się na chwilę przed pracą ponad siły. A nad niektórymi nie czuwał nikt... Dziesięcioletnie nieraz dzieci wyglądały doroślej, więc kierowali je do bloków dla kobiet czy mężczyzn i wtedy umierały szybciej. – Tu na chwilę zawiesiła głos. – Mam przed sobą jedno wspomnienie. W tym mroku zdarzało się nieraz coś, co działo się tak rzadko, że historia niemal tego nie pamięta... Blokowe wypuściły dzieci przed barak i pozwoliły kobietom spotkać się z pociechami. Te starsze wtulały się w matki z taką intensywnością, jakby miały umrzeć z rozkoszy i spokoju. Idealnie chowały się w matczynych ramionach. Widać było wtedy, że nastolatki, a pewnie i jeszcze starsze więźniarki przypomniały sobie ten dotyk i zatęskniły za ukojeniem w ramionach rodzica. Była tam jedna dziecina. Miała może trzy lata. Wołali na nią Helcia. Płakała. Tak bardzo, że gdy przyszło do rozstania, chwyciła matulę za szyję na tyle mocno, że nie mogły jej odciągnąć ani blokowe, ani inne dzieci. Rozstanie przyspieszył jedynie bat wymierzony matce. Kobieta zacisnęła z bólu usta i mocno, bardzo mocno, powieki. Łzy spłynęły jej po policzkach, które momentalnie zrobiły się czerwone od ciśnienia. Nie chciała,

żeby Helcia zauważyła jej ból. Była silna dla niej, musiała jej pokazać, że trzeba wytrwać. Czy w takim miejscu można było inaczej? Słaby padał szybciej, silny... trochę później. Widziałam, jak odsunęła od siebie córkę i spojrzała na nią surowo. Powiedziała do niej: „Idź, wracaj do baraku! Masz się słuchać i robić, co każą!", dało się nawet wyczuć w tym nutę złości. Gdy jej mała Helcia z rykiem rozpaczy pobiegła z inną dziewczynką do baraku, kobieta upadła na kolana i zawyła bezgłośnie. Nie wydała z siebie ani jednego dźwięku, ale na jej twarzy rysowała się niewyobrażalna rozpacz...

Dopiero zaczęły rozmowę, a Greta już była poruszona do głębi tym, co właśnie usłyszała. Odepchnięcie dziecka musiało boleć bardziej niż ten bat, który przeciął skórę więźniarki. Letycja dokończyła historię Helci i jej matki:

– Pasiak na plecach matki zaczerwienił się wzdłuż jej tułowia. Esesmanka uderzeniem ponagliła ją, by wróciła do roboty. Tym razem do kopania rowów...

Auschwitz-Birkenau

lipiec 1943 rok

Letycja szła w komandzie, kolumną kobiet bladych, brodzących bosymi nogami po ziemi przeoranej od trepów. Scena z małą Helcią zwróciła jej uwagę. Dawno nie widziała takiego cierpienia, choć miała je przecież na co dzień. Gdy mała Helcia biegła do baraku, Letycja obejrzała się za siebie i wtedy zobaczyła tego chłopaka. Był wysoki. Od pracy w ciągłym słońcu jego skóra przybrała oliwkowy kolor.

Kontrastowały z tym jego oczy: duże i jasne. Tyle była w stanie zobaczyć z tej odległości. Szedł pomiędzy innymi więźniami i tak inaczej patrzył na otaczający ich chaos. Spokojniej. Przestrzeń dookoła rozdzierały krzyki esesmanów, głośne rozmowy po niemiecku i płacz. A on, jakby nie z tego świata, szedł wolniej, choć nie odstawał od komanda, nie mógłby przecież. I choć się nie uśmiechał, to twarz miał pogodną. Letycja uciekła wzrokiem, gdy na nią spojrzał. Odwróciła głowę, by po chwili znów spojrzeć w jego stronę. Pomachała mu i uśmiechnęła się, gdy zauważyła, że wciąż patrzy, niemal wyczekująco, jak gdyby i on chciał sprawdzić, czy to na niego patrzy, czy może się znają. W obozie nikt przecież nie wyglądał tak jak kiedyś, jak na wolności. I Letycja nie miała swoich loków, tylko nierówno zgolone włosy, które odrastały po kilku tygodniach. Z kobiecej urody zostało niewiele, z delikatności – nic. Zapadnięte oczy i mocno zarysowane kości policzkowe, jak niemal u wszystkich tutaj, przypominały, że wdzięk i powab to błahostki. A jednak czuła, że on dostrzegł w niej coś, czego ona już w sobie nie widziała. W niemieckim obozie zagłady nie było miejsca na kobiecość, ale nadal były tu kobiety. I Karol dostrzegł w Letycji jedną z nich.

– *Schnella! Schnella!* – ryknęła esesmanka i kolumna kobiet *Aussenkommando*[5] w pośpiechu ruszyła dalej.

* * *

Karol leżał, mrużąc oczy, na najniższym poziomie koi w baraku na męskim lagrze. Zaglądał przez ścianę z desek w niewielki prześwit między nimi. Sam go zrobił. Rozpierał

drewno, wsadzając pomiędzy belki znaleziony na polu wąski kamień, aż deski rozsunęły się na tyle, że widział *Appellplatz*[6].

Za dnia docierał tam pewnie przez szparę wątły promień słońca. Nie mógł jednak tego zobaczyć, ponieważ nigdy nie zostawał tam w dzień. Nocą z obozowych latarni wpadała tam, w najciemniejszą przestrzeń, gdzie spał, bardzo słaba wiązka bladego światła. Patrzył na nią zupełnie nieobecny. Myślami krążył gdzieś kilkaset metrów dalej. Nad jednym z baraków na kobiecym lagrze, gdzie na koi spała tamta dziewczyna.

– Jak masz na imię, nieznajoma – szeptał. – Jakie imię pasowałoby do tak idealnej, okrągłej twarzy? Pogodnej, choć dotkniętej wojennym mrokiem, nadal jasnej i nieskazitelnej. Jakie imię może nosić ktoś o takich oczach? Jakie usta zasługują na... najpiękniejsze imię...

– Przestań, Rolek, bredzić – bąknął leżący obok Kazik. Trzech innych więźniów, już półśpiących, tuż za nim mu przytaknęło. – Miłości ci się zachciało czy majaczysz z głodu?

– Już głodu nie czuję, Kaziu. I to akurat wcale nie z miłości. Bo czy istnieje miłość od pierwszego wejrzenia? – Zamilkł na chwilę. – Nie czuję głodu jak wielu tutaj, mój organizm umiera powoli z braku jedzenia.

Karol zamknął oczy. Jego myśli powędrowały teraz do warszawskiej kamienicy. W kuchni pachniało lubczykiem i pietruszką. Aromat gotowanego drobiu soczyście unosił się w kuchni i rozchodził po całym mieszkaniu: małym salonie z komodą odziedziczoną po dziadku, sypialnią, gdzie spali rodzice, pokoju Karola i małym pokoiku, w którym matka siedziała wieczorami i szyła stroje do teatru. Oboje z ojcem

Karola byli aktorami i żyło im się dobrze, mimo że skromnie. W tym małym pokoiku od jesieni tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku do wiosny tysiąc dziewięćset czterdziestego ukrywali żydowską rodzinę. A matula, gdy Karol, zwany przez przyjaciół Rolkiem, był jeszcze w domu, gotowała w każdą niedzielę rosół. Jak w każdym polskim domu. Nic nadzwyczajnego, a jednak teraz, gdy tkwił w obozie, ten rosół był nierzeczywistym marzeniem. Zaskakujące, że w ogóle gdzieś tam, w świecie, ktoś w którąś niedzielę może go ugotować i zjeść ze smakiem. Jak to możliwe, kiedy tu panują głód i śmierć, i nic poza strachem?

– Zjadłbym rosołu. Gorącego. Z lanymi kluskami. – Oblizał spierzchnięte usta. Z popękanych warg sączyła się krew. Poczuł jej smak.

– Przestań, Rolek. Nie wytrzymam myśli o normalnym jedzeniu. W ogóle o jedzeniu. Tu masz tylko pajdę czegoś, co nazywają chlebem, wstrętną margarynę. Wiesz, że po tylu miesiącach zaczęła mi nawet smakować? Już nie mam ochoty zwracać, jak ją połykam. Nie gryzę, bo gdybym zatopił zęby w tym ohydztwie, na pewno bym zwymiotował. Mimo to teraz najchętniej wydarłbym komuś jeszcze jeden kęs, tak mi się chce jeść. – Kazik zamilkł. A Rolek miał wrażenie, że czuje zapach przypraw, których matula używała do gotowania niedzielnego obiadu. – Wiesz... – zaczął Kazik. – Ja pasztetu z dzika bym zjadł. Może to moja ostatnia noc. Może umrę do rana, daj Boże, to przynajmniej odejdę z tego miejsca z namacalnym wspomnieniem o jedzeniu[7].

Kiedy tak myślał o esencjonalnym rosole, jeszcze bardziej uderzyła go rzeczywistość. Lurę wlewali do metalowych misek. Gdy ktoś nie miał swojej, nie miał też w czym zjeść.

Pożyczali więc sobie naczynia, by przyjąć tę głodową porcję i przetrwać. Często jedli z tych samych misek, do których nocą oddawali mocz. Nie było ich w czym umyć, nie mieli dostępu do wody, więc utrzymanie podstawowej nawet higieny było niemożliwe.

Ktoś w głębi baraku zaszlochał. Płacz w tym baraku był jednym z największych wyrazów męskości. Ktoś jęczał z bólu, a dwie koje dalej ktoś inny wyzionął ducha. Szczury już czaiły się w kątach, czekały, by nadgryźć mocno naciągniętą skórę. Skórę, którą powleczone były policzki zmarłych. W ciszy nocnej słychać było stukot drobnych łap i pazurów na klepisku, niekiedy wyłożonym cegłówkami. Na porannym apelu okaże się, kogo brakuje. Może Heńka – tego, co spał koło drzwi. Już powoli przypominał muzułmana[8], możliwe, że rana nie doczeka. A może Leon. On mimo młodego wieku był wątły i słabego zdrowia. Astma go dusi, leków nie ma, a esesmani dla pognębienia dają mu przecież najcięższe prace. A może ktoś umrze z rozpaczy, bo i to jest tu możliwe. W tym miejscu może wydarzyć się wszystko złe. Jutro na stos trupów zostanie wrzucony ten, co nie wystąpi z szeregu, gdy esesman będzie wyczytywał jego numer. I zostanie wrzucony jak worek śmieci. Jego nos albo policzki już będą ponadgryzane. A jeśli nie, to zanim wrzucą zwłoki do krematorium, szczury zrobią swoje. Kręci się ich tam mnóstwo. Czekają. Wiedzą, że mają na co. A nieruchome oczy wpółżywych ludzi będą patrzeć w pustkę. Wywożeni na wózku będą wyglądali jak sterta gałęzi. Niepotrzebni i zniszczeni.

Karol, już niemal śpiąc, jeszcze raz przypomniał sobie jej twarz. I te duże, jasne oczy. Patrzyła prosto na niego. A może mu się wydawało?

– Panowie, musimy przewrócić się na lewy bok. Biodro mi rozrywa z bólu – stęknął Kazik i złapał się za prawą nogę.

Na kojach duchota. Szczególnie latem nie ma czym oddychać. Zimą na klepisku panuje mróz, a więźniowie leżą przecież na golutkiej ziemi. Czasami leży pod nimi worek jutowy wypełniony słomą albo czymś, co słomą było przed miesiącami. Tak naprawdę leżą bez niczego, okryci zawszonym kocem. Ciasnota taka, że ruszyć się nie da. Jeden koło drugiego. I zrzucają tylko z oczu pluskwy, które szukają krwi, wgryzają się tam, gdzie skóra jest cienka, gdzie żyły są na wierzchu, gdzie cieplej.

– Na trzy, cztery... – I wtedy wszyscy, jak gdyby ktoś mechanicznie nakręcił ten obrót ciał, przekręcili się w lewo. Zasnęli, przytuleni do siebie.

* * *

W dziecięcym baraku[9] cichutko. Gdyby dobrze się wsłuchać, można by usłyszeć tylko miarowy oddech dzieci. Biedaczki, gdy śpią, nie myślą, po co to wszystko i co się dzieje. Nie zastanawiają się nad tym, co to jest wojna, o której tak wszyscy mówią, i czemu tu są, oddzielone od rodziców. Te, co już mają pięć i więcej lat, świadome są, co je spotkało. Chłopcy chętnie poszliby walczyć, a dziewczynki chciałyby pomagać jako sanitariuszki. Mówią o tym między sobą, szepczą, gdy blokowa nie słyszy. A czasu na to mają dużo, przecież niemal nie wypuszczają ich z baraku. Muszą jednak uważać – nie wolno mówić po polsku. Ala, która ma dziewięć lat, powiedziała kiedyś do Basi, że może i zabronią im mówić w ojczystym języku, ale nie zakażą myśleć. Z przyjemnością

łamały więc zasadę używania swojego języka, choć najczęściej robiły to w swojej głowie. Te młodsze, trzyletnie dzieci często płakały. Nikt nie umiał im wytłumaczyć, dlaczego jest tu tak zimno albo tak gorąco, dlaczego nie ma jedzenia ani ubrań, dlaczego gryzą wszy i nie ma rodziców. Nie ma też własnego łóżka ani ulubionych zabawek, które miały w swoim domu.

– Nie płacz – szepcze Basia do Helci. – Nie płacz, mamę zbiją, jak nie przestaniesz. Nie płacz, no już... – Mała dziewczynka nie może się uspokoić. Łka i cała drży. Trudno jej oddychać i nie chce już wtulać się w Basię jak poprzedniej nocy i jeszcze wcześniej. – Helciu, nie płacz, proszę. Bo przyjdzie blokowa. Opowiem ci bajkę. – Basia spojrzała w stronę drzwi. Blokowa siedziała na niskim stołku i spała, oparta o ścianę. Liche pomarańczowe światło rzucało na jej twarz złowrogą łunę, przez co wyglądała jeszcze groźniej niż za dnia. – Dawno, dawno temu na jednej z warszawskich ulic mieszkała mała dziewczynka... – zaczęła Basia. Snuła opowieść o przyjaźni i zwierzętach, o zabawie i wacie cukrowej...

Ta bajka pomagała jeszcze kilka dni temu. Gdy Helcia ją słyszała, uspokajała się, ale nie dziś. Dziś spotkała swoją matkę, a potem wydarto ją z jej ramion. Helcia nie rozumiała dlaczego. Przecież to mama. Jakaś paskudna kobieta – gruba, w mundurze – krzyczała na nią i na mamę. Tylko po co? Mogła po prostu pozwolić im zostać razem. I odejść. To takie łatwe. Dorośli wszystko komplikują. Zamiast tego mała Helcia musiała szybko uciec, mama kazała jej wrócić do baraku i być grzeczną. Zrobiło jej się przykro, że mama na nią krzyknęła, ale dziewczynka rozumiała i widziała więcej, niż zdawało się dorosłym. Brzydka pani uderzyła mamę w plecy, więc mamie

chciało się płakać. Tylko dlatego Helcia posłuchała. Zorientowała się, że mamę boli i będzie dalej boleć, jeśli Helcia nie wróci do baraku. I teraz było jej bardzo smutno. Nie umiała przestać płakać, chciała do mamy. Nic więcej. To takie łatwe. Dorośli naprawdę wszystko komplikują.

– Ciiii... Szszsz... – uspokajała Basia.

Szloch Helci był coraz głośniejszy, aż przerodził się w donośny płacz. W baraku słychać było coraz więcej szeptów obudzonych i przestraszonych dzieci. Nagle rozległ się odgłos zdecydowanych i niezbyt pospiesznych kroków. Brzydka pani obudziła się i szła w stronę Basi i Helci. Obok nich leżały trzy inne dziewczynki. Żadna z nich już nie spała. Miały duże, wystraszone oczy. Blokowa nachyliła się nad środkową koją i mocno potrząsnęła Helcią.

– Uspokój się! – syknęła. – Wstrętny bachorze, obudziłaś wszystkie dzieci. Brakuje, żeby inne zaczęły się mazgaić. Zamknij się. – Ostatnie słowa powiedziała głośniej i przez zęby.

Helcia westchnęła, spojrzała w oczy blokowej i przyglądała się jej tak długo, że kobieta wstrzymała oddech. To było nienaturalne, żeby dziecko patrzyło tak świadomie i z takim żalem. Blokowa wyprostowała się, mimowolnie dotknęła bata, który był wsunięty za skórzany czarny pas. Jego końcówka ciągle była brudna od krwi matki dziewczynki. Gdy tylko kobieta się oddaliła, Helcia znów zaczęła szlochać. Nie mogła złapać tchu. Nic nie było w stanie jej uspokoić. Basia próbowała... aż sama zasnęła ze zmęczenia.

* * *

– Słyszałam, jak w nocy wyły wilki. – Anna Stateczna stała obok Letycji na *Appellplatz* podczas porannego apelu. Ledwo trzymała się na nogach. *Aussenkommando* nie było dla niej. Już od miesiąca wysyłali ją i pięćdziesiąt innych kobiet do pracy poza obóz, w pole. Kopały rowy. A upał odbierał siły. Nie było też wody.

Letycja ścierała z czoła własny pot i zlizywała go z brudnego palca. W jednej chwili przypomniała sobie, jak wiosną na tym polu zginęła pani Górska. Deszcz padał, więc w rowach stała woda. Kusiła, by się napić, by chociaż zwilżyć usta. Pani Górska nie mogła wytrzymać. Tak bardzo chciało jej się pić, a wody nie dawał nikt, nawet gdy ciężko się pracowało. Kiedy tylko esesman się odwrócił i pomaszerował w stronę drugiego komanda, wskoczyła do rowu i zanurzyła głowę w deszczówce. Prawie jej się udało, ale nie zauważyła, że z obozu przybył właśnie komendant ich komanda, który spostrzegł ją w rowie.

– *Polnisches Schwein!* – ryknął.

Wyskoczyła z rowu z pokorną miną. Pomyślała, że cokolwiek jej teraz wykrzyczy w twarz, może uderzy z całej siły, przynajmniej ugasiła pragnienie, więc się opłacało. Esesman przewrócił ją jednak na ziemię i przygniótł buciorem jej twarz do ziemi. Letycja widziała to z oddali, tego dnia też pracowała przy rowach. Kobiety ukradkiem patrzyły na Górską, leżącą pomiędzy miedzą a polem. Wydawało się, że sytuacja jest opanowana – kara za napicie się wody z rowu została wymierzona. Esesman podniósł jednak szpadel, którym kopała Górska, przycisnął go do jej szyi i skoczył na niego. Letycja miała wrażenie, że trzask pękniętych kręgów szyjnych słychać było tak głośno jak wybuch bomby na ulicy

Kaliskiej. Nie wiedziała, który dźwięk będzie prześladował ją bardziej do końca życia, jeśli wyjdzie stąd żywa. Ptaki, jakby spłoszone śmiercią, poderwały się z drzew i z piskiem odleciały, ale nie w stronę obozu. Tam nigdy nie fruwały.

Teraz Anna Stateczna, koleżanka Letycji z jednej ulicy z Warszawy, stała obok tak słaba, że Letycja pomyślała, że Anna umrze. Śmierci tu nie brakowało, ale Letycja zapamiętywała tylko pojedyncze osoby. Nie wiedziała, dlaczego akurat te ani czym kierowała się jej wybiórcza pamięć. Tym razem bała się bardziej, ponieważ dobrze wiedziała, że jeśli jej koleżanka odejdzie, tę śmierć zapamięta jako najboleśniejszą. Łączyły je wspólne wspomnienia z wolności: zabawa w chowanego w starej kamienicy blisko pijalni Wedla, spacery do Ogrodu Saskiego, lekcje muzyki i tajne komplety. Z przejęciem spojrzała na Annę.

– Jakie znów wilki? Tu nie ma wilków – powiedziała. – Nic nie słyszałam.

– Ja słyszałam. Naprawdę. Wyły tak blisko, jakby stały tuż obok naszego baraku – przekonywała Anna. Uciekała wzrokiem przed Letycją. Patrzyła przed siebie beznamiętnie, a jej oczy straciły cały blask.

– Ania, błagam, przestań…

– Słyszałyście? – szepnęła jakaś kobieta w szeregu. Rozejrzała się, czy blokowa nie widzi, że rozmawiają, i dokończyła: – Ta mała, co wczoraj tak płakała, jak szłyśmy z komandem, umarła w nocy.

Wzrok Letycji momentalnie skierował się w stronę kobiety. Choć nie powinna była, patrzyła się na nią jeszcze przez chwilę, jakby chciała się przekonać, wyczytać z jej twarzy, czy

to pewna informacja. Miała nadzieję, że to plotka. Takie często obiegały obóz. Inne kobiety jednak zaczynały kiwać głowami, aż któraś szepnęła, że gryps z tą informacją dotarł rano do baraku i że matka dziewczynki jeszcze nie wie. Szepty nasilały się, kobiety zaczęły mówić półgłosem, na placu apelowym zapanował niepożądany chaos. Esesmanka ryknęła, podeszła do więźniarki, którą miała najbliżej siebie, i z całych sił uderzyła ją w twarz. Zapadła cisza. Właśnie wtedy ktoś szepnął:

– Helcia, ta mała, naprawdę nie żyje...

I rozległ się ryk przypominający odgłos zranionego dzikiego zwierzęcia.

– To jej matka – powiedział ktoś.

Między kobietami znów zapanował chaos. Blokowa jednak już nie zwracała uwagi na pogrążone w rozmowie kobiety. Podeszła do tej jednej, będącej matką zmarłej dziewczynki, która wiła się teraz w rozpaczy, i chwyciła ją z całych sił za pasiak, i wyciągnęła z szeregu. Popchnęła na środek tak mocno, że ta, wątła i słaba, przewróciła się na kolana. Płakała i błagała o śmierć.

– Zabijcie mnie... zabijcie! – Brudna twarz, teraz mokra od łez, była wykrzywiona z bólu.

– Chcesz umrzeć? – zakpiła esesmanka. – Nie. Nie umrzesz. Wstawaj, polska świnio. Wstawaj! Do szeregu. *Polacke!*

Kobieta nadal leżała w bezruchu. Słychać było tylko jej szloch.

– Wstań! – ryknęła.

Gdy kobieta nadal nie podnosiła się z ziemi, esesmanka zabrała więźniarki, żeby rozdzielono im głodowe porcje śniadania. Zrozpaczoną matkę zostawiła samą na środku placu apelowego. Gdy opuszczała *Appellplatz*, na jej twarzy utrzymywał się kpiący uśmiech.

– Widzisz? Mówiłam, że w nocy wyły wilki. Zwiastowały śmierć dziecka – szepnęła Anna, gdy zmierzały do kolejki po przydział porannej kawy[10].

Letycja uznała, że to majaki z głodu. Udała, że nie słyszała tego, co powiedziała Anna.

– Został ci na śniadanie kawałek chleba? – zmieniła temat.

– Nie... – odrzekła słabo Anna.

Wtedy Letycja wyciągnęła zza pazuchy niewielką kromkę czarnego, twardego pieczywa i podała ją koleżance.

– Masz, zjedz.

– A ty? Też jesteś głodna.

– Nie, ja nie jestem dziś głodna. Poza tym mam jeszcze kawałek schowany na koi – skłamała.

– Nie trzymaj tam zapasów, wiesz, że kradną – przestrzegła ją z przejęciem koleżanka.

Letycja przytaknęła i obiecała, że następnym razem już tak nie zrobi. Anna wydawała się zadowolona z tej odpowiedzi. Ułamała kawałek chleba, wsadziła go do buzi i długo żuła, nim zmiękł i mogła go wreszcie połknąć.

Wróciły do baraku. Letycja nie mogła przestać myśleć o małej dziewczynce, która z rozpaczy za matką umarła na swojej koi. Nieusłyszana, niezrozumiana, skazana na zapomnienie[11]. Takich umierających i zamordowanych jest tu

przecież tysiące. Myśli powędrowały do jej dziecięcych lat, do matki. Tęskniła za nią. Gdy widziała ją po raz ostatni, była pewna, że więcej się nie spotkają. Tak czuła. Żal ścisnął jej serce. Choć była nastolatką, poczuła się nagle jak mała dziewczynka, która pragnie tylko wtulić się w ramiona mamy. Więź, która łączy matkę i dziecko, to najsilniejsza nić utkana z emocji, jaka istnieje na tym świecie. Przed jej oczami znów pojawiła się scena z Helenką i jej matulą. I kiedy przypomniała sobie tamtą chwilę, gdy Helenka ostatni raz została wyrwana z objęć matki, widziała przede wszystkim przerażenie w oczach kobiety. To wspomnienie przywołało jednak jeszcze coś. Zobaczyła te drugie, inne oczy. Tamtego chłopca, który na nią patrzył. A może nie na nią? Nie była tego pewna.

Dotknęła dłonią deski tuż przy koi, gdzie spała. Tam, w małej szczelinie, spoczywał medalik jej matki, który jej oddała, gdy widziały się po raz ostatni kilka miesięcy temu. Niewielki, okrągły, z wizerunkiem Świętej Panienki. Miała chronić Letycję przed złem. Mama obiecała, że dzięki niej nie stanie się jej żadna krzywda. Że ona to przetrwa, bo będzie strzeżona przez samo niebo. Tej nocy zasnęła z myślą o przeszłości, o mamie i o przyszłości, w której widziała Karola.

* * *

Poruszenie na męskim lagrze. Przyjechał nowy transport. Oddzielają starców od młodych, dzieci od dorosłych, a kobiety kierują do osobnej grupy. Kazik zobaczył w tej grupie kolegę z dawnych lat. Dostał właśnie od esesmana w głowę kolbą

karabinu, bo nie chciał oddać swojego dziecka w ich łapska. „Na co liczył?" – pomyślał Kazik. „*Zugang*[12]" – dodał w myślach i pokręcił ze zrozumieniem głową. „Jeszcze nie zna życia obozowego". Nowo przybyli patrzyli na tych za drutami jak na szaleńców. Tak też musieli wyglądać. Ogolone głowy, zapadnięte oczy, wklęsłe policzki, pasiaki wiszące jak na wieszaku. Szaleńcy, którymi już za chwilę mieli stać się ci nowi[13]. Esesmani szturchali zagubionych, wystraszonych ludzi. Zabierali im co cenniejsze rzeczy. Torby wypełnione jedzeniem, ubraniami i kosztownościami przechwytywali oprawcy, a reszta, ta mniej wartościowa, trafiała do Kanady[14]. Kaci kierowali na golenie głów, dezynfekcję, na przydział pasiaków i tatuowanie numeru obozowego. Tych starszych, nienadających się do fizycznej pracy, i tych poruszających się o lasce, tych w złym stanie zdrowia zbierali po prawej stronie. „Gdyby wiedzieli, że już za moment przestaną istnieć" – myślał Kazik.

Rolek nie patrzył w kierunku wagonów. Zamyślony, wodził wzrokiem po oddalonym kobiecym lagrze. Szukał jej, choć przecież nie dostrzegłby jej z takiej odległości. W jego głowie kłębiły się pytania, zastanawiał się, czy mógłby zauroczyć się dziewczyną, którą zobaczył tylko jeden raz. Czy to złudzenie, najprawdziwsza miłość od pierwszego wejrzenia, czy może tylko fascynacja urodą? Albo jeszcze coś zupełnie innego... desperacka potrzeba kochania tuż przed śmiercią. Ostatnie tchnienie serca w agonii... Bo jarzmo myśli, że człowiek zamieni się tutaj w dym z komina, dosięgało w najmroczniejszych koszmarach każdego. Czy można pokochać w takim miejscu? Nie był pewny. Wątpił. Za chwilę

żywił nadzieję, że to jednak na niego patrzyła, i wierzył, że jest w stanie zrobić wszystko, by znów ją spotkać.

Komendant prowadził mężczyzn każdego dnia tą samą drogą – przy kobiecym lagrze. Rolek mijał dziewczynę, której imienia nie znał i na razie bał się o nie zapytać. Pomyślał, że jeśli je pozna, naprawdę się zauroczy. W końcu młodzieńcza miłość rządzi się swoimi prawami: wystarczy malutka iskra, by rozpalić uczucie, później skrzyżowanie wzroku, by podsycić je tak bardzo, żeby dalej pozwalało sercu bić mocniej aż do kolejnego spotkania.

Ona patrzyła na niego, czasami uśmiechała się nieśmiało, jeden raz pomachała mu jakby na pożegnanie. Właśnie wtedy, gdy to zrobiła, Karol uznał, że może to nie miejsce i nie czas na poznanie dziewczyny, ale dłużej nie będzie zwlekał. W życiu nie ma dobrych momentów na właściwe decyzje. Najgorzej jest stać w miejscu. Gdy nie robi się nic, nic się też nie stanie. Nie rozegra się żadna sekwencja wydarzeń, nie stworzy się nagle, sam z siebie, efekt nigdy niewypowiedzianych słów czy gestów. Stać w miejscu to jakby umierać tu i teraz i godzić się na to.

– Hubert! – syknął podczas dnia pracy. Dzisiaj kopali w polu. – Hubert...

– Zawołaj Huberta – szepnął ktoś z przodu.

– Huberta zawołajcie – syknął cicho kolejny rząd więźniów. I kolejny, i kolejny, aż wreszcie Hubert, będący pięć rzędów dalej, obrócił się w stronę Karola. Kiwnął głową na znak, że rozumie, że Karol może mu przekazać wiadomość, a raczej pytanie.

– Dowiedz się, jak nazywa się ta dziewczyna, którą mijam codziennie. Jasne oczy, niebieskie pończochy rozdarte na lewej łydce – wymieniał, marszcząc przy tym brwi.

– Dziewczyna, jasne oczy, niebieskie pończochy podarte na lewej nodze – doszła do Huberta informacja.

Już nie odwracając się, by nie wystawiać się na ryzyko, Hubert kiwnął głową, tak że Rolek zrozumiał, że jego kolega, który potrafił w obozie zorganizować wszystko, miał w końcu swoje kontakty jeszcze z jednostek konspiracyjnych w Warszawie, i wszystkiego się dowiedzieć, przyjął tę prośbę. Karol był pewny, że lada dzień dowie się, jak na imię nieznajomej.

Tej nocy, skryty pod deskami koi, przy blasku księżyca pisał list. Niewielka kartka papieru, a na niej ołówkiem kreślone słowa: „Słodka Panno…" – zaczął.

Rankiem na *Appellplatz* Hubert wyszeptał do mężczyzny stojącego po jego lewej jedno słowo, które później, niczym falą, powtórzone dotarło do Karola. Gdyby Letycja wiedziała, że to jej imię szeptem niosło się po obozie…

– Letycja – powiedział Kazik. – Ona ma na imię Letycja.

Karol dotknął nieświadomie swojej lewej piersi, gdzie pod pasiakiem ukrył list do dziewczyny. Wiedział, że wieczorem dopisze tam: „Słodka Panno Letycjo…", a później przekaże kartkę tym, co potrafią przemycić wszystko, by trafiła prosto do jej rąk.

Nazajutrz o poranku na damskim lagrze zapanowało niemrawe poruszenie, które narastało i niosło się coraz dalej szeptem:

– Letycja dostała list.

– Ciekawe, od kogo...

– Może od matki?

– Nie... Jej matka jest chyba przetrzymywana na Pawiaku – szeptały kobiety.

Mała kartka, starannie zapisana zgrabnym pismem, wędrowała z rąk do rąk. Kobiety przekazywały ją sobie powoli i niemal nieruchomo, by pozostać niewidzialnymi dla esesmanki. Opanowały tę umiejętność do perfekcji. Czasami bycie niewidzialnym bardzo się przydawało.

– Letycja, to do ciebie – powiedziała wreszcie Celina i wyciągnęła dłoń w jej stronę. Dziewczyna wzięła do ręki kawałek papieru i szybko schowała go pod pazuchę.

* * *

Jeśli zakochujesz się w takim miejscu, to cóż mocniejszego ponad taką miłość może się przydarzyć człowiekowi? Tu nie ma piękna, które mogłoby zachwycić, spokoju, który pozwoliłby zastanowić się, czy warto w ogóle myśleć tutaj o drugiej osobie. Każdy dzień to niepewność – dar i przekleństwo od losu – każdy może być ostatnim.

Letycja zastanawiała się, czy to normalne, że w jej sercu robi się ciepło na myśl o nieznajomym chłopcu, kiedy każdego dnia czekała na nią śmierć. I na niego też. Czy warto się zakochać, by zaraz cierpieć po stracie? A może lepiej być egoistką i przez chwilę pozwolić sobie poczuć to, co zwie się uczuciem?

Tymczasem Karol zaczął tkać drobnymi gestami tę znajomość na swój sposób. Hubert na jego prośbę załatwił

zielony kaszmirowy sweterek z Kanady. Letycja dostała go w tajemnicy przed ciekawskimi spojrzeniami koleżanek z lagru. Wtuliła w niego twarz. Nie był zawszony – to był cud. Za chwilę to się zmieni. Miękkość materiału jednak przez moment otuliła jej policzki. Założyła go pod pasiak, żeby nie kusić losu i nie przyciągnąć uwagi zawistnych kobiet. Niektóre byłyby w stanie go ukraść albo nawet donieść blokowej. W chłodniejsze, już jesienne, dni sprawiał, że mniej marzła, i wtedy szczególnie przypominał jej o chłopcu, który o niej myślał.

Wkrótce przestała pracować w *Aussenkommando*, przeniesiono ją do szwalni, a Karol zrobił coś bardzo ryzykownego.

Letycja siedziała naprzeciwko okna w szwalni. Znudzona i zmęczona, uniosła wzrok. Słońce już chyliło się ku zachodowi. O tej porze Karol zazwyczaj wracał z pola ze swoim komandem i patrzył w okno, szukając jej wzrokiem. Zobaczyła, że grupa ludzi zbliża się do obozu. Zamknęła na chwilę oczy. Jak dobrze byłoby być na wolności. Poznać się w innym roku, w innych okolicznościach, dać sobie czas na to, by przeżyć coś pięknego. Pójść do kina, wypić gorącą czekoladę w Wedlu, uciekać przed deszczem, śmiać się w głos – tak naprawdę cieszyć się spontanicznością.

Nagle usłyszała cichy odgłos przedmiotu spadającego na ziemię. Otworzyła oczy i zobaczyła na ziemi bukiet polnych kwiatków. Delikatne westchnienia wśród kobiet niosły się falą po szwalni. Jedne, zachwycone, podbiegły, by zobaczyć go z bliska. Tak jakby nigdy dotąd nie widziały kwiatów. Inne z zazdrością, a nawet nieskrywaną złością krzywo patrzyły na zaskoczoną Letycję, która właśnie podnosiła leżący u jej stóp

bukiet. Niebieski kolor chabrów i żywy, żółty odcień dziurawca tak bardzo nie pasował do tego miejsca. Wyjrzała przez okno. Karol już oddalał się z komandem w kierunku swojego lagru, ale odwrócił się jeszcze, ponieważ chciał zobaczyć, czy ona za nim wyjrzy. Gdy zobaczył jej zaskoczone spojrzenie, szeroko się uśmiechnął. Letycja też posłała mu uśmiech. Pełen nadziei. Uniosła dłoń i pomachała mu na do widzenia. Jej ręka lekko drżała, jakby z zachwytu, a trochę z podenerwowania – czy nikt go nie widział?

– Dziękuję, Karolu – szepnęła, choć bardziej do siebie niż do chłopca, który już zniknął za barakami.

– Schowaj to, bo jak blokowa cię z tym zobaczy, to dostaniesz takie baty, że ci się odechce miłości – powiedziała jedna z więźniarek, kpiąco patrząc na bukiet. Jej ton wcale nie wyrażał troski. Wręcz przeciwnie. Przez krótką chwilę Letycja wystraszyła się, że to ona może donieść o ich relacji esesmanom. Zakochanie nie miało tutaj racji bytu. A dobrych oczu współwięźniarek nie brakowało tak samo, jak tych szyderczych i pełnych zawiści.

* * *

Letycja ukradkiem szła do koi Celiny, która miała układy z rewirem i z Kanadą. Współpracowała też z Hubertem z lagru męskiego. U niej można było załatwić wszystko. Letycja jednak dobrze wiedziała, że tu nie dostaje się nic za darmo. A przynajmniej nie od osób, których się nie zna. Celiny nie znała dobrze.

Kobiety, z którymi trzymała, byłyby w stanie bezinteresownie oddać sobie wzajemnie serce. Nawet jeśli

były sobie wcześniej obce, tu stały się przyjaciółkami z koi albo z baraku. Ale były też takie, które choć mogły wiele, nie robiły niczego za darmo. Celina była jedną z nich. Letycja długo myślała, co mogłaby dać w zamian za papier i ołówek oraz za dostarczenie listu na męski lager, a potem za odnalezienie Karola i przekazanie mu odpowiedzi na jego słowa. Nie miała pojęcia, jak to zorganizować, ale pragnienie kontaktu było silniejsze. Nawet żałowała, że nie zrobiła tego wcześniej. Co, jeśli uznał, że jej jednak nie zależy – pomyślała. Odsłoniła deseczkę tuż obok swojej koi. Wcisnęła do środka swoją wąską dłoń i wyciągnęła małe zawiniątko. Medalik z grawerem – inicjałem jej matki.

– Żyj, dziecino, żyj – usłyszała w głowie jej słowa.

Czy miała prawo oddać go w zamian za przysługę? Matki i tak już nie było na tym świecie. Pamiątka po niej była dla Letycji ważna, ale czy ten kawałek srebra mógł przywrócić jej życie? Teraz na pewno mógłby dać jej możliwość zbliżenia się do drugiego człowieka. Nadzieję na przeżycie. Bo o ile miłość nie cofnie śmierci, nie uchroni przed odejściem, może w jakimś sensie stać się powodem, dla którego warto żyć. A to już wiele. To daje szansę na przetrwanie Auschwitz. Matka na pewno wolałaby, aby Letycja żyła swoim życiem, nie wspomnieniami. Pamiątki są ważne, ale życie jest ważniejsze. Dziewczyna zacisnęła w dłoni medalik, ucałowała go i po cichutku zbliżyła się do Celiny. Później nakreśliła kilka słów, by rankiem, zgodnie z obietnicą kobiety, Karol mógł ten list przeczytać.

Kolejnego dnia czekała na Karola, wpatrując się niecierpliwie w okno szwalni. Ciężko było skupić się na pracy. Rozkojarzenie dawało się we znaki, zauważyły to nawet

siedzące obok niej więźniarki. Nigdy nie mieli szansy choćby porozmawiać, ale już zdążyła za nim zatęsknić, pragnęła spotkania, krótkiej wymiany zdań. Zastanawiała się, jak brzmi jego głos. Marzyła o przypadkowym dotyku ich skóry. Chciała, aby ich dłonie niby nieświadomie napotkały się podczas powitania lub pożegnania.

Wypatrywała komanda, aż słońce prawie zaszło. Zmartwiło ją, że więźniowie jeszcze nie wrócili z pola. Dreptała od okna do okna, narażając się koleżankom. Serce z krótkim ukłuciem waliło w klatce piersiowej. Nagle z oddali usłyszała miarowe szuranie nóg o kamienistą drogę.

– Są... idą – powiedziała do Anny, która niecierpliwie czekała razem z nią.

Letycja podeszła bliżej okna, stanęła z boku, by nie prowokować esesmana prowadzącego grupę mężczyzn. Gorączkowo szukała wzrokiem Karola, ale nie zobaczyła go wśród wracających z *Aussenkommando*. Nie mogła w to uwierzyć. Byli tam wszyscy, rozpoznawała już tego wysokiego o szerokich barkach i mężczyznę bardzo niskiego z blizną na głowie, tego ze znamieniem na policzku, i wielu innych. Byli wszyscy, tylko nie było Karola.

Zniknął tak nagle, dzień po tym, jak ofiarował jej bukiet polnych kwiatów, po poranku, gdy otrzymał od niej list, więc Letycja bała się, że stało się coś, co sprawi, że nigdy więcej go nie zobaczy.

Rozdział III

Warszawa

czasy obecne

Telefon dzwonił już kilka razy. Najpierw Greta go nie słyszała, potem wcale nie chciała odebrać. Rozmowa z ojcem wywoływała w niej obrzydzenie oraz dziwny lęk, którego nie umiała wyjaśnić. Przecież jej nigdy nie uderzył, nie był agresywny. Wręcz przeciwnie. Kojarzył się jej z rozlazłym jak flaki z olejem człowiekiem, który nie widzi nic poza swoją pracownią. Jego charakter jednak ostatnio bardzo się zmienił. Artur stał się zaborczy, uparty i oschły. Ziąb, jaki od niego zionął, tylko podkreślał te znane już Grecie emocje: emocje ojca, który kocha swoją pracę bardziej od rodziny. Rządziło nim wybujałe ego, podbudowane tylko wtedy, gdy odnosił jakiś sukces i stał na piedestale, gdy podziwiali go ludzie, a on na pozór skromnie unosił wzrok, mówiąc, że wcale się tego nie spodziewał.

Kiedy ta rodzina straciła najważniejszy element – serce, które spajało wszystko – rozwiała się jak kartki papieru na wietrze. To dało Grecie do myślenia. Zrozumiała wtedy, że bez matki ich rodzina nie istniała. Miała kruchy fundament, podmywany przez obojętność ojca. Spoiwa między

cegłówkami popękały przez lata trosk i z braku jego zaangażowania. Ojciec Grety nie należał do wylewnych osób, co wszystkich dziwiło. Artysta musiał mieć przecież ogromną wyobraźnię, wrażliwą duszę, a co za tym idzie – w wyobrażeniu innych – posiadał ponadludzką empatię i głębię. Jego córka jednak dobrze wiedziała, jaka jest prawda. Artur, przez lata pogrążony w swoich stanach emocjonalnych – depresji na przemian z nadpobudliwością – starał się wznieść swoją twórczość na wyżyny. Poświęcił się temu całkowicie, stał się przede wszystkim rzeźbiarzem pracoholikiem, a nie mężem i ojcem. Nic wtedy nie szło jednak po jego myśli. Na horyzoncie nie było widać ani pieniędzy, ani większych sukcesów. Dlatego to matka utrzymywała ich dom przez większość życia, a Artur bujał w obłokach i marzył o wielkiej karierze.

Po wielu latach nastąpił dziwny i niespodziewany przełom. Ojciec zaczął otrzymywać coraz to nowe zlecenia, pojawiły się pierwsze nagrody, wystawy i wyjazdy za granicę. I pierwsze duże pieniądze. Niedługo później matka Grety zginęła w wypadku.

Wydawało się, że śmierć Emilii nie obudziła w nim żadnych emocji. Nie wyglądał na przybitego bardziej niż po zajęciu drugiego miejsca w międzynarodowym konkursie rzeźbiarzy. Wtedy też pił przez jeden wieczór. Greta nigdy mu tego nie wybaczyła: obojętności wobec śmierci jej matki. A przecież to artysta. Powinien przelać swoje emocje na dzieła, jakie tworzył, wznieść się poprzez cierpienie na wyższy poziom odczuwania. To w końcu śmierć! Nieodwracalna tak bardzo, że można zwariować na samą myśl, że nie ma się wpływu na bieg wydarzeń. Że po niej nie ma już nic. Nie mogła zrozumieć

jego obojętności, kiedy sama czuła tak ogromny żal, że rano świat wstaje, słońce wschodzi jak gdyby nigdy nic, ludzie pędzą do pracy, w tle miasta słychać głośny śmiech dzieci, szczekanie psów wyprowadzanych przez uśmiechniętych właścicieli. Oni słuchają na słuchawkach głośnej muzyki. Nucą pod nosem ulubioną piosenkę. To wszystko działa i żyje, podczas gdy ta jedna osoba już nie istnieje i nie oddycha tym samym powietrzem... Greta uznała, że jeśli będzie myśleć w ten sposób jeszcze przez chwilę, oszaleje z rozpaczy.

On... On przeszedł niemalże do porządku dziennego nad czymś, co jej wyrwało serce. Przez może miesiąc czy dwa siedział trochę dłużej w tej swojej norze, jak ją nazywała Greta.

Pracownia mieściła się w prawej części domu. Obszerna, z oszklonymi oknami pod sam sufit. Artur miał tam dość światła, by tworzyć. Córka czasami zaglądała do niego, gdy pracował. Ale tylko na początku. Miała wtedy jeszcze nadzieję, że pracuje nad czymś, co przypomni im Emilię. Ona inspirowała. Z tymi swoimi oczami pełnymi pasji do życia i energii, z uśmiechem pełnym szczerej radości i z włosami rozwianymi przez wiatr. Czy kiedykolwiek zainspirowała jego?

Emilia zawsze powtarzała, że warto mówić sobie dobre rzeczy za życia, kupować kwiaty albo zrywać je na łąkach i wręczać sobie z rąk do rąk, dotykać skóry, przytulać, rozmawiać o emocjach, nie ukrywać miłości, bo po śmierci, gdy mówimy o tym, który odszedł, mówimy tak naprawdę do siebie. Zmarły już nie nacieszy się zapachem bzów czy kolorem słoneczników, nie doceni ciepłych słów o tym, jaki jest potrzebny. Nie poczuje miłości. Życie jest tylko jedno

i zbyt krótkie, by być oszczędnym w uczuciach i słowach. Uważała, że trzeba rozmawiać z bliskimi i dawać im dowody miłości, bo gdy kogoś nagle braknie, powstaje pustka, której nie zapełni się niczym, nawet tym wszystkim, co mogłoby tu i teraz pokazać, że się kogoś kocha. Artur nigdy tego nie okazywał.

Za każdym razem, kiedy Greta pojawiała się w jego pracowni już po śmierci matki, siedział na swoim obrotowym taborecie, zwrócony plecami do drzwi, a gdy tylko słyszał, że się uchylają, zrywał się na równe nogi, jakby chciał udowodnić, że jednak pracuje nad czymś ważnym. Tymczasem na środku pracowni stała rozpoczęta rzeźba, która, jeśliby przechylić głowę lekko w prawo, przypominała wielki ażurowy liść. Bez sensu – myślała Greta. Odwiedziła ojca jeszcze kilka razy, liść zmieniał kolory, z czasem pojawiło się na nim więcej ażurowych detali i choć samo dzieło nie wyglądało najgorzej, Greta nie mogła pojąć, po co tworzyć coś tak beznadziejnie nudnego, a przede wszystkim – po co tworzyć coś, co w żadnym wypadku nie przypomina jej matki.

Przez lata samotnie dorastała w zaciszu swojego pokoju, co jakiś czas błagała ojca o liceum z internatem, ale się nie zgadzał. Była wściekła. Mogłaby wyjechać z Warszawy, oddalić się od tego zgiełku, którego nie cierpiała, i od ojca, do którego żywiła podobne uczucia jak do stolicy. To się jednak nigdy nie wydarzyło. Kiedy była już odpowiedzialna za siebie i sama mogła wybrać uczelnię, zdecydowała się na uniwersytet w Warszawie. Tu studiowała Emilia, a Greta szaleńczo szukała tchnienia matki w każdym detalu świata,

szukała choć najmniejszej cząstki jej obecności. Mogła uciec, a jednak została.

Gdy pierwszy raz przyszła na uczelnię, było jeszcze lato. Chodziła bez celu korytarzami, wodziła palcami po ścianach i przyglądała się sufitom oraz okurzonym lampom, siedziała na starych schodach, które były tu od wybudowania szkoły. Dotykała opuszkami tych starych miejsc i miała nadzieję, że może jej matka też to robiła. Że pomimo tego dzielącego je czasu stały w tych samych miejscach, patrzyły na te same rzeczy.

Została na jeden kierunek, potem na drugi i kolejny. Wszystko, byle tylko nie wracać do domu. Mimo że mogłaby wynająć mieszkanie, wyjechać gdzieś daleko, coś ciągnęło ją do miejsc z dzieciństwa: to był cholerny sentyment, który nie pozwalał jej ruszyć do przodu. Trzymała się kurczowo rzeczy, miejsc i wspomnień i ciągle myślała, myślała...

– Odbierz ten telefon, Greto, błagam – powiedziała wreszcie Letycja. – Może jestem stara, ale wcale nie głucha. Nie wytrzymam dłużej tego brzęczenia. Doprowadza mnie do szału. Ciebie nie?

– Trochę, chociaż bardziej człowiek, który dzwoni – odrzekła, nie ukrywając irytacji. Uniosła brwi i spojrzała za okno. Zagryzła wargę i długo ją skubała, aż pojawiła się krew.

– Kto dzwoni?

Greta nie odpowiedziała. Wtedy Letycja zadała inne pytanie:

– To ktoś bliski, prawda? Nie czułabyś takich emocji wobec kogoś, kto nie jest dla ciebie ważny.

Na te słowa Greta zareagowała od razu. Szybko odwróciła głowę w kierunku Letycji, z oburzenia aż poczerwieniała na policzkach. Bardzo chciała coś powiedzieć, ale nie była pewna, jakich słów użyć, by wyrazić to, co poczuła. Zestawienie wyrazów „ważny" i „ojciec" jakoś jej nie pasowało. Teraz, w takich emocjach, nie była w stanie pojąć, że Letycja miała dużo racji. Nie odczuwamy gniewu czy żalu wobec kogoś, kto nie był lub nie jest dla nas istotny. W końcu odebrała telefon.

– Halo – powiedziała beznamiętnie i przewróciła oczami.

– Greta? – usłyszała głos ojca i od razu poczuła, jak zaciska się jej żołądek. – Nareszcie. Już miałem dzwonić na uczelnię, żeby wywołali cię do telefonu w dziekanacie.

– Przestań. Nie dramatyzuj. Jestem zajęta. Co się stało, że dzwonisz?

– Chciałem zaprosić cię na obiad. Dawno się nie widzieliśmy.

– O, to ciekawe. Od jak dawna się przejmujesz, kiedy ostatni raz się ze mną widziałeś? – Po drugiej stronie zapadła cisza. Greta słyszała tylko oddech ojca.

– Nie zaczynaj, Greta. Przyjedziesz w sobotę?

– Nie wiem, wątpię. Pracuję nad czymś na studia.

– Chętnie posłucham, opowiesz mi.

– Wątpię, czy znajdę czas, naprawdę. Nie nastawiaj się. A teraz muszę już kończyć. – Nie czekała, aż jej odpowie. Rozłączyła się i odłożyła telefon do torebki. Zanim to zrobiła, wyłączyła go zupełnie. Letycja przez tę chwilę czytała listy, które leżały na stole. Teraz jednak uniosła wzrok

i przenikliwie popatrzyła na Gretę. Nie chciała zaczynać rozmowy o jej ojcu, ale dostrzegła, jak dziewczyna się miota, gubi, jak momentalnie stała się chaotyczna i rozkojarzona.

– Jednak ojciec? – podsumowała.

– Tak. Ojciec.

– Pamiętam, jak kiedyś wspomniałaś, że po śmierci mamy oddaliliście się od siebie. Nie mówiłaś jednak dlaczego...

– Nie musieliśmy się w sumie oddalać, on nigdy nie był blisko.

– Ja wiem. Wiem, że jak człowiek jest zły i ma żal, to podejmuje decyzje tylko pod wpływem emocji i wtedy one są najczęściej... takie przyziemne, Greto. Proste emocje, pod wpływem których działamy, nie niosą niczego dobrego... – ciągnęła Letycja. Była przy tym zamyślona i trochę nieobecna.

Teraz Greta przyglądała się jej z ciekawością. W końcu sama powiedziała:

– Może tak jest, ale mam dość myślenia za innych, ratowania relacji za kogoś, płakania przez kogoś. Mam też dość ciągłej nadziei, że będzie dobrze, podczas gdy wcale nie jest. Ileż można?

– To jest właśnie jedna z największych trudności, jakich powinniśmy się podjąć w życiu. Może zabrzmi to górnolotnie... ale powinniśmy wznieść się ponad gniew i ponad żal. Pomyśleć czasami za kogoś dla własnego dobra. Budować, a nie burzyć. To jest najważniejsza lekcja w życiu każdego z nas. I uczymy się jej...

– ...i głupi umieramy, pani Letycjo.

– Tak. Głupcami umieramy, choćbyśmy mieli pięć fakultetów z wyróżnieniem.

– A nie lepiej się po prostu odciąć?

– To jest łatwiejsze. Na pewno. Ale czy skuteczne? Czy coś zmieni? Czy pozwala ci się lepiej czuć? Zastanów się, Greto, ile dobra wyniknęłoby z tego, gdyby tak naprawdę dobrem zwalczać zło. Gdybyś tak postanowiła być ponad tym, co czujesz obecnie do ojca, i podjęła kroki, które was uratują, i nawet gdybyś miała to zrobić sama, za was dwoje...

– To ckliwe przekonania, pani Letycjo, niemające nic wspólnego z prawdziwym życiem. Dzisiaj, jeśli się nie zawalczy o siebie i o swoje poglądy, inni nas zjedzą.

– Ten gniew, który czujesz, Greto, był kiedyś miłością... – odparła starsza kobieta.

Później chwyciła w dłonie jeden z listów, przeczytała krótki fragment i powiedziała:

– Kiedyś było inaczej. A gdy Polskę zaatakowała Trzecia Rzesza, nastroje i nasze przekonania zmieniły się zupełnie. W tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku, jak pamiętasz, zniknął mi nagle Karol.

* * *

Auschwitz-Birkenau

1943

Drogi Karolu,

nieskrywaną radość uczyniłeś mi swoimi słowami. Niebywałe, że w takim miejscu, gdzie śmierć codziennie mówi nam „dzień dobry" i „dobranoc", wita nas swoimi ślepiami, które żarzą się jak reflektory nad kolczastymi drutami, znaleźliśmy siłę, by spojrzeć na siebie tamtego dnia.

Gdy dotarł do mnie list od Ciebie, serce zabiło mi szybciej. Twoja niepewność, czy mój wzrok skierowany był na Ciebie, troszkę mnie rozbawiła. Jakże mogłabym patrzeć w inne oczy, skoro te, tak niebieskie, przejrzyste, już z daleka skradły bicie mojego serca? Przyspieszyło, gdy trafiliśmy na siebie w tym chaosie. I pomyślałam wtedy, ile szczęścia trzeba mieć, by pośród tysięcy innych oczu trafić na te jedne, właściwe.

Tak. Nie miej więcej wątpliwości. Napisz mi lepiej, drogi Karolu, jak tu trafiłeś. Bo za każdym z nas, za każdym bezimiennym numerem kryje się prawdziwe imię – to już znam – i historia, która doprowadziła nas do tego właśnie momentu.

Świat obozowy jest tak bardzo brutalny, ale chcę wierzyć, że przetrwamy. Kiedy ma się po co trwać, jest znacznie łatwiej.

Będę czekać na Twój list

Letycja

Karol nie odpisał. Czy list trafił do niego, Letycja nie umiała odgadnąć. Czy mogła zauroczyć się chłopcem, z którym połączyło ją kilka spojrzeń i kilka szczerych słów? Możliwe. Czasami można znać kogoś latami i nie znać go wcale. Można też niespodziewanie skrzyżować spojrzenie z kimś innym

i w kilka dni, tygodni, miesięcy wiedzieć, że to właściwy czas, miejsce i przede wszystkim – właściwa osoba.

– Gdy ktoś jest ci pisany, nie unikniesz spotkania – powiedziała Celina, widząc zamyśloną Letycję.

Po zniknięciu Karola dziewczyna zgasła i było w niej jeszcze mniej życia, jakby ta niewiedza i tęsknota wysysały z niej resztkę tego, czego obóz nie zabił.

– Jeśli więc ma być twój, a ty jego, to i tak to się stanie. Nie skrócisz ani nie wydłużysz czasu tego oczekiwania. Będzie go w sam raz, dokładnie tyle, ile ma być. Jeśli więc coś ma być dla ciebie, puść to. Samo pojawi się w twoim życiu. Moja babka mawiała, że czas to wielki dar. Pozwala na tęsknoty po to, aby przekonać się, że to, co przed tobą, jest warte czekania. Jeśli mijają dni, a ty ciągle tęsknisz, myślisz, czy ta osoba wstała, zasnęła, czy dobrze się czuje i czy żyje… to chyba już wiesz, że warto.

– A jeśli on nie żyje? – załkała Letycja i po policzku spłynęła jej samotna jedna łza. Szybko starła ją dłonią.

– Czarnowidztwo nie pomoże.

– Ale wiesz, jak tu jest. On może nie żyć. – Te ostatnie słowa zaakcentowała mocno, z gniewem, ponieważ dobrze wiedziała, że nie ma na to wpływu nikt… A niewiedza doprowadzała chwilami do obłędu.

– Może. Ale może też żyć. Mogli go przenieść do innego komanda albo wywieźć transportem… Porozmawiam z Hubertem, może on coś wie.

– Tamtej nocy z lagru męskiego ruszyły wagony. To prawda – dodał ktoś leżący na górnej koi.

– A jeśli spotkała go śmierć za te listy i za zakazaną miłość tu, w obozie? – Letycja nie umiała teraz inaczej.

Czarne scenariusze wypełniały jej myśli i już sama nie wiedziała, czego boi się bardziej. Jego śmierci czy tego, że mogliby stąd wyjść i spróbować żyć na wolności. Zakochać się. Dać się porwać temu wszystkiemu, co świat ckliwie nazywał miłością.

– A jeśli nie? – ucięła znudzona już lamentem dziewczyny Celina. – Idziemy spać. Te myśli cię nie uspokoją, wręcz przeciwnie.

– Próbowałaś go znaleźć... – ciągnęła Letycja. – Ty przecież możesz wszystko. A nie dowiedziałaś się, gdzie jest i co się z nim stało.

– Bóg może wszystko. Ja tylko po ludzku czasami umiem się czegoś dowiedzieć. Ale to nie znaczy, że znajdę odpowiedź na każde pytanie. Nikt nie powiedział mi, że Karol został zabity. A to już tutaj wiele znaczy, nie sądzisz?

Letycja skinęła głową. Nie przemawiały do niej te słowa otuchy, ale nic poza nadzieją, że chłopak o niebieskich oczach nadal żyje, jej nie pozostawało. Nocami myślała, co mogło się z nim stać i dlaczego wieść o nim nagle przepadła, nawet wśród więźniów, którzy najczęściej wiedzieli, co się komu przytrafiło. Rozmyślała też o tym, jaka historia kryła się w jego imieniu i jaką drogą trafił tu, do miejsca śmierci.

Warszawa

czasy obecne

– Nigdy nie dowiedziałam się, co tak naprawdę wydarzyło się tamtej nocy. Karol, nawet po wojnie, tego mi nie opowiedział, nie chciał mówić. W ogóle mówił niewiele o obozie i o tym strasznym miejscu, w którym się poznaliśmy.

– A dowiedziała się pani, jaka historia kryła się za jego imieniem? To znaczy jaka droga doprowadziła go do Auschwitz?

– Tak. To opowieść, którą bardzo chciałam ci przekazać, ale zanim to... musimy chyba coś zjeść. Ileż można mówić? – Letycja odchrząknęła. Zaschło jej w ustach. Greta dopiero teraz poczuła, że ssie ją w żołądku. Za oknem już zmierzchało.

Kuchnia Letycji była niewielka. Schludna, ale wyposażona raczej w stare sprzęty, poniekąd przenosiła w czasie. Greta z ciekawością spoglądała na niektóre urządzenia, które jako dziecko widziała w domu swojej babci. Stare radio Tesli, mała lodówka z zamrażarką, obraz przedstawiający Dionizję, wiszący na ścianie w lekko zakurzonej ramie.

Letycja otworzyła lodówkę. Niewielka zamrażarka, mieszcząca się w środku, ledwo się domykała. Greta, niewiele myśląc, podeszła, by ją domknąć. Letycja niespodziewanie się zaśmiała.

– Nie dasz rady – powiedziała kpiąco. – Mam tam sporo chleba. Mogę nie mieć w domu różnych rzeczy, mogę nie mieć czegoś do chleba, mięso jest zbędne. Wędliny? Niekonieczne. Nawet warzywa nie są mi potrzebne, choć je oczywiście mam. – Wskazała dłonią na półkę w lodówce. – Ale pieczywo musi być. Taki lęk o wojennym podłożu. W czasie wojny, a szczególnie w niewoli w Auschwitz, najdrogocenniejszą walutą był chleb. Nie pieniądze. No bo co kupisz za pieniądze

w takim miejscu? Nie zjesz papieru... Choć niektórzy próbowali. Za to chleb... Och! – westchnęła na to wspomnienie i na chwilę zmrużyła oczy. Zmarszczki wokół nich momentalnie się pogłębiły, a na jej czole pojawiły się wyraźne bruzdy. – Za chleb można było załatwić niemal wszystko. I przede wszystkim żyć. Dla głodnego człowieka, dla umierającego wręcz z głodu, kosztowności były nic niewarte. Liczyło się tylko to, by coś zjeść. Widziałam na własne oczy takich ludzi. Bardzo chudych, wyglądających jak kościotrupy obleczone skórą. Na widok chleba ich i tak wielkie oczy rozszerzały się przerażająco. Zachowywali się jak obłąkani. I w jakimś sensie pewnie byli obłąkani. Ja też byłam. Wiesz, że czasami szklanka wody przypomina o tamtych chwilach? Wody też nie mieliśmy. Dawali nam rano pół litra czegoś, co nazywano herbatą albo kawą. Ale to były jakieś parzone zioła, gorzkie, czasami palące jak piołun. I tyle. Niektóre spragnione kobiety piły wodę z kałuży po deszczu. I za to można było stracić życie, wyobrażasz sobie? Zimą niektóre lizały zamarznięte szyby. Tylko szyb wiele w obozie nie było. – Gorzko się zaśmiała. – Pamiętam... jak któregoś lata przechodziłam koło takiego baraku z szybami i wtedy pierwszy raz od wielu miesięcy zobaczyłam swoje odbicie. Przeraziłam się. Widziałam przecież tych strasznych ludzi, te cienie, ale nie zdawałam sobie sprawy albo nie dopuszczałam do siebie myśli, że wyglądam dokładnie tak samo...

Greta spuściła wzrok. Przy historiach opowiadanych przez Letycję to wszystko, co ją trapiło, wydawało się błahe i tak nieistotne.

– Niby wiemy o historii wiele, ale nic nie pozwala tak dobrze zrozumieć ludzkich losów w tamtych czasach jak

prawdziwe opowieści. Czytałam je nie raz, słuchałam nagrań, ale muszę przyznać, pani Letycjo, że spotkania z panią w cztery oczy sprawiają, że patrzę na historię zupełnie inaczej. Mam ciarki, gdy siadamy do czytania listów, a kiedy pani opowiada... przede mną pojawiają się realne obrazy.

– Dobrze, już dobrze... Przerwijmy na chwilę... – westchnęła cicho Letycja. – Muszę odpocząć. – Oparła głowę o dłoń wspartą na stole. – Tam w szafce – wskazała palcem – jest coś do chleba. Zrób kanapki, Greto. A tam – tym razem pokazała na drzwiczki do małej spiżarki w głębi kuchni – znajdziesz piernik. Pokrój ciasto, zjemy je sobie do herbaty. Ja muszę chwilę odpocząć...

Mimo swojego wieku i niepełnosprawności Letycja miała w sobie dużo energii. Widać było jednak, że życie w niej gaśnie. I to nie ze względu na datę urodzenia. Starzała się jej dusza, niespełniona i pragnąca marzyć.

Greta nigdy nie zapytała jej, jak to się stało, że jeździ na wózku. Domyślała się, że to nie jest część tej opowieści, dlatego z grzeczności nie poruszała tematu. Zastanawiała się, jak to możliwe, że przez długi czas starsza pani żyła w tym mieszkaniu zdana jedynie na siebie. Umarłabym z nudów – pomyślała Greta.

Letycja roztaczała wokół siebie niezwykłą aurę. Często zamykała oczy, gdy opowiadała swoje historie. Czasami jej głos zastygał w konkretnym momencie, wtedy Greta wiedziała, że to coś ważnego. Czasami uśmiechała się, a czasami milczała. Greta przez te i kolejne dni zaczynała rozumieć, że nie tylko słowa tej opowieści są ważne, ale też to, co pomiędzy nimi. Czytała więc z mimiki starszej pani i szukała znaczeń jej gestów. Zastanawiała się, dlaczego

akurat w tym, a nie w innym momencie Letycja wstrzymała oddech albo uroniła łzę. Słowa – jak kiedyś powiedziała kobieta – były istotne, ale dopiero razem z tym wszystkim dookoła nabierały głębszego znaczenia. Z godziny na godzinę, z tygodnia na tydzień Greta miała uczyć się obserwować i rozumieć innych. Umiejętność słuchania miała jej przyjść najszybciej. To wszystko było już zapisane w jej losie, miało się wydarzyć, ponieważ zdecydowała się wejść do mieszkania starszej pani. Greta jednak nigdy nie sądziła, że nauczy się mówić sama o sobie.

Na stole leżały już kanapki i pokrojony piernik. Z kubków unosiła się para. Greta spoglądała na drzemiącą na wózku Letycję. Prawie sama zasnęła, gdy niespodziewanie ktoś zapukał do drzwi. Nie było to jednak tylko stukanie. Ktoś odważnie chwycił za klamkę i próbował je otworzyć. Letycja spała jak kamień, ale Greta zerwała się na równe nogi. Nikt nigdy nie przychodził, gdy tu była. Podeszła z wolna do drzwi i spojrzała przez judasza. Tuż przed nią, po drugiej stronie, stał młody mężczyzna. Jasne włosy, przyjemna buzia, nieco okrągła, przejrzyste, niebieskie oczy. Wydawał się bardzo wysoki i, jak zauważyła Greta, niecierpliwy. Uniósł rękę i znów donośnie zapukał.

– Babciu, to ja – powiedział wreszcie.

– Babciu? – wyszeptała Greta z niedowierzaniem.

Nic dziwnego nie było w tym, że Letycja miała wnuka, jednak nigdy nie wspominała, że ktoś ją tu odwiedza. Mężczyzna się niecierpliwił. Może nawet zaniepokoił. Spojrzał w judasza z zaciekawieniem. Czyżby usłyszał dźwięk odsuwanej osłonki? Dobrze wiedział, że babcia nie stanęłaby na własnych nogach, by zajrzeć, kto jest po drugiej stronie.

Teraz patrzył prosto w oczy dziewczyny, nie wiedząc, że tam stoi jakaś Greta. A ona patrzyła na niego.

– Halo? – usłyszała ponownie głos.

Odsunęła się od drzwi i spojrzała na śpiącą Letycję. W jej głowie kotłowały się myśli i nie do końca wiedziała dlaczego. Czy to niespodziewana wizyta, czy może jego oczy tak na nią podziałały. Chwyciła za klamkę i przekręciła zamek. Raptownie uchyliła drzwi i stanęła twarzą w twarz z mężczyzną.

– Dzień dobry – powiedziała zbyt hardo jak na gościa w mieszkaniu Letycji.

Chłopak o blond włosach i niebieskich oczach był naprawdę bardzo wysoki. Sięgała mu najwyżej do ramion.

– Dzień dobry… – odpowiedział niepewnie. – Aaaa, pani to pewnie pielęgniarka? Babcia mówiła…

– Nie… – zaczęła Greta.

– To zapewne przyniosła pani zakupy. No tak, uczyłem babcię, jak ogarniać zakupy online, ale jest oporna. Chociaż całkiem nieźle radzi sobie w internecie. – Te słowa powiedział, wchodząc do mieszkania.

– Ja nie jestem… – chciała wytłumaczyć Greta, ale chłopak nie dawał jej takiej możliwości.

– Bo nie jest pani chyba włamywaczką? – zażartował.

– To na pewno nie. – Uśmiechnęła się.

I teraz on zatrzymał wzrok na jej ustach. Miała piękny uśmiech. Każdy jej to mówił. Pełny, idealny, jak maślany rogal.

– Całe szczęście... – zaczął, ciągle zapatrzony w jej delikatne rysy ust. Później szybko podniósł wzrok i skupił się na oczach. – Bo musiałbym panią stąd wyprowadzić...

– Albo zadzwonić po policję – powiedziała stanowczo.

– Jaką policję? – Z kuchni dobiegł ich głos Letycji. – Hubert! Jak dobrze cię widzieć! Nie byłeś u mnie wieki. – Chłopak spojrzał zażenowany na babcię, potem na Gretę. Chyba nie chciał, aby dziewczyna wiedziała, że zbyt rzadko, rzadziej, niż chciałby, ją odwiedza.

– Cześć, babciu. – Podszedł i ucałował jej lewy policzek. – Widzę, że humor ci dopisuje, więc chyba czujesz się nie najgorzej, co? – Odwrócił się i położył na stole siatkę z zakupami, którą cały czas trzymał w ręce.

– A żebyś wiedział, że nie najgorzej.

– I masz pomoc. – Spojrzał, trochę ukradkiem, na Gretę. Dziewczyna uśmiechnęła się i spuściła głowę.

– Jaką pomoc? – Teraz Letycja patrzyła ze zdumieniem to na wnuka, to na Gretę. I nagle na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. – A! Że Greta przychodzi tu do pomocy? Nie, nic z tych rzeczy. My razem tworzymy projekt wojenny.

– Projekt? – zdziwił się Hubert i nagle na jego policzkach pojawiły się rumieńce.

Gdy Greta uniosła wzrok, on patrzył na nią z jeszcze większym zaciekawieniem niż do tej pory.

– Jestem studentką historii. Pana babcia opowiada, a ja... staram się to wszystko opisać.

– To chyba dobrze? Cieszę się! To znaczy, to nie moja sprawa, ale to chyba dla babci ważne... – Nie umiał dobrać

odpowiednich słów, zaczął się jąkać, jego rumieńce teraz rozlewały się też na uszy. Wywołał tym śmiech tak u Grety, jak i u Letycji.

– Będziemy tworzyć mój pamiętnik – pochwaliła się kobieta. I gdy użyła tych właśnie słów, Greta nagle podeszła do stołu i nerwowo zaczęła przeglądać leżące na nim materiały.

– Pani Letycjo, właśnie wpadłam na genialny pomysł! Nie tylko napiszemy pamiętnik. Stworzymy prezentację i przygotujemy prelekcję, na której to pani osobiście opowie studentom całego uniwersytetu o swoim życiu. Co pani na to? – Z nadzieją spojrzała na starszą panią.

Letycja nie zastanawiała się długo. Milczenie przez wiele lat o tym, co było dla niej tak istotne, zaczynało budzić coraz większe rozgoryczenie. Tłumiła w sobie emocje, czuła się niepotrzebna i niewysłuchana. Chwilami odnosiła nawet wrażenie, że trzyma w sobie wspomnienia sprzed lat i uczucia, które dławią jej umysł i ciało. Siedząc tylko przy oknie, przyglądała się setkom ludzi każdego dnia i czuła, że sama traci życie, i nie wierzyła już, że w takim wieku i ze swoimi doświadczeniami mogłaby zaznać jeszcze czegokolwiek. Poddawała się każdego dnia coraz bardziej, zapadała się w sobie, bała się samotności jak noc, która nie chce poznać wschodu słońca. Odpowiedź na pytanie Grety przyszła więc szybko.

– Bardzo chętnie! – Kobieta klasnęła w dłonie, a Greta miała wrażenie, że przez ułamek sekundy Letycja uniosła się, podpierając się na własnych nogach.

* * *

Hubert został na kolację, a później towarzyszył kobietom do późnej nocy. Greta miała w aucie przygotowaną torbę, ponieważ wiedziała, że zostanie na noc. Letycja liczyła, że młoda studentka w najbliższych dniach, a może i tygodniach, niemal z nią zamieszka, i często nawiązywała do tego w rozmowach.

W ciągu wszystkich lat samotności odkrywała w sobie historie z przeszłości na nowo. Rozpamiętywała w dzień, by nocami móc śnić i odpoczywać. Tęskniła, pragnęła, miała jeszcze marzenia, mimo że – jak sama mawiała – bliżej jej było do końca. Gdyby spojrzeć na nią z oddali albo wręcz zamknąć oczy i posłuchać, co i jak mówi, można by odnieść wrażenie, że jej dusza i myśli są młode i pełne werwy. Prawdopodobnie było w niej więcej chęci życia niż w Grecie.

To nie tak, że Letycja nie nosiła w sobie smutku. Miała go wiele, tylko że potrafiła przesiać go, jak kiedyś jej babcia pszenicę z łusek, gdy szykowała wigilijną kutię. A był to proces żmudny i owiany nutą magii.

Babka Letycji czekała na wietrzny grudniowy dzień. Kładła na śniegu białe prześcieradło, na które przez okno na strychu wysypywała pszenicę z wiadra. W ten sposób wiatr zabierał to, co niepotrzebne, a cenne i pożądane ziarna spadały odsiane na białą płachtę. Mała Letycja lubiła patrzeć, jak jej babcia krok po kroku szykowała wigilijną potrawę. Już zawsze miała zapamiętać te momenty jako wyjątkowe tradycje rodzinne. Wracała do nich czasami z rozczuleniem. Z tęsknotą za latami, gdy była mała, troski były jedynie błahostkami, a cały świat mieścił się w małym domku u babci na wsi lub w starej kamienicy w Warszawie. Myślała o całym swoim przeżytym życiu. Przez lata zrozumiała, że człowiek

potrzebuje bolesnych doświadczeń, by dostrzec, jak ważna jest radość, żałoby, by pojąć, jak istotne i kruche jest życie, i wreszcie rozłąki, by poczuć, jak mocno się kogoś kocha.

– Późno już – powiedział Hubert. – Będę uciekać, ale miło było spędzić z wami – spojrzał dyskretnie na Gretę – czas. I posłuchać trochę rodzinnych opowieści. Mało o tym opowiadałaś, babciu, do tej pory.

– Może za mało pytałeś? – skwitowała Letycja. – Dobrze wychowany człowiek mówi tyle, na ile inni mu pozwolą, no chyba że świat wymaga buntu, wtedy trzeba mówić więcej i głośniej. Ale w codziennym życiu słowa trzeba ważyć, niepytanym się nie odzywać, nieproszonym się nie wpraszać...

– Babciu, za dużo filozofujesz... – roześmiał się Hubert.

To prawda – nie poświęcał babci tyle uwagi, ile powinien, a był jej jedyną rodziną tu, w Warszawie. Teraz, gdy spędził z nią tak miły wieczór, poczuł ukłucie w sercu: przecież mógł spotykać się z nią częściej, mógł zapytać o jej historię dużo wcześniej. Zawsze jednak był jakiś powód, by nie przyjechać, choć mieszkał kilka ulic dalej. Praca, podróże, awans, kariera. Wszystko, tylko nie rodzina.

Gdyby Hubert głębiej się zastanowił, doszedłby do wniosku, że to jednak Greta go tak zaintrygowała i gdyby nie jej obecność, prawdopodobnie wypiłby herbatę i odpisując w pośpiechu na maile, pożegnałby się z babcią po kilku minutach.

– Ja też już pójdę, pani Letycjo. – Greta wstała od stołu.

– Ależ nie ma mowy – zaprzeczyła kobieta. – Musimy jeszcze dziś pogrzebać w listach.

– Jest pani zmęczona. Powinna pani odpocząć i się wyspać. Taka praca nad wspomnieniami jest obciążająca. Mam tego świadomość.

– Od lat nie czułam się tak potrzebna.

– A ja nie chcę mieć pani na sumieniu. Pobladła pani w ostatnich dniach. Koniecznie proszę o siebie zadbać. Ja jutro przyniosę jakieś małe zakupy. Ugotuję coś dobrego i wtedy usiądziemy do pierwszego rozdziału pani pamiętnika.

– No dobrze… – zgodziła się niechętnie. – Ale zanim pójdziesz, mam do ciebie jedną prośbę.

– Tak?

– Włącz telefon i zadzwoń do ojca.

* * *

1943

Letycjo,

dostałem list od Ciebie późno w nocy. Przyniesiono mi go niespodziewanie, a tak był wyczekany. Ile musiałaś zaryzykować, by do mnie dotarł? Naszły mnie straszne myśli, że naraziłem Cię na niebezpieczeństwo, prosząc o odpowiedź.

Tak wielką radość sprawiłaś mi tym listem i swoim zapewnieniem. Ja odwdzięczę się obietnicą, że kiedy stąd wyjdziemy, znajdę Cię. Odszukam Cię, choćbym miał zjeździć cały świat, by do Ciebie dotrzeć. Choć łatwiej byłoby,

gdybyś napisała, gdzie szukać powinienem. Bo to skróci czas naszej rozłąki.

Tej nocy…

List urwał się niespodziewanie. Widać było, że ostatni wyraz zapisano w pośpiechu. Letycja tak nagle zapłakała, że Greta nie wiedziała, jak powinna zareagować. Nie spodziewała się, że emocje kobiety nadal są tak żywe. Liczyła, że list przyniesie jedynie wyjaśnienie opowieści, nie zakładała, że zrodzi jeszcze więcej pytań i obudzi uśpione uczucia.

Auschwitz-Birkenau

październik 1943

– Mam! – Jeśli szept mógłby być nazwany krzykiem, właśnie tak by brzmiał. Podekscytowana Celina podeszła do Letycji i niemal niezauważalnie wsunęła gryps w jej dłoń.

– Co masz? – Dziewczyna spojrzała mętnie. – Z czego się tak cieszysz?

– Jak zobaczysz, sama się ucieszysz. – Celina stała i kiwała głową, by zachęcić Letycję do rozłożenia kartki. Gdy to zrobiła, natychmiast rozpoznała pismo. Nieświadomie się wyprostowała, a jej twarz, tak szara i zmęczona, pozbawiona witalności, nagle się rozpromieniła. – Mówiłam… – Celina uśmiechnęła się szelmowsko, zadowolona z siebie.

– Skąd… – mówiła i jednocześnie czytała. – Skąd to masz? Przecież nie wiedziałyśmy, czy Karol tu jeszcze jest. – Szybko

podniosła wzrok i spojrzała pytająco na koleżankę z baraku.

– Tego nie wiem. Nikt nic nie wie. Hubert z Kazikiem mi to przekazali. Karol teraz przepadł, ale list jest. Powiesz, co tam napisał? Może jest jakieś wyjaśnienie... i zaraz się wszystkiego dowiemy.

Celina pomagała Letycji już nie dlatego, że czegoś chciała. Zresztą Letycja nic już nie mogła jej dać. Pomagała, bo widziała, ile w tej nastoletniej dziewczynie jest chęci do życia na samą myśl o tym chłopcu. A tu, w Auschwitz, nic poza chęcią do życia nie mogło uratować człowieka i dać mu szansy na przeżycie.

Wokół Letycji zebrały się najbliższe jej kobiety, w tym Anna, i patrzyły na nią wyczekująco. Wszystkie przeżywały z nią zniknięcie Karola. Ta historia pozwoliła im oderwać myśli od innych problemów, z którymi musiały się borykać w obozie. Teraz, gdy Letycja trzymała w dłoniach list, na ich twarzach pojawiły się nieznaczne rumieńce i uśmiechy, smętne, ale jednak.

– „...Tak wielką radość sprawiłaś mi tym listem i swoim zapewnieniem. Ja odwdzięczę się obietnicą, że kiedy stąd wyjdziemy, znajdę Cię. Odszukam Cię, choćbym miał zjeździć cały świat, by do Ciebie dotrzeć. Choć łatwiej byłoby, gdybyś napisała, gdzie szukać powinienem. Bo to skróci czas naszej rozłąki. Tej nocy...” Tu się urywa... – powiedziała z niepokojem, szybko uniosła głowę i spojrzała pytająco na Celinę. Ta jednak nie wiedziała nic więcej. Kobiety spoglądały na siebie podenerwowane i z zawodem. – Tu nie ma nic więcej! – krzyknęła Letycja, nie bacząc na blokową, która stała przy drzwiach do baraku. Teraz odwróciła głowę i zainteresowała się nielegalnym spotkaniem kobiet.

– Uspokój się – syknęła Celina. Sama czuła zawód. Wszystkie to poczuły. Czekały na jakiś znak życia od Karola, a teraz było jeszcze gorzej.

– Co może oznaczać przerwany w pół zdania list?! – mówiła Letycja nadal podniesionym głosem, łkając. – No jak myślisz?

– Tak, wiem, jak to wygląda. Ale tu nic nie musi być tym, czym wydaje się na pierwszy rzut oka, sama wiesz – uspokajała ją.

Wtedy rozległo się znajome trzaśnięcie. Bat odskoczył od pleców Letycji. Po brudnym pasiaku pociekła krew, a dziewczyna upadła na kolana. List, który wypadł jej z dłoni, podniosła niezauważenie Celina i schowała go za pazuchą. Później patrzyła na leżącą na klepisku koleżankę, nad którą nadal wisiał bat, ale nie mogła zrobić już nic więcej.

Letycja szukała Karola w całym obozie. Celina zasięgnęła języka w innych komandach, nawet u robotników cywilnych. Nikt jednak nie wiedział na pewno, co się z nim stało. Jedni mawiali, że został zabity, inni plotkowali o jakichś transportach specjalnych[15] i obstawiali, że może wywieziono go gdzieś jednym z nich...

– ...o ludziach wywożonych transportami specjalnymi często nigdzie się nie pisze – tłumaczyła Celina. – To sprawia, że znikają bez śladu. Ale nie znaczy, że ich zabili. Z polecenia Huberta jednostki konspiracji sprawdzają, co mogło się stać, ale możliwe, że się tego nie dowiemy. Trzeba po prostu poczekać.

– Transport specjalny brzmi jak wyrok śmierci – mówiła Letycja. Nie było w niej już nadziei i siły, by płakać. –

Słyszałam, jak kobiety rozmawiały, że w takich transportach przenoszą do tajnych ośrodków zagłady albo wywożą gdzieś na eksperymenty, że tak znikają politycznie niewygodni więźniowie. A przecież nie znam historii Karola, nie zdążył mi jej opowiedzieć. Nie wiem zatem, czy groziła mu śmierć, przesłuchanie czy cokolwiek innego, Celinko.

– Nic nie zrobisz. Trzeba wierzyć.

Letycja zacisnęła palce. Usta jej się trzęsły, ale nie od zimna.

– Oni nie mówią. Nie tłumaczą – wyszeptała Celina. – A teraz weź się w garść. Rozumiesz? – wycedziła przez zęby bardzo dobitnie każde słowo. – Bo jeśli on żyje, a ty tu zginiesz, snując czarne scenariusze, które nie wiadomo, czy są w ogóle prawdziwe, to do kogo on wróci?

– Jak mam uwierzyć, jeśli nie wiem?

Koleżanka niedoli pokiwała głową. Rozumiała. Każdego dnia uczyły się wierzyć bez dowodów i nie wierzyć mimo znaków.

– Może nie musisz wierzyć, tylko… pozwolić sobie nie wiedzieć. I żyć z tym, że on może nie wróci. Że już go zabrało to, czego nie rozumiemy. Ta machina zła, jakiś obłędny system, do którego zostaliśmy wrzuceni. I jeśli odejdzie… to tylko wtedy naprawdę będzie mógł być z tobą. Tu, w tobie. – Dotknęła jej klatki piersiowej dłonią. – Nie tam, w tej bramie. – Popatrzyła w stronę komór, skąd się już nie wraca. – Ale może jest zupełnie na odwrót. On przebywa teraz w podobozie i właśnie myśli, jak się z tobą skontaktować…

Letycja wtuliła się w jej ramię. Dla Celiny relacja Letycji i Karola była czymś, co i jej pozwoliło poczuć dawno

stłumione emocje. Do tej pory żyła tu i teraz, podchodziła do wszystkiego zadaniowo. Współpracowała z konspiracją i z siatką starannie dobranych osób, które nawet tu, w niemieckim obozie, pozwalały na kontakty z niemal każdym komandem i ze światem poza drutami. Zgubiła gdzieś siebie w tym wszystkim, zatraciła empatię. A teraz tuliła dużo młodszą koleżankę i serce jej pękało.

Ona też tu kogoś straciła. W pierwszych dniach, gdy trafiła do obozu, w komorze zabito jej siostrę, brata z żoną i ich dziecko. Rodziców już nie miała, bo wojna zabrała ich wcześniej. Została sama i ta samotność miała już jej towarzyszyć. Nie chciała dopuszczać do siebie drugiego człowieka, i to nie dlatego, że była zimna i pozbawiona emocji, a dlatego, że nie mogła znów pokochać i znów cierpieć z powodu straty. Tak właśnie postanowiła. Zdecydowała, że nie będzie tu na nikogo patrzeć przez pryzmat emocji, że jej pomoc ograniczy się do rzeczowych i konkretnych działań, że zawsze będzie to transakcja. Tymczasem polubiła drobną, stęsknioną za Karolem Letycję i zrobiłaby dziś wszystko, by ulżyć jej w cierpieniu, więc trwała przy niej. Jedyne, co mogła zrobić, to po prostu być. Być obok.

* * *

Październikowy wiatr niósł zapach dymu i jeszcze czegoś, co Letycja nauczyła się rozpoznawać bez słów. Nikt nie chciał głośno tego nazywać, ale przecież wszyscy wiedzieli, co dzieje się w krematoriach. Niebo nad Birkenau miało kolor starego popiołu.

Szła szybko, choć jej nogi drżały ze zmęczenia i głodu. Miała tylko kilka nielegalnych minut, by spotkać się z Anną. Znalazła ją przy baraku numer dwadzieścia pięć, gdzie zaczynał się teren magazynów Kanady. Anna siedziała skulona przy ścianie baraku, z kawałkiem materiału w ręku. Jej policzki, choć wychudzone, nie miały już ziemistego odcienia, jaki cechował je miesiącami. Udało się jej. Na razie przeżyła. Od kiedy zaczęła pracować w Kanadzie, jej kondycja się poprawiła. Tam czasami dało się zdobyć skrawek chleba, jabłko, nawet wełniane rękawiczki.

– Zobacz – szepnęła Anna, gdy tylko zobaczyła przyjaciółkę, i rozchyliła materiał. W środku był maleńki haftowany medalik z wizerunkiem Matki Boskiej. – Wpadł mi w rękę między szmatami z ostatniego transportu. Zostawiłam go sobie. Schowałam pod język.

Letycja wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Schowaj to. – Rozejrzała się, czy nikt nie widzi. – Jeśli cię przeszukają...

– Nie zrobią tego – przerwała jej Anna. – Przecież nie przetrwałam niemal śmierci głodowej, żeby teraz oddać to, co daje mi siłę. Moja mama taki nosiła.

Wpatrywała się w medalik jak w drogocenny skarb. Letycja usiadła obok niej. Anna przytuliła się głową do jej ramienia i czuła, że trzyma w dłoni nie tylko kawałek srebra, ale coś znacznie większego. Wiara w takim miejscu tkwi zarówno w duszy, jak i w rzeczach, bo gdy nie ma się nic, to nawet drobiazg trzymany w dłoni bardzo przypomina o życiu.

– A wiesz – powiedziała Anna ciszej – że Kanada czasami pachnie? – Dla Letycji te słowa zabrzmiały nierealnie.

Pokręciła głową, ponieważ nie miała pojęcia, co jej przyjaciółka miała na myśli. – Czasem czuję w nowych walizkach zapach perfum, można tam nawet znaleźć buteleczkę z zapachem Coty[16]. Jakbym była w drogerii mojej matki. Wiesz, tej z Krakowskiego. I wtedy wszystko wraca. Tę szmatkę wzięłam właśnie z takiej walizki, powąchaj. – Podsunęła Letycji materiał pod nos. Rzeczywiście. Przyjemny zapach uderzył w nozdrza dziewczyny, która, jak wszyscy tutaj, czuła tylko smród fekaliów, palonych ciał i brudu. Zapach inny niż te wydawał się tutaj nienaturalny. Letycja z goryczą zauważyła, że po miesiącach życia w nieludzkich warunkach rodziła się nowa codzienność. Wypaczona, ale przyjmowana jak norma. Lustrzane odbicie świata, który kiedyś znała.

– Zapachy spoza świata za drutami – odparła z tęsknotą Letycja.

Zamilkły. Nad ich głowami przeleciał czarny kruk, rzadki widok, bo nad obozem zazwyczaj nie fruwały ptaki. Anna schowała medalik do buta i lekko się uśmiechnęła.

– Przeżyjemy, Letka. Wiesz dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo znamy zapach normalności. Znowu go poczułyśmy. I nie pozwolę, żeby mi go odebrali.

* * *

Deski skrzypiały od wiatru, a pod dachem słychać było kapanie. Ktoś zakasłał w ciemnościach, ktoś inny szeptał modlitwę przez sen. Na zewnątrz deszcz zacinał w drewniane

ściany baraku. Rano, na apelu, będzie chłodno i mokro. Ale może w kałuży wymyją się kobiety spragnione higieny. Może nikt ich nie zauważy i za to nie zabije. Może nawet któraś napije się ukradkiem wody z kałuży. Może przemyje twarz, by zetrzeć z niej brud ostatnich tygodni, jeśli nie miesięcy.

Letycja, skulona na swojej koi, przykryta tylko cienkim, zawszonym kocem, wyciągnęła ze skrytki w ścianie ostatni kawałek papieru i mały ogryzek ołówka. To jedyna szansa, by dotrzeć do niego, gdziekolwiek jest. Dłonią tak drobną i wychudzoną, że nawet ten malutki ołówek wydawał się ciężki, zaczęła kreślić słowa. Pisała wolno, bo każde słowo ważyło więcej niż wszystko, co powiedziała przez ostatnie dni. Trudno jej było w kilku zdaniach ująć to, co czuła w danej chwili. Zbyt ciasne były słowa dla tego, co boli, a uczucia i tak nie mieściły się w zdaniach. Ostatecznie napisała po prostu:

Karolu,

jeśli ten list znajdzie drogę do Twoich rąk, jeśli jeszcze trzymasz w sobie pamięć o mnie, mój obraz, jeśli gdziekolwiek jesteś i nadal bije w Tobie iskra tego samego, co we mnie, to przyjdź do mnie.

Kiedy to wszystko się skończy – przyjdź. Nie wiem, kiedy to będzie. Ale będę czekać.

Ulica Szpitalna 8, Warszawa.

Tam czeka na nas wszystko, co nie zdążyło się wydarzyć między nami. To przedwojenna pijalnia czekolady. Chodziłam tam z ojcem przed wojną… teraz chcę spotkać tam Ciebie.

Jeśli mnie tam nie będzie – poczekaj. Bo może właśnie wtedy będę szła w Twoją stronę.

Twoja

L.

– Gdzie jesteś, Karolu? – wyszeptała do siebie i schowała list do skrytki, by za chwilę dać go Celinie, gdziekolwiek miałby trafić. Może tym razem jakimś cudem do samego Karola.

– Szpitalna osiem…

– Szpitalna osiem…

– Szpitalna osiem, Warszawa – niosło się cichym szeptem po baraku, ale Letycja nie mogła o tym wiedzieć, bo już spała.

– Szpitalna osiem…

– Szpitalna osiem, pijalnia czekolady – miało się nieść po męskim lagrze nazajutrz.

Auschwitz-Birkenau

kilka dni wcześniej

W ciemnym baraku Karol tulił do serca list napisany ręką Letycji. Wspomniała, że to na niego patrzyła… W myślach przywoływał każdą sytuację, w której ją widział. A później usiadł w półmroku światła bijącego z pieca, przy którym siedział blokowy, i skrobał na kartce odpowiedź do Letycji. Trzymał ołówek, jakby był najcenniejszym skarbem. Pisząc, oddychał cicho, a jego dłoń drżała lekko. Nagle drzwi baraku rozwarły się z hukiem. Wpadł esesman – Niemiec z blizną na

czole, którego wszyscy unikali wzrokiem, ponieważ dobrze wiedzieli, jak bywa brutalny dla więźniów. Szedł pewnym i ciężkim krokiem w stronę Karola i wrzasnął:

– *Was denkst du, was du machst?!* Co ty sobie wyobrażasz?! – Jego słowa wybrzmiały jak ryk, a z ust wyrwały się z impetem krople śliny.

Esesman stał tak blisko Karola, że ten poczuł jego ślinę na twarzy. Za esesmanem cicho, jak cień, stała kobieta. Młoda, wychudzona i tak zniszczona, że ciężko było stwierdzić, ile tak naprawdę ma lat. Ktoś szepnął, że to siostra Pawła z Rzeszowa, że ma osiemnaście lat. Wyglądała na czterdzieści. Karol tego jednak nie usłyszał. Serce biło mu szybko, w głowie szumiało, bo domyślił się, że to się źle skończy. Kobieta miała wielkie, błyszczące oczy, które w tym świetle wydawały się czarne. Widać było, że płakała. Jej cała twarz była czerwona, ślad po uderzeniu jeszcze rumienił się na policzku. Teraz nie spuszczała wzroku z Karola. Jej usta były zaciśnięte, ręce drżały. Jakby wciąż powtarzała sobie w myślach: Nie chciałam... Ja tylko... Popatrzył na dziewczynę. W spojrzeniu Karola nie było gniewu. Tylko spokój. Może nawet przebaczenie. A może jeszcze coś więcej – zrozumienie. Tu każdy chciał przetrwać i czasami ludzie kierowani tym pragnieniem podejmowali złe decyzje... To była jedna z nich, ale Karol nie chciał jej oceniać. Sądził, że on nikogo by nie wydał, ale w uszach zawsze dźwięczały mu słowa ojca: Tyle o sobie wiemy, na ile nas sprawdzono.

Kapo wymachiwał rękami, rzucał bluzgami po niemiecku. A Karol się nie tłumaczył. Nie bronił. Patrzył na kobietę, jakby chciał jej coś powiedzieć bez słów. Ona z kolei szeptała bezgłośnie coś, czego nie dało się usłyszeć. Może

„przepraszam”. On zaś ruchem warg mówił „powiedz jej”, bo podejrzewał, że więcej nie zobaczy Letycji. Kobieta jednak wydawała się nie rozumieć.

– *Polnisches Schwein! Blumen gepflückt, für ’ne Frau?!* – przerwał wrzaskiem tę scenę kapo. Karol tylko smutno spojrzał na niego i rzekł:

– Tu, gdzie wszystko nam odbieracie, miłość to ostatnie, czego nie możecie zabrać całkowicie. Nawet umierając, będę kochał i myślał po polsku... Nad myślami nie macie kontroli.

Kapo zażądał, by ktoś mu te słowa przetłumaczył, i wtedy jak fala krótkich strzałów z karabinu wydarzyły się jeszcze gorsze rzeczy. Esesman uderzył Karola w twarz tak mocno, że wybił mu ząb, wrzeszczał, a później popchnął kobietę, która stała obok niego, na ścianę. Ludzie szeptali do niej i o niej: „Donosicielka, donosicielka”. Ona tylko ukryła twarz w dłoniach i gorzko zapłakała. Potem chwycił Karola za przedramię, kopnął go mocno, tak że ten się przewrócił, i złapawszy za pasiak, wytargał z baraku.

Mała kartka z listem urwanym w pół zdania leżała na klepisku. Kazik, który stał wcześniej obok Karola, podniósł ją i rozejrzał się dookoła. Wszyscy zebrani patrzyli teraz na papier, który trzymał w dłoniach. I bez słowa kiwnęli głowami. Hubert podszedł do niego, zabrał mały zwitek, następnie schował go w swojej skrytce pod koją. Wszyscy dobrze wiedzieli, co trzeba zrobić.

Jakiś mężczyzna spojrzał beznamiętnie na tę scenę, choć w głębi duszy przeżywał mocno to, co spotkało Karola. Nurtowało go tylko jedno pytanie: dlaczego ludzie chcą kochać w miejscu, gdzie śmierć zawładnęła życiem i losem?

– Że też im się chce… – szepnął sam do siebie na tyle cicho, że nikt go nie usłyszał. Może rzeczywiście nie widział w tym całym zakochaniu sensu, a może bronił się tylko, bo gdy przywieźli go tu wraz z żoną Żydówką i ich malutką córeczką, niedługo później zamordowali je obie. Ale po chwili, gdy serce tak mocno zabolało i sam zrozumiał, że nadal kocha, kocha, choć ich już nie ma, przyznał przed swoim sumieniem, że miłość w miejscu śmierci to nie bunt, to ostatni sposób, by pozostać człowiekiem.

– Wiem, o czym myślisz, Franek – powiedział Kazik. – Ale ja myślę, że kochać w miejscu, gdzie nie wolno nawet marzyć, to najcichsza forma oporu.

Franek skinął głową i w sercu poczuł ukłucie, jakby ktoś wcisnął mu tam pinezkę z cudzego snu.

Rozdział IV

Warszawa

czasy obecne

Wieczorami wnętrze mieszkania Letycji napełniało się zapachem herbaty. Unosił się aromat mięty, drewna, czasami kardamonu. Kobieta lubiła ją sączyć, wręcz celebrować jej picie, a od kiedy przychodziła do niej Greta, ten rytuał nabrał głębszego znaczenia. Dawał jej radość, jakiś rodzaj spełnienia i oczekiwania na kolejne parzenie herbaty.

Teraz Greta stała przy kuchennym blacie i grzała wodę w emaliowanym czajniku w drobne groszki. W dłoni obracała słoiczek z czarną sypaną herbatą. W końcu spojrzała w stronę stołu.

– Zielona z jaśminem czy ta pani mieszanka... czarna z kardamonem?

Letycja siedziała przy stole w swoim wózku, w grubym bordowym swetrze. Przymknęła lekko oczy, jakby odpowiedź miała nadejść z głębi duszy, a nie z kubków smakowych.

– Czarna z kardamonem. Herbata to nie napój. To wspomnienie, dziecko. Trzeba je szanować.

Greta uśmiechnęła się lekko, kiwając głową. Wiedziała, że dla Letycji każda filiżanka była jak otwarcie książki na wybranej stronie – tej jednej, do której wciąż się wraca.

– Dobrze. Będzie zatem ceremonia parzenia herbaty.

– To dla mnie jak cichość. I już do śmierci to we mnie zostanie. – Letycja poprawiła się w wózku. – W herbacie nie chodzi o smak. Chodzi o ciszę między jednym łykiem a drugim.

Greta wyciągnęła dwa porcelanowe kubki. Jeden z odpryśniętym uchem. Drugi z różą, której płatek zdrapał czas. Czajnik zaczął cicho śpiewać, więc Greta nalała wrzątku do innego czajniczka z sitkiem. Wrzuciła łyżeczkę ciemnych liści, dosypała kardamonu. Letycja obserwowała to wszystko z uwagą. A jej dłonie lekko drżały – jakby z niecierpliwości albo przez wspomnienie.

– Zaparzaj ją długo. Niech nabierze smaku…

– …jak dobre zdanie, które nie chce się skończyć zbyt szybko – dopowiedziała bez namysłu.

Letycja spojrzała na nią zaskoczona.

– Pięknie to ujęłaś. Niektóre zdania nie chcą czekać, inne nawet nie mogą, a jeszcze inne… nie powinny czekać, by ktoś je wypowiedział.

Greta usiadła naprzeciwko Letycji i podała jej filiżankę. W milczeniu.

– Wiesz, moja babka – zaczęła Letycja, dmuchając delikatnie w parującą herbatę – parzyła ją w nocy, gdy wszyscy już spali. Mówiła, że herbata najlepiej smakuje wtedy, kiedy świat nie patrzy.

Greta uśmiechnęła się z wdzięcznością. Poczuła, jak coś miękkiego osiada jej na piersi. Jakby ktoś położył tam ciepłą chustę. Taki moment, w którym herbata staje się rozmową – bez słów, bez napięcia, bez potrzeby tłumaczenia czegokolwiek.

– Dziękuję, że mnie tego pani uczy – szepnęła.

Letycja tylko skinęła głową i zamknęła oczy. A z jej ust uniósł się szept, niemal niedosłyszalny:

– Jeszcze nie wszystko ci pokazałam. – Po tych słowach wyprostowała się i kontynuowała donośnym, teatralnym tonem: – Nawiązując zatem do tego, co sama przed chwilą powiedziałaś... Uważam, że słowa, które musisz powiedzieć ojcu, a raczej chcesz, nie mogą czekać. – Te ostatnie podkreśliła, jakby wyliczała ręką.

– Dobrze, zadzwonię do ojca. – Gdy Greta niechętnie wyciągała telefon z kieszeni, Letycja z zadowoleniem upijała kolejny łyk herbaty. W ciszy pokoju można było usłyszeć sygnał połączenia.

– Greta? – padło cicho. W tych dwóch sylabach tlił się człowiek rozdarty między strachem a czekaniem. Ale Greta, zbyt ostrożna, by znów się zbliżyć, usłyszała tylko zwykły ojcowski ton.

– Cześć. Przyjadę jutro na ten obiad. Ale nie zostanę długo. Mam sporo pracy.

– Dobrze... dobrze, będę czekał.

* * *

Greta siedziała w samochodzie z rękami kurczowo zaciśniętymi na kierownicy, mimo że silnik był już dawno wyłączony. Szyba po jej stronie zdążyła zaparować, a na dłoni, tej samej, którą przed chwilą wyłączyła radio, osiadł pot. Przed Gretą rozpościerał się widok na dom – niemal cały ze szkła i betonu, z ostrymi liniami i symetrią tak doskonałą, że aż nieprzyjemną. Nowoczesny jak rzeźby ojca. Tak właśnie budował – z rozmachem, z dystansem, bez żadnych miękkich linii. Nie lubiła jego prac. Nie rozumiała tego szorstkiego stylu, podobnego do jego charakteru.

To był kiedyś jej dom. Teraz wyglądał jak muzeum, w którym mieściły się nie rzeczy, a wspomnienia.

Greta spojrzała na wejście, które tonęło w cieniu dwóch geometrycznych drzew przyciętych idealnie w sześciany. Ścieżka z czarnego łupku ciągnęła się jak pas startowy. Mogła tam rozpędzić swoje uczucia, głównie te negatywne, ale nie chciała tego robić. Czuła opór. Głęboki, niemal fizyczny – jakby jej klatka piersiowa włożona była do zbroi, a ona sama nie mogła nabrać swobodnie oddechu.

Wspomnienie matki uderzyło ją niespodziewanie. Emilia stała w ogrodzie z filiżanką herbaty, chociaż nieszczęśliwa przez życie, którym żyła, była uśmiechnięta. Greta aż odchyliła głowę na zagłówek fotela, zamknęła oczy. W głębi umysłu pulsowały jej dwa głosy:

Nie musisz tego robić. On cię zranił. On się zamknął. Nie cierpiał. Ale obiecałaś. Jemu. Letycji. Samej sobie.

Sięgnęła po torebkę, otworzyła drzwi samochodu i poczuła uderzenie chłodnego, wilgotnego powietrza. Pozornie jej każdy krok po ścieżce był odważniejszy od poprzedniego, tak

naprawdę jednak wewnątrz czuła się jak dziecko, które otrzymało uwagę od samego dyrektora szkoły. Struta, zbuntowana, niezrozumiana. Wokół było zupełnie cicho, nic nie odwracało jej uwagi. Wszystko boleśnie skupiało się na wizycie u ojca. Wtedy Greta przyznała wreszcie przed sobą, że jej uczucia do niego są tak zimne jak jego w stosunku do niej.

Nacisnęła dzwonek. Przez moment nic się nie działo. Dopiero po chwili usłyszała charakterystyczny dźwięk odsuwanego zamka. Ojciec stanął w progu. Miał na sobie sweter w kolorze popiołu i ciemne spodnie, a jego twarz – starsza, niż ją zapamiętała – zmiękła, gdy ją zobaczył. Nie uśmiechał się, ale w jego oczach... tliła się jakaś ostrożna radość. Jakby nie chciał jej spłoszyć.

– Greta... – powiedział cicho, prawie szeptem.

Ona nie odpowiedziała od razu. Stała w miejscu. Ich spojrzenia spotkały się i przez krótką chwilę oboje udawali, że w powietrzu między nimi nie wiszą lata milczenia i goryczy. W końcu uchylił drzwi szerzej.

– Wejdź. Herbata czeka. Twoja ulubiona.

Nie okazała żadnych emocji. Była też pewna, że teraz lubi już inną herbatę. Z kardamonem. Nic jednak nie powiedziała. To jedno zdanie sprawiło, że jej serce minimalnie drgnęło. Nawet ją to trochę zaskoczyło. Nie dlatego, że herbata była ważna, ale dlatego, że on pamiętał. Wzięła głęboki oddech. I weszła w przeszłość.

* * *

W jadalni rozbrzmiewało jedynie stukanie sztućców o porcelanę i ciche tykanie designerskiego zegara zawieszonego na betonowej ścianie. Stół – długi, z ciemnego drewna, wyłożony minimalistycznymi naczyniami – był jak artystyczna scena, na której każdy gest miał znaczenie. Ojciec Grety siedział naprzeciw niej, wyprostowany, z dłońmi złożonymi w geście uważności na stole. Greta jadła mechanicznie, nie patrząc mu w ogóle w oczy.

– A jak na uczelni? – zapytał spokojnie, wyraźnie próbując nawiązać rozmowę. – Słyszałem, że ta praca, którą szykujesz, może być bardzo ciekawa. Dziekan chwalił...

Greta wzruszyła ramionami.

– Nic wielkiego.

Ojciec nie zareagował na ton.

– Wiesz, znam ludzi w fundacji rekonstruującej obiekty historyczne. Mogłabyś dostać tam miejsce. Dobrze płatne, z wolną ręką.

– Nie potrzebuję twojej pomocy – rzuciła ostro, odkładając widelec z cichym szczękiem.

Zapadło napięte milczenie. Z kuchni dobiegł dźwięk gotującej się wody. Ojciec spuścił wzrok na talerz.

– Współpracuję z kimś – powiedziała Greta po chwili, żeby zmienić temat. – Z Letycją. Robimy wspólny projekt.

Słowo „Letycja" zawisło w powietrzu jak dym. Ojciec spojrzał na Gretę z czymś w rodzaju... ciekawości? A może dezorientacji? Nie zapytał jednak, kim jest kobieta, o której wspomniała córka. Greta wstała.

– Idę do łazienki – powiedziała chłodno.

W korytarzu Greta poczuła znajomy zapach, który niemal natychmiast przeniósł ją o kilka lat wstecz. Jak żywą zobaczyła matkę biegnącą tym korytarzem, biegnącą za małą Gretą. Słyszała jej śmiech i widziała te wielkie niebieskie oczy. Zapach farb, żywicy i drewna był nienachalny, a jednak sprawił, że jej serce przyspieszyło. Uchylone drzwi do pracowni ojca przyciągnęły ją jak magnes. Nie planowała tam zaglądać, ale skoro już tu była... Weszła po cichu.

W centrum pokoju, w świetle wpadającym przez przeszklony sufit, stała rzeźba. Dobrze ją pamiętała sprzed lat. Dokończył ją – pomyślała. Liść miłorzębu: ogromny, wydrążony w brązie, o ostrych, precyzyjnych krawędziach. Podeszła bliżej. Dotknęła brzegu liścia – był zimny i nieprzyjemnie gładki. Jak nagrobek – to pierwsze przyszło jej do głowy. Myślała w tej chwili też o tym, że rzeźba jest równie zimna jak uczucia, które zagościły w domu po śmierci matki. Złość zaczęła się w niej podnosić jak fala. Czuła ją w brzuchu, gardle, w opuszkach palców. Czuła, jak w niej pulsuje.

To wszystko? To wszystko po niej?

– Nawet w rzeźbie nie miałeś odwagi być czuły – powiedziała głośno, stojąc tyłem do drzwi.

Za sobą usłyszała ciche kroki.

– Nie wiesz, co mówisz – odparł ojciec.

Greta odwróciła się gwałtownie.

– Wiem. Wiem, że po jej śmierci nie uroniłeś ani jednej łzy. Że dalej jadłeś swoje posiłki w ciszy, rzeźbiłeś, nie rozmawiałeś ze mną. Że zostawiłeś mnie samą z pustką po

niej. Nawet na pogrzebie... nawet wtedy nie byłeś poruszony. Patrzyłeś w przestrzeń, jakbyś czekał, aż to się skończy.

Ojciec zacisnął usta. Spojrzał na nią intensywnie – nie z gniewem, ale z czymś cięższym. Powoli podwinął rękaw swetra. Dopiero teraz zauważyła, że na jego przedramieniu widniał delikatny tatuaż – liść miłorzębu, ten sam kształt, który stworzył w rzeźbie.

– Nie zawsze płacze się łzami, Greto – powiedział cicho. – Czasem człowiek zamienia ból w coś, co przetrwa. Nie potrafiłem jej opłakać. Nie umiałem. Ale to nie znaczy, że jej nie kochałem.

Greta cofnęła się o krok, jakby uderzył ją jego głos.

– Łatwo ci teraz mówić – warknęła. – Ale wtedy nie byłeś przy mnie. Nigdy nie byłeś. Siedziałeś w swojej pracowni i tworzyłeś tę swoją sztukę...

– A może to był mój sposób, żeby nie zniknąć? – odpowiedział twardo. – Żeby nie rozpaść się jak glina przed wypaleniem?

– A ja? Miałam kilka lat! I nikt nie wytłumaczył mi, co się dzieje! – krzyknęła. – Ty tylko milczałeś.

Zapadła cisza. Słychać było jedynie ich ciężkie oddechy, jakby przetaczały się przez nich całe lata, które przegapili.

– To nieprawda, że nie cierpiałem – powiedział w końcu ojciec. – Ale nie wiedziałem, jak być ojcem w żałobie. I nie wiedziałem, jak być ojcem dla ciebie.

Greta stała w miejscu, zmieszana, z sercem bijącym gwałtownie gdzieś pod żebrami. Nie znajdowała na to odpowiedzi. Jego słowa paliły. Letycja miała rację. Nienawiść

kiedyś była miłością. Coś chciało się przedzierać przez jej skute lodem serce, coś chciało stopić ten lód. Oceniała ojca, oskarżała, że to on jest panem chłodu, podczas gdy ona wcale nie była lepsza. Teraz to widziała. I właśnie dziś ten lód mógłby zniknąć. Może w ojcu także, tylko że Greta nie chciała dać temu szansy. Dobrze wiedziała, co powie Letycja. Mimo wszystko nie umiała inaczej.

Człowiek to dziwna istota. Często zna dobre odpowiedzi, a i tak na przekór wybiera te błędne. Przecież gdyby życie było testem na uczelni, świadomie i z determinacją ludzie by go oblewali tylko dlatego, że unosiliby się dumą, pychą i kierowali w życiu wszystkim, tylko nie wartościami. Jakie to proste, by żyć w zgodzie z tym, co właściwe. A jakie jednocześnie trudne.

Człowiek to dziwna istota. Wie, co czuje, i ma świadomość, jakie będą konsekwencje złych wyborów dokonanych wbrew intuicji, a mimo to brnie w to dalej. Brnie w to i Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego.

* * *

– To nie był dobry pomysł. Poszłam tam, tak jak pani powiedziała, i tylko się pokłóciliśmy.

Greta wparowała do mieszkania Letycji. Rzuciła torebkę na komodę w przedpokoju i serwowała kolejne argumenty jak z karabinu.

– On jest taki… taki… naiwny. A myśli, że ja jestem. Chciałby teraz po tylu latach przejść do porządku dziennego, jakby nigdy nic się nie stało…

Gdy weszła do salonu, zamarła. Letycja leżała na podłodze, nie ruszała się. Greta podbiegła do niej, wyciągnęła swój telefon z kieszeni i zadzwoniła na pogotowie, potem sprawdziła, czy Letycja oddycha. Oddychała. Drugi numer, zanim przyjechała karetka, wybrała do Huberta.

Nim przyjechał, ratownicy medyczni byli już na miejscu. Nieprzytomną Letycję przenieśli na łóżko. Ciśnienie było w normie. Serce biło miarowo.

– Reakcja krótkotrwała, możliwe chwilowe osłabienie – powiedział jeden z ratowników, spoglądając na pulsoksymetr.

– Saturacja prawidłowa, temperatura stabilna – dodał drugi. – Zaleciłbym przejazd do szpitala i wykonanie badań.

Wtedy do mieszkania wbiegł Hubert. Był wystraszony. Rozejrzał się po salonie i gdy nie zobaczył babci, spojrzał pytająco na Gretę.

– Spokojnie. Jest w swoim pokoju. Ale... powinieneś z nią pojechać do szpitala na badania.

Chłopak niewiele rozumiał w chaosie wydarzeń. Zgodził się na wszystko, co do niego mówili ratownicy, i spoglądał na dziewczynę, w której spojrzeniu szukał spokoju i nadziei, że będzie dobrze.

– Będzie w porządku – zapewniła go. – A teraz jedźcie do szpitala.

Mieszkanie Letycji, pierwszy raz bez niej, nagle wydało się obce i za duże. Jakby ktoś wyciągnął z niego duszę. Grecie to coś przypominało. Znała takie pustki, które udają ciszę, a tak naprawdę wrzeszczą w środku, że coś było, a teraz już tego nie ma. Usiadła przy stole, tam gdzie zawsze siadały obie,

i czekała. Ta cisza była dobijająca. Tykanie zegara, nagle tak głośne, powoli odmierzało czas do powrotu Letycji.

Greta rozmyślała nad strachem Huberta. Nie znała go długo, a jednak w jego oczach widziała to, co zazwyczaj ludzie noszą w sobie, gdy boją się straty. Ona też się bała. Może nieco infantylnie nie chciała dopuścić do siebie myśli, że mogłoby wydarzyć się coś złego.

Otworzyła więc laptop i zaczęła pisać pierwsze nieśmiałe zdania pamiętnika Letycji. Teraz, z perspektywy czasu i wszystkich emocji, wydawało się jej to tak naturalne do opowiedzenia. Stawiała litery, tworzyła z nich słowa, dalej zdania. Nim się obejrzała, na ekranie widniało kilka akapitów. O ojcu Letycji, o Wedlu, o obozie... Gdy skończyła pisać rozdział, zamek w drzwiach zazgrzytał. Zerwała się na równe nogi i stanęła w progu. Hubert wszedł do mieszkania z reklamówką, w której Greta dostrzegła kilka rzeczy jego babci. Poczuła ucisk w klatce piersiowej, jakby coś niewidzialnego wsunęło się między żebra: ciche, ale stanowcze przypomnienie, że nic już nie będzie takie samo.

– Spokojnie. Żyje. Po prostu kazali zabrać niepotrzebne rzeczy i przywieźć to, co jest niezbędne. Ubrania i piżamę. Szczoteczkę do zębów. Babcia zostaje na obserwacji do jutra... – powiedział Hubert. Był spokojny, chociaż nadal lekko dygotał. – Zaraz jej zawiozę... Może chciałabyś pojechać ze mną? Na pewno się ucieszy, jak cię zobaczy.

– Chciałabym – powiedziała bez namysłu Greta, a Hubert skinął głową.

* * *

Dźwięk syren i zapach szpitala to było to, co zapamiętała z ostatniego dnia, gdy widziała matkę żywą. Teraz te same rzeczy otwierały w niej szuflady, które dawno zamknęła na klucz. Nie chciała ich otworzyć. Nie spodziewała się, że kiedykolwiek będzie musiała. Bała się tego. Mimo to, gdy przyszło jej się zmierzyć z sytuacją, działała jak należy, przełamywała swoje granice, stawiała czoła wyzwaniom, które mogłyby ją pokonać, ale nie pokonywały. Znów jej na kimś zależało, znów kogoś mogła stracić i znów, tak po prostu, bała się, że zostanie sama.

Ciepła dłoń Letycji, jej miękka i pomarszczona skóra dała dziewczynie ukojenie, gdy jej dotknęła. Letycja musiała na nią czekać, bo gdy tylko to się stało, otworzyła oczy. Wymownie spojrzała na dziewczynę.

– No! Myślałam, że już nie przyjedziesz do staruszki. – Jej głos był słaby, zachrypnięty, tak że Greta nie wiedziała, skąd kobieta bierze siłę na żarty w takim momencie. – Pomożesz mi się przebrać?

– Oczywiście. – Greta ściągnęła szpitalną koszulę Letycji i pomogła jej założyć przez głowę ulubioną piżamę w biało-zielone grochy. Podwinęła rękawy, nieco przydługie, a jej wzrok padł na wytatuowany numer obozowy. – Jak już wróci pani do domu, trzeba będzie odpocząć. Żadnych figlów, żadnego przesiadywania w oknie, łóżko na kilka dni i relaks.

– Chyba oszalałaś, dziecko. Wracam i wykupujemy wycieczkę na Malediwy! – Zapadła cisza, po której obie parsknęły śmiechem.

– Co najwyżej do Zakopanego. Dobrze wiem, że nie kręci pani plaża i te rzeczy.

Hubert patrzył na nie zdezorientowany, bo już sam nie wiedział, czy babcia żartuje, czy powinien im pomóc bookować bilety. I co najdziwniejsze, był do tego zdolny. Widział Gretę. Widział babcię. Jego wzrok zbierał detale ze sceny pełnej troski. Dłonie Grety, smukłe i blade, zapinające babci guziki w piżamie. Uśmiech, dziewczęcy i tak szczery, gdy rozmawiała z Letycją. Usta, różowe i subtelne. Jej sylwetka, gdy nachylała się nad starszą kobietą, by rozczesać jej włosy. Była zgrabna. Odwrócił wzrok i spojrzał za okno. Zrobiło się już ciemno.

– Powinniśmy zaraz jechać. Kończą się odwiedziny – powiedział.

– No to co? – zadrwiła Greta. – Dopiero przyszłam.

– Wypiłabym herbatę – rozmarzyła się Letycja.

– Przyniosę z automatu, babciu.

– Nie! – zabrzmiały obie niczym stereo. – Z kardamonem! – znów powiedziały razem. Krystaliczny śmiech Grety i ten słaby Letycji niosły się po sali.

– Hmm... załatw herbatę z automatu, a ja przyniosę kardamon – zaproponowała Greta.

– Jest już późno – zaoponował.

Gdy to powiedział, do sali weszła pielęgniarka i poprosiła o opuszczenie szpitala. Greta grzecznie się zgodziła, ale gdy tylko pielęgniarka wyszła, dodała:

– Zaraz wracamy. Z herbatą oczywiście! – I zaczęła biec w stronę drzwi. Odwróciła się jeszcze do Huberta i przywołała go dłonią. – No chodź!

Hubert przez chwilę się wahał. Bąknął jakieś „ale”, jednak ruszył w stronę Grety i na jej prośbę zjechał windą na sam dół po czarną herbatę. Ona w tym czasie kupiła w sklepie kardamon. Stali teraz przed drzwiami windy. On trzymał w ręce kubek z parującą herbatą. Ona opakowanie z przyprawą.

– O tej porze już nie wolno tu przebywać! – powiedział ktoś donośnym głosem.

Hubert odruchowo obejrzał się za siebie, ale Greta chwyciła go za ramię i szepnęła:

– Nie reaguj.

– Jak mam nie reagować, skoro mówi do nas…

– Proszę udać się do wyjścia – powtórzył ten ktoś.

– Biegniemy! – zawołała ochoczo Greta i z impetem ruszyła w stronę schodów prowadzących do sali Letycji.

Hubert stał przez kilka chwil zdezorientowany, oglądając się to na pielęgniarza, to na dziewczynę, i wreszcie zaklął pod nosem, i ruszył w kierunku schodów. Słyszał jeszcze krzyki i trucht pielęgniarza, a gdy wbiegł na klatkę schodową, Greta była już dwa piętra wyżej. Słyszał jej śmiech, więc odruchowo sam zaczął się uśmiechać. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się tak beztrosko jak podczas łamania zakazu w szpitalu. Od lat podejmował zachowawcze decyzje, pracował, robił zakupy, był sam i był samotny. Po śmierci rodziców, którzy wyjechali na misję do Kosowa w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, musiał trzymać się w ryzach. To była misja NATO. Miał już nastać pokój po wojnie z Serbią… Tymczasem jakieś ugrupowanie serbskie przygotowało zasadzkę i oboje zginęli. Hubert wychowywał

się z babcią, a potem uciekł w pracę, by nie musieć myśleć o pustkach, które daje życie.

Gdy dobiegł do sali, połowa herbaty była już rozlana.

– To nic – szepnęła Greta, dosypując kardamon jeszcze w korytarzu.

Zamieszała napar drewnianym patyczkiem i sapiąc jeszcze ze zmęczenia, weszła do sali, gdzie leżała Letycja. Kobieta już spała. Hubert uniósł brwi, chyba trochę z niedowierzania, że to wszystko na marne. Musiała odczytać jego myśli.

– Nie martw się. Zanim zasnęła, była pewna, że wypije tę herbatę. A to chyba najważniejsze.

Postawiła kubek z herbatą na szafce i oboje wyszli. W sali unosił się korzenno-cytrusowy zapach, przy którym Letycji na pewno spało się spokojniej.

– Czy państwo zwariowali? – Pielęgniarz chwycił za ramię Huberta. Oddychał ciężko, a na jego czole pojawiły się krople potu. – Biegłem tutaj z samego dołu.

– Ale po co? – Greta udawała zaskoczoną. – My tylko przynieśliśmy babci herbatę. Dobrej nocy, proszę odpoczywać.

– Nie wyglądałaś mi na taką niegrzeczną – zaśmiał się Hubert, gdy zjeżdżali windą.

– Ja? Niegrzeczna? – Udawała, że z niego drwi. – Jestem uosobieniem anioła. – Mrugnęła do niego. Gdy to powiedział, dziwne uczucie mrowienia ścisnęło jej brzuch w okolicy przepony.

Warszawa nocą w środku tygodnia nie tętniła życiem. Tylko jakieś delikatne ruchy, nie te głośne i pulsujące, jak w klubach

czy w restauracjach, uśpione pod betonową skórą miasta, odbywały się na ulicach: w światłach latarni odbijających się od wilgotnego bruku i od pustych przystanków, gdzie autobus właśnie odjechał, w refleksach ślizgających się po szybie.

– Dziękuję, że dla babci złamałaś regulamin szpitala – powiedział poważnie Hubert, ale pod nosem można było dostrzec jego nieśmiały uśmiech.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Z nieudawanym rozbawieniem odpowiedziała Greta. – I dziękuję, że mogę zostać w jej mieszkaniu na noc. Jest tam cały materiał, z którego mogę korzystać przy pisaniu pamiętnika.

– Mogę ci dzisiaj jakoś pomóc?

– Z pisaniem?

– Tak… – Nieśmiało kiwnął głową.

Liczył na to, że się zgodzi. Zgodziła się.

* * *

Szukał w listach cytatów, które były jej potrzebne, później razem czytali je w całości. Greta siedziała przy komputerze i stukała palcami w klawiaturę, a Hubert oparty o krzesło skrupulatnie wertował tekst. Wypili jedną, potem drugą herbatę. Zjedli zapas ciastek z gruszką. A gdy trafili na zapiski Letycji, w których tak czule opisywała miłość do Karola, nagle ich rozmowa zmieniła kurs. Gawędzili o swoich miłościach, nieudanych związkach, a potem o imprezach i wakacjach. Hubert wydawał się stonowany i tak zupełnie inny od Grety, szalonej i czasami łamiącej zasady. Gdy zegar wybił czwartą nad ranem, oboje, oparci o siebie, spali już na kanapie.

Między nimi zasnęły niedokończone jeszcze rozmowy i okruchy po ciastkach z gruszką.

* * *

Letycja wróciła do domu nazajutrz. I wcale nie chciała odpoczywać. Mimo próśb Grety i Huberta siedziała na swoim wózku, czytała listy, dyktowała, co Greta powinna zapisać w pamiętniku.

Badania nie wykazały nic poza anemią wynikającą z wieku kobiety. Letycja tylko śmiała się z samej siebie, że zaliczenie gleby to nie lada wyczyn, szczególnie jeśli jeździ się na wózku. Hubert często do nich zaglądał i przynosił zakupy. I częściej rozmawiał z babcią, a jeszcze częściej z Gretą.

Któregoś poranka dziewczyna wyszła bez słowa. Letycja dzwoniła do niej raz po raz, ale ta nie odbierała. Zaniepokoiła się nawet, więc zadzwoniła do Huberta z pytaniem, czy rozmawiali. Odpowiedział przecząco. Greta przepadła bez śladu. Gdy jednak wróciła po kilku godzinach, Letycja zaniemówiła.

– Kim jesteś, piękna nieznajoma? – zapytała, po czym dodała, że o mało nie spadła z wózka po raz drugi, gdy Greta weszła do salonu.

Ta bowiem zmyła z siebie mocny makijaż, za którym chowała pustki i lęki, i wróciła do swojego naturalnego koloru włosów. Jej piegowata buzia otoczona rudymi włosami rozpromieniała nie tylko Gretę, ale i otoczenie wokół niej. Była jak słońce.

– Pomyślałam, że jednak tęsknię za swoim naturalnym kolorem – mówiła, wkładając zakupy do lodówki.

– I bardzo dobrze – odparła Letycja. – Jesteś piękna, Greto.

Niektóre wieczory były smętne i dłużyły się niemiłosiernie, a pisanie pamiętnika szło bardzo powoli. Inne mijały szybko i wiele w nich było nowych odkryć, uśmiechu i energii. Każdy dzień spędzony z Letycją wydawał się Grecie coraz istotniejszy, do tego stopnia, że nie pamiętała już, kiedy ostatni raz była w ukochanym lesie pod Warszawą, i tylko czasami tęskniła za zapachem powietrza tuż przed deszczem.

Któregoś dnia siedziały obie i planowały coś więcej niż pamiętnik... Prelekcję, którą poprowadzić miała sama Letycja jako gościni na uniwersytecie. Grecie już nie zależało na ocenie. Nie chciała udowadniać czegoś profesorowi. Już nawet sama nie wiedziała, co miałaby udowodnić. Żyła historią Letycji i chciała ją spisać, by ocalić jej istnienie przed zapomnieniem. Za oknem już zmierzchało. Letycja ziewnęła i sennie, poprosiła, by Greta podała jej różaniec. Robiła to codziennie o tej samej porze. Dziewczyna tym razem długo wpatrywała się w koraliki, które trzymała w dłoni. Wreszcie podała je kobiecie i usiadła naprzeciwko w fotelu.

– Moje modlitwy mają moc – powiedziała bardzo powoli Letycja, obracając w palcach jeden z paciorków różańca.

– Skąd pani wie? – zapytała bez przekonania Greta.

– Bo rozmawiam z szefem wszechświata.

Po tych słowach Greta nie miała już żadnych pytań. Przyglądała się z fotela w rogu pokoju, jak Letycja mówi kolejne *Zdrowaś Maryjo*. Jej szept wybrzmiewający w cichym salonie przez blisko dwa kwadranse stawał się kojący jak

spokojna, dodająca otuchy muzyka. Greta lubiła moment, gdy Letycja się modliła. I choć starsza kobieta o tym nie wiedziała, a przynajmniej tak wydawało się Grecie, dziewczyna szeptała razem z nią i modliła się o znalezienie swojej drogi i szczęścia.

* * *

– Greta... cześć. Tu Laura, pamiętasz jeszcze o moim istnieniu? Wiem, że robisz ten projekt, ale ja chyba potrzebuję twojej pomocy. To chyba pilne. – Greta odsłuchała nagranie na poczcie głosowej. Wystraszyła się, tym bardziej że Laura zostawiła tę wiadomość dwa dni temu. Oddzwoniła do niej, ale kiedy przyjaciółka nie odebrała, wzięła kluczyki i szybko wybiegła z mieszkania Letycji, dając tylko znać, że wróci dziś późno.

W ciemnym pokoju akademickim na łóżku leżała Laura. Wokół niej na podłodze można było dostrzec chusteczki zwinięte w kulki, puszki po energetykach i butelki po alkoholu. Greta podeszła do niej powoli, by jej nie zbudzić. Usiadła obok i robiła sobie wyrzuty, że przez ostatnie tygodnie poświęcała jej zbyt mało czasu. Nie mogła tylko zrozumieć, co się wydarzyło. Laura nigdy nie była w takim stanie. Greta siedziała przy niej tak długo, aż ta otworzyła oczy.

– Przyjechałaś...

– Przepraszam, Laura. Wiem, nawaliłam ostatnio.

– Spokojnie, jestem przyzwyczajona do samotności...

– Przestań, wiesz, że to nie tak. – Greta wpatrywała się w zapadniętą twarz przyjaciółki. Wyglądała, jakby od kilku

dni nie jadła, miała podkrążone oczy, włosy posklejane od potu. – Powiedz mi, co się dzieje. Nie zachowywałaś się tak po zerwaniu z facetem ani po niezaliczonych egzaminach.

– Nie wiem, co się dzieje. Boli mnie całe ciało, serce wali, jakby miało wyskoczyć z klatki piersiowej. Nie mogę oddychać. I ciągle chce mi się płakać. Nie radzę sobie. Matka zadzwoniła, że siostra znów ma epizod depresyjny, a ja nie wyrabiam z egzaminami i pracą na pół etatu.

– Jesteś przemęczona i zestresowana, to pewnie wiesz.

– Życie studentki nie jest łatwe – roześmiała się. – Studentki bez kasy – dodała po chwili i sięgnęła bladą dłonią po butelkę wódki stojącą na ziemi.

Greta złapała ją pierwsza i wyszła do łazienki, by wylać do toalety resztkę alkoholu.

– Eeej! Co ty robisz? Nie stać mnie na kolejną.

– Skoro nie masz kasy, to nie było cię stać nawet na tę, co? Zbieraj się, jedziemy. Tylko wykąp się najpierw, bo śmierdzisz potem! – Ostatnie słowa powiedziała półżartem.

Laura nawet uśmiechnęła się pod nosem. Nie oponowała. Pragnęła, by ktoś ją stąd zabrał, chociaż na chwilę.

Gdy stanęły pod kamienicą przy ulicy Szpitalnej, Greta zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna była wcześniej uprzedzić Letycji o tym, że przywiezie przyjaciółkę z atakiem paniki i zszarganymi nerwami. Nie było już jednak odwrotu, nie wiedziała, jak jej pomóc, za to sama doświadczyła, jak kojące są rozmowy z Letycją.

– Pani Letycjo – zaczęła, gdy weszły do mieszkania.

Laura nie miała pojęcia, po co tu przyjechały. Zrozumiała jednak, że to ta kobieta, o której Greta opowiadała tak wiele pięknych rzeczy.

– Proszę nam pomóc...

Letycja wyjechała wózkiem z pokoju. Z ciepłem w oczach spojrzała na Laurę i bez zbędnych słów poprosiła je, by usiadły. Poleciła Grecie zrobić herbatę, ukroić ciasto i tym swoim spokojnym, leczącym serca tonem poprosiła wprost:

– Powiedz mi, dziecko, co się dzieje, że wyglądasz jak siedem nieszczęść.

W tym momencie Greta uśmiechnęła się pod nosem, bo wiedziała, że przywiezienie tu Laury było najlepszym, co mogła dla niej zrobić. Laura opowiadała jak nigdy wcześniej o domu rodzinnym, o alkoholu, o depresji, nerwicy, braku pieniędzy, lękach, używkach... Zrobiła się późna godzina, ale nic nie wskazywało na to, żeby rozmowa dobiegała końca.

– Nie chce mi się żyć – wyszeptała wreszcie.

Letycja niespokojnie poprawiła się na wózku.

– Wiesz, co ci powiem? Masz wszystko, by żyć szczęśliwie. Masz dach nad głową, nawet jeśli to śmierdzący akademik. Masz co jeść, chociaż nie jadasz w restauracjach. Może nie masz nadmiaru pieniędzy na to, by teraz spełniać marzenia, ale studiujesz, a to pomoże ci kiedyś na te marzenia zarobić. Masz ludzi wokół siebie i jesteś zdrowa. To, że żyjesz w stresie, jest przykre. I fakt, mamy taki smutny świat, że wywołuje wiele lęków, ale zrozum, każde czasy mają swoje smutki. Nie ma tak, że kiedyś było lepiej, teraz jest gorzej. Każde pokolenie mówi tak o swoich czasach... A prawda jest taka, że świat jest dokładnie taki, jakim kreują go ludzie. To

nie czasy, to nie świat, to zawsze ludzie. Tołstoj napisał wiele mądrych słów, ale ja zapamiętałam szczególnie jedno ze zdań: „Wszyscy chcą zmieniać świat, ale nikt nie chce zmieniać siebie". Rozumiesz to? – zapytała dobitnie.

Laura skinęła głową. Wyglądała teraz jak mała dziewczynka, która słucha babci, jak powinna się zachowywać w gościach albo na mszy w kościele.

– Dostrzeż rankiem swoją piękną buzię, ukochaj tę swoją pokaleczoną problemami rodzinę, ale nie żyj jej traumami. Nie uleczymy traum naszych rodziców. Nawet nie powinniśmy. Oni sami muszą się z nich wyzwolić. Zaakceptować je. Ty zaś zaakceptuj swoje życie i myśl tylko – podkreśliła słowo „tylko" – pozytywnie. Gdy wierzymy, że będzie dobrze, możemy przenosić góry. – Podjechała na wózku do komody i wyciągnęła małą karteczkę i długopis, po czym zapisała na niej adres ulicy. – Greto, jedźcie tam teraz...

– Ale co to za adres? Jest pierwsza w nocy...

– Nieważne. Podejdźcie do ściany tego budynku i zobaczcie, co na niej widać. Poznacie ślady po kulach. Po publicznej egzekucji w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku zachowały się do dziś. Wymierzone w ludzi, zostawiły trwały ślad na budynku. Jedna z nich być może była kulą, która zabiła moją mamusię... Bo tam właśnie zginęła. – Laura gwałtownie spojrzała na starszą kobietę. – I gdy spojrzycie na te ślady śmierci, zrozumiecie, że życie jest tylko jedno i nic, absolutnie nic, nie powinno wam tego życia zatruć i odebrać radości z codziennego wstawania, oddychania i przeżywania tego życia. Żaden mężczyzna, mąż, fałszywy przyjaciel, żadna koleżanka ze studiów czy z pracy. Nikt! Cieszcie się każdym dniem, bo jesteście warte tego, by żyć.

A gdy pokochacie siebie, tak naprawdę, że będziecie czuły radość ze spędzania czasu nawet sam na sam ze sobą, to przyjdzie do was od świata to, co najlepsze.

Dziewczyny wsiadły do samochodu i Greta wbiła w nawigację adres: Długa 7[17].

Brukowana ulica Długa lśniła od resztek wilgoci po wieczornym deszczu. Latarnie rzucały na nią żółtawe światło. Greta i Laura po chwili stały przy fasadzie budynku pod numerem dziewiątym. Obok wejścia do dawnego Arsenału.

– To tutaj? – spytała cicho Laura.

– Chyba tak. – Kiwnęła głową przyjaciółka.

Zawsze obiecywała sobie, że przejdzie stolicę szlakiem tych zdarzeń, gdzie do dziś pozostały na murach i posadzkach ślady historii przypominające, że może ktoś ma tu swoją mogiłę…

– Matkę Letycji rozstrzelano, bo ktoś doniósł o jej działaniu w harcerskim podziemiu – powiedziała zamyślona.

Niektóre cegły były rozerwane po uderzeniach kul. Greta wyobrażała sobie, jak tu stali. Jak się bali. O czym myśleli w tych ostatnich momentach życia? Czy nie myśleli już o niczym…

– Czasem myślę, że mój ból to czysta fanaberia – powiedziała w końcu Laura.

– Nie uważam tak. Trzeba przyjąć, że to, co nas trapi, jest w nas. Co innego jednak roztrząsać to niepotrzebnie. Wiem, czasami trzeba. Tylko jeśli można to pokonać, ten ból i lęk, to zrób to. Jesteś silna. I wiem, że dasz radę. Nie zostawię cię już.

Greta chwyciła przyjaciółkę za rękę. Stały tak naprzeciwko ściany z tablicą pamiątkową mówiącą o tym, że doszło tu do publicznej egzekucji. Trzymały się za ręce i obecność to było najważniejsze, co mogły sobie w tej chwili dać. A może w ogóle zawsze dać. Obecność, gdy jest ciężko, jest najważniejsza.

* * *

– Hubert? – szepnęła Greta, by nie zbudzić śpiącej po południu Letycji.

Chłopak spojrzał znad laptopa na rudowłosą dziewczynę. Od kiedy wróciła do naturalnego koloru włosów, miała wrażenie, że patrzył na nią dłużej i z jakimś zachwytem. Czasami jednak mówiła sobie, że jej się tylko wydaje.

– Mam pewien pomysł. Letycja jest przemęczona pracą nad pamiętnikiem, ale nie chce przestać pisać. I jak wiesz, ciągle siedzi w tym oknie. Ileż można siedzieć w mieszkaniu? Ja bym zwariowała...

– Przecież ty ostatnio ciągle siedzisz w mieszkaniu z moją babcią...

– No właśnie! Czuję, że niebawem oszaleję – roześmiała się. – Dlatego mam pomysł. Zaufasz mi? – Spojrzała na niego, udając niewinną, i lekko przekrzywiła głowę. Kilka kosmyków spadło jej niezamierzenie na twarz.

– A mam inne wyjście?

– Hmmm... – Podrapała się po głowie. – Nie.

Jechali autem w stronę obrzeży stolicy. Hubert chciał zapytać, dokąd jadą, ale nie zrobił tego. Gretowe serce biło

teraz radośnie i gdy zbliżali się już do skrętu w lesie, poczuła, jak bardzo tęskniła za tym miejscem. Zaparkowali auto na środku leśnej dróżki. Nie powinno nikomu przeszkadzać. Nikt tu poza nią nie przychodził. Po drugiej stronie lasu w stadninach – tak. Tam byli ludzie, tam był folwark i konie. Ale tu była tylko ona.

– Chodź. Pokażę ci moje miejsce. Bo tu chcę zabrać twoją babcię.

Nie pozwoliła mu mówić. Pobiegła naprzód i weszła na łąkę z wysoką trawą, która falowała na wietrze niczym morze. Dziewczyna uniosła głowę i chwytała to wszystko: słońce, wiatr, zapach ziemi. A Hubert patrzył na nią jak nigdy na nikogo dotąd.

– Myślisz, że damy radę przyjechać tu z wózkiem, a potem podjechać nim tutaj z twoją babcią? – zapytała z nadzieją w głosie.

Hubert odwrócił się w stronę auta, chwilę myślał… Greta się niecierpliwiła. Splotła dłonie w oczekiwaniu i wpatrywała się w chłopaka z ufnością. On też na nią patrzył i roześmiał się na widok jej dziecięcej radości.

– Tak, damy radę – odpowiedział i uśmiechnął się szelmowsko.

Greta podskoczyła i pisnęła z zachwytu. Miała nadzieję, że sprawi tym przyjemność Letycji, która – jej zdaniem – potrzebowała nie tylko wytchnienia, ale i słońca, i wyjścia z domu.

Kiedy opowiadała mu o swoich spacerach, o deszczu i o matce, słuchał tak, jak słucha się wyczekanej opowieści na dobranoc. Mówiła o zapachu ziemi po deszczu i tłumaczyła,

z czego się bierze. O tym, jak uwielbiała pleść warkocze koleżankom w szkole i dlaczego w końcu zafarbowała swoje włosy na czarno. On zaś pierwszy raz wspomniał o rodzicach i o tym, jak warszawskie mieszkanie przy Szpitalnej stało się jego domem i bezpieczną przystanią, z której później uciekł, bo przypominała mu o pustce po ich stracie.

A później dziwnie blisko stanął naprzeciwko niej i uniósł dłoń. Zauważyła to. I chyba nawet tego chciała. Bała się, że zaufanie znów sprowadzi ją na dno rozpaczy, ale wszystko inne poza tym strachem skrytym w głowie krzyczało, że pragnie, by podszedł bliżej. Lubiła jego oczy. I to, jak marszczył brwi, gdy siedział przed laptopem w tych swoich tabelkach. Polubiła, jak dziwacznie zjadał ciastka z gruszką, obgryzając najpierw brzegi. Podobało się jej to, jak pachniał. Kiedy była już pewna, że chce się temu poddać, kiedy wyciągnął dłoń w jej stronę, z oddali niespodziewanie usłyszeli tętent kopyt. Greta gwałtownie odwróciła głowę i bezwiednie szeroko się uśmiechnęła. Między drzewami na polanie stał znany jej koń. W hreczki. W końcu poczuła, że bardzo chce stanąć obok niego i sprawić, by już został. W tej jednej chwili zrozumiała, że wreszcie może pozwolić sobie na otwarcie się na uczucia. Budowanie zaufania, które sama musiała w sobie odnowić, miało zająć jej jednak jeszcze wiele czasu. A teraz... teraz marzyła przede wszystkim o tym, aby pokazać swoje ukochane miejsce Letycji.

* * *

Letycja niechętnie zgodziła się na wyjście z domu. Zasiedziała się w mieszkaniu i jedyne miejsce, o którym

myślała, że mogłaby tam pójść, to pijalnia czekolady Wedla. Mimo to siedziała obok Grety na powalonym pniu w środku lasu. Hubert zaparkował samochód kilka metrów dalej i teraz pchał pusty wózek po nierównej ścieżce, bo Letycja uparła się, że chce choć chwilę posiedzieć po ludzku na czymś innym niż wózek. Wokół nich pachniało mokrym mchem i korą. Promienie słońca padały przyjemnie na ich twarze.

– W takich lasach moja rodzina miała kiedyś swój folwark – powiedziała Letycja.

– Nigdy o tym nie opowiadałaś – zdziwił się Hubert.

– Nie było o czym. Folwark był, a po wojnie już go nie było. Ale jako dziecko często chodziłam z rodzicami na spacery z końmi. Zazwyczaj w niedziele. To chyba była już nasza mała tradycja. Czekolada w Wedlu, potem spacer w lesie. Czasami jazda konna.

– Dobrze pani jeździła? – dopytywała Greta.

– Dobrze. Zresztą później, jak wiecie, miałam swojego konia, Dionizję.

Greta skinęła głową. Wtedy dostrzegła, jak ramiona Letycji się napinają. Starsza kobieta nagle się wyprostowała i spięła, patrząc w gęstwinę lasu. Greta powiodła wzrokiem w tym samym kierunku i wtedy zrozumiała. Spomiędzy świerków wyłonił się ten tajemniczy koń, niemal jak boska istota, która przybywa tu zawsze wtedy, gdy Greta pojawia się w pobliżu. Może się jej tylko wydawało, a może tak właśnie było, ale spoglądał na nie, by po chwili galopem ruszyć w ich stronę.

Koń o kremowej sierści w brązowe łaty biegł przez świerkowy las. Galopował pewnie, miękko stąpając po igliwiu, które tłumiło dźwięk jego kopyt. Sierść miał wilgotną od

porannej rosy, a para unosiła się z jego nozdrzy przy każdym głębokim oddechu. Światło przeciskało się przez gałęzie drzew w długich smugach i padało na jego grzbiet, podkreślając kontrast między jasną sierścią a ciemnymi plamami. Grzywa, nieco zmierzwiona, poruszała się w rytm biegu, smagając szyję i bok konia.

Świerki rosły gęsto, a ich pnie tworzyły prostą, surową aleję, w której koń przecinał powietrze jak cień. Nie pędził ze strachu. Biegł z siłą i lekkością, jakby dokładnie wiedział, gdzie chce dotrzeć. Każdy jego ruch był pewny. Zachowanie konia miało w sobie coś spokojnego, dzikiego i niezależnego zarazem – jakby zawsze należał do tego miejsca. A później zwolnił i wyszedł na polanę bardzo blisko Letycji i Grety. Dziewczyna zamarła.

– Patrzcie – wyszeptała. – On znów tu jest.

Letycja lekko zmrużyła oczy, jakby widziała nie tylko konia, ale i coś znacznie więcej – przez czas, przez pamięć. Jej naprężone ciało się uniosło. Stała na chwiejnych nogach i zrobiła kilka kroków przed siebie. Gretę i Huberta tak bardzo zaskoczył ten widok, że nim zdążyli w ogóle zareagować, Letycja upadła na ziemię, ponieważ nie mogła utrzymać się na własnych nogach, osłabionych przez tyle lat siedzenia na wózku.

– Letycja! – krzyknęła Greta, zrywając się.

Hubert już był przy babci, trzymał ją, obejmował ramieniem. Ale Letycja się śmiała. Przez łzy.

– Widzieliście? Widzieliście, jak stałam?

Greta uklękła obok niej.

– Jak to możliwe? – wyjąkał Hubert.

Letycja oparła się plecami o drzewo. Odetchnęła głęboko. I Greta wtedy powiedziała:

– Bo to nie nogi nie chciały chodzić. To dusza nie pozwalała, prawda, pani Letycjo?

– Czyli... możesz chodzić? – Wnuczek się wzruszył i nie umiał ukryć łez.

Przez te wszystkie lata kobieta wydawała się uwięziona w mieszkaniu, tymczasem była uwięziona w sobie.

– Od śmierci Karola nie chodziłam... Ale teraz nie mam siły w nogach.

– Spokojnie! Pani Letycjo, zatrudnimy rehabilitanta. Tak bardzo się cieszę! – Greta podskoczyła. – Teraz na prelekcję będzie mogła pani przyjść samodzielnie. Zastanawiam się tylko, co sprawiło, że stanęła pani na nogi.

– To było niezależne ode mnie. Zobaczyłam tego konia i chyba po prostu przypomniał mi się szczęśliwy czas w życiu. Ten koń jest podobny do Dionizji. A Dionizja była ze mną w momencie największego spokoju i radości.

– I myślę, że wreszcie wyszłaś z domu i te inne bodźce też mogły cię poruszyć, babciu...

– Przed wojną – podjęła po chwili staruszka – mieliśmy pod Warszawą folwark. Konie. Już to mówiłam. Ojciec twierdził, że każdy koń ma duszę, tylko nie każdy człowiek potrafi ją dostrzec. Kochał konie, rozmawiał z nimi i pielęgnował je. Dla niego były jak członkowie rodziny. Ale stało się coś strasznego. Wojna nadeszła do mojej rodziny z lasu... Wieczorową porą Niemcy wyłaniali się jak demony spośród drzew z krzykami i przekleństwami na ustach. Wypędzili nas, spalili folwark. Chcieli zabrać konie, ale one,

spłoszone, uciekły, a my razem z nimi. Dopiero po kilku dniach odnaleźliśmy je w lasach. Szliśmy wtedy ja, ojciec z matką, wujek ze swoją liczną rodziną i sąsiedzi. Nie mogliśmy wyjść z gęstwin, trzeba było się ukrywać. Głód, jaki zaczął nam doskwierać, był nie do wytrzymania. I... niestety, nie wszystkie konie były nasze. Wujek... – Tu zatrzymała się, głos ugrzązł jej w gardle. Zacisnęła oczy i Greta dostrzegła wypływającą łzę. – Wujek zabił najsłabszego konia.

– Co?! – Greta nie mogła uwierzyć.

– Jego rodzina go zjadła. A my z rodzicami i sąsiedzi nie tknęliśmy go. Ojciec płakał. Matka pochorowała się przez to wszystko. Ale sprawiedliwość miała nadejść.

– Co masz na myśli? – Hubert pobladł.

– Zabity koń był wątły, ale młody. Jego matka, klacz Maja, widziała, jak wujek go zabija. Strasznie wtedy szalała. Widziałam jej łzy. Tak, koń może płakać. Minęło wiele dni, mieszkaliśmy wtedy w szałasie, który zbudował ojciec z sąsiadem. Konie stały przywiązane do drzew. Był już wieczór i wszyscy spali. Tylko ja nie mogłam zasnąć. Miałam koszmary, pamiętam dokładnie, że śnili mi się Niemcy wychodzący zza drzew z szyderczym śmiechem i płonący las. Siedziałam więc oparta jak teraz o drzewo. Maja podeszła do śpiącej córki wujka i prychała nad nią, i prychała... Myślałam, że będę musiała chronić kuzynkę przez koniem, ale wtedy klacz oparła głowę na jej nogach i znowu widziałam, dokładnie to zobaczyłam, jak płacze. Gdy wujek się obudził, przeraził go widok klaczy śpiącej obok jego córki. Nie chciał jej spłoszyć, więc podszedł powoli. Klacz podniosła się na nogi i tak zwyczajnie, płynnie podeszła do wujka, spojrzała mu prosto w oczy i wgryzła się w jego twarz, odrywając

kawałek policzka. – Greta miała łzy w oczach. – Nie zabiła jego dziecka, tak jak on zabił jej. Matka to matka. Miłość to miłość.

– A sprawiedliwość musi nastać... – dokończył Hubert.

– W naturze miłość też istnieje, zwierzęta potrafią kochać i przywiązywać się do siebie, do człowieka. Natura wyznacza sprawiedliwość. A matka nawet w bólu chce życia dla swojego dziecka. Sprawiedliwość zaś... to nie zawsze zemsta. Czasem to tylko blizna, którą musisz nosić, żeby pamiętać. – Letycja zamyśliła się. – Dla głupców natura to tło dla życia. Dla obojętnych jest ciszą, która niczego nie wnosi do ich świata. Ale dla tych, którzy słuchają i patrzą uważnie, jest mądrym nauczycielem. Przypomina, że wszystko ma swój cykl. Że przetrwanie nie zależy od siły, lecz od uważności, pokory i więzi. Że każda rana zostawia ślad, a każda decyzja przynosi jakiś efekt.

– Ból – wyszeptał Hubert. – Nawet ten niemy ból, instynktowny, zwierzęcy domaga się uznania. Ale nie powiedziałaś tu słowa „wybaczenie". Myślisz, babciu, że tu doszło do jakiegoś rodzaju wybaczenia?

– Nie padło tu słowo „wybaczam". I słusznie. Ta historia nie potrzebuje wybaczenia, potrzebuje zrozumienia.

Koń pasący się teraz na łące łagodnie i z wolna zbliżał się do nich.

– Mój ojciec mawiał, że koń... to nie zwierzę. To lustro. Pokazuje ci, ile w tobie niepokoju, ile odwagi, a ile jeszcze strachu. On nie daje się ujarzmić, tylko pozwala nauczyć się być obecnym tu i teraz.

– Przychodzę tu od dawna i ten koń nie może się do mnie przyzwyczaić. – Rozżalona Greta spoglądała na konia z tęsknotą.

– Ooo, budowanie zaufania i oswajanie to proces długi i delikatny, zarówno w relacjach ludzi, jak i w świecie zwierząt. Zwierzęta, choć kierują się instynktem, reagują intuicyjnie i czysto, to w ich zachowaniach można dostrzec coś, co przypomina ludzki pierwiastek. Musisz być cierpliwa, Greto – powiedziała Letycja, przyglądając się, jak koń przechadza się między drzewami.

– Cierpliwość nie jest moją mocną stroną – przyznała Greta.

– Powiedziałabym więcej, niecierpliwość to twoje drugie imię, Greto. Pamiętaj jednak, że na najważniejsze i najlepsze rzeczy warto czekać. Zboże nie dojrzewa w jedną noc, pielęgnowane każe na siebie czekać tygodniami.

– Czy można odbudować zaufanie? – zapytała Greta ostro, bez czułości. – Bo ja mam wrażenie, że nie. Że jak raz się zawiodło, to już koniec.

Letycja zmrużyła oczy, jakby chciała lepiej zobaczyć to, co kryło się za jej słowami.

– Tylko tak mówisz, bo wolisz się nie rozczarować.

– Nie. – Greta wzruszyła ramionami, ale był w tym mimowolny gest złości. – Mówię tak, bo to prawda. Jak człowiek raz się zawiedzie…

– To co? Ma już do końca życia odpokutowywać?

– A nie powinien? – Głos Grety się załamał, ale spojrzenie miała twarde. – Kiedy ktoś cię zostawił, kiedy nie był tam,

gdzie powinien...

– Twój ojciec?

Greta zamilkła. Zbyt szybko padło to imię bez imienia.

– Nie chodzi tylko o niego. Igor zrobił mi to samo – syknęła w końcu. – Ludzie obiecują szczerość i wierność, a potem wybierają siebie.

– A ty teraz wybierasz swoją krzywdę. Trzymasz się jej jak tarczy. I co ci ona daje?

– Prawdę – odparła ostro Greta.

– Nie. – Letycja odetchnęła głęboko. – Daje ci iluzję spokoju.

– Nic pani nie rozumie...

– Ja wszystko rozumiem. Bo też bałam się wybaczyć. A potem zrozumiałam, że wybaczenie nie jest dla tamtej osoby. Jest dla mnie. Żebym mogła w końcu iść dalej.

Tej ostrej wymianie przysłuchiwał się Hubert. Spuścił wzrok, wpatrzony niby w swoje buty, a tak naprawdę nie patrzył zupełnie na nic. Ważył słowa kobiet i trawił je w sobie. Chyba nie spodziewał się takiej przeszłości Grety. A przecież wiedział o niej tak mało.

– Jesteś bardzo silną kobietą – zwrócił się do niej.

– Marzę o tym, by nigdy nie zostać już nazwaną silną – powiedziała bardziej do siebie niż do Huberta. – Marzę o tym, aby czuć, że ktoś jest obok i troszczy się o mnie, że jest ktoś, kto czeka, kto wspiera. Pragnę tej bliskości, którą może dać tylko drugi człowiek. Nie boję się samotności, nie. Bo choć sama, nie jestem samotna. Po prostu nie chcę musieć być silna. Chcę móc taka być, a nie musieć.

– Ale ty nie musisz być silna. Możesz stać się ciapą, Greto. Tak, zwykłą ciapą – powtórzyła Letycja, widząc zaskoczoną minę dziewczyny. – Ty powinnaś chcieć być silna. Siła nie wyklucza czyjegoś zainteresowania tobą, bycie silnym nie przekreśla tego, że ktoś się o ciebie dodatkowo zatroszczy. Siła, która wypływa z ciebie, dziewczyno, to największa moc, jaką może posiadać człowiek. Dopóki nie ukochasz samej siebie, by akceptować w pełni swoją samotność... To, że sama jesz śniadania, że nie chce ci się gotować tylko dla siebie, że kolacje też jesz sama, że częściej rozmawiasz z końmi niż z ludźmi... Dopóki nie ukochasz takiej siebie, pełnej zalet i wad, oczekiwań i doświadczeń, dopóty nie będziesz w stanie pokochać drugiego człowieka. I powiem ci więcej: on się nie pojawi, jeśli będziesz tak o sobie myśleć.

– Dlaczego?

– O, trafne pytanie! Nam się wydaje, że „jeśli nie zaakceptujesz siebie, to nie znajdziesz miłości" to jakieś magiczne zaklęcie. A chodzi o coś zupełnie przyziemnego. Człowiek, który nie kocha siebie, nie ma też poczucia własnej wartości, a niekiedy i godności. Upokarza się, błagając o miłość, jakby szukał dla siebie litości. A przecież każdy zasługuje na szczere uczucie, czyż nie? Zatem dopiero gdy przestajemy skomleć o czyjąś uwagę, nagle się okazuje, że pojawia się człowiek, który chętnie da z siebie to, czego inni nie potrafili lub nie chcieli ofiarować. Ale jest ten jeden warunek: kochasz siebie, znasz swoją wartość, wtedy trafiasz na właściwego człowieka.

– Skąd będę wiedzieć, że to ten właściwy? Czysto hipotetycznie oczywiście, bo ja... nikogo nie szukam. Zwyczajnie rozważam dylematy.

– Bo nie będziesz go prosić o to uczucie. On przyjdzie, narobi emocjonalnego rabanu w twoim brzuchu. – Tu Letycja dźgnęła palcem wskazującym brzuch Grety. – Motyle tu poczujesz, dziewczyno! Narobi tego rabanu i zostanie. – Greta spuściła wzrok i przypomniało się jej to dziwne drętwienie koło przepony wtedy przy Hubercie. – Nie będziesz się musiała prosić o nic, czego on sam z siebie nie byłby w stanie ci ofiarować. Za to ty też mu dasz to, co najpiękniejsze w tobie. A masz w sobie wiele piękna. Człowiek jako istota wykreowana przez Boga, stworzona jest do czynienia dobra. Zło jest tylko i aż czymś odwrotnym niż dobro. Każdy z nas ma taki sam zasób możliwości do wykorzystania, ale to, jak je wykorzysta, zależy od człowieka. Pamiętaj, proszę, o tym, jak już stara Letycja będzie gryzła ziemię od tamtej strony.

– Pani Letycjo! Proszę nie opowiadać takich rzeczy! Świat bez pani to dopiero kicha! – Greta powiedziała te słowa nad wyraz poważnie. Po nich nastała wymowna cisza, a potem obie parsknęły śmiechem.

Tak oto Letycja i Greta rozłożyły uczucie siły na czynniki pierwsze. Siły pozornie niechcianej, a tak naprawdę takiej, którą każdy z ludzi chciałby mieć. Postawiły jednak przy tym warunek, że tuż obok siły wewnętrznej musi istnieć siła zewnętrzna – ktoś, kto daje poczucie, że w każdej chwili, gdy zabraknie mocy pochodzącej z wewnątrz, a bezwładne ciało opadnie na ziemię, pomoże się podnieść. Można zrobić to samemu. Można. Ale po co?

– Babciu, chcesz pojechać do Wedla? Teraz? – zapytał Hubert.

– Chciałam. Ale… chcę tam wejść o własnych siłach, a na to potrzebuję czasu – odpowiedziała zamyślona Letycja. Ją samą zdziwiła ta decyzja.

– Poczekajmy. Na wszystko w życiu przecież przychodzi właściwy moment. – Greta uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

Rozdział V

Warszawa

czasy powojenne, lata 40.

Czuć jeszcze było wilgoć w powietrzu, taką warszawską, powojenną. Pełną kurzu z ruin, popiołu ze zburzonych domów i przerwanych ludzkich historii. Letycja stała przez chwilę przed kamienicą przy Szpitalnej 8, prawie nie oddychając. Nareszcie zaczęła działać pijalnia czekolady Wedla, niemal jakby była symbolem odradzającej się Warszawy. Dziewczyna czekała na ten moment z rozedrganym sercem. Wcześniej, gdy pijalnia jeszcze była zamknięta, tuż po zakończeniu wojny, przychodziła tu w każdej wolnej chwili i czekała. Czekała, że może on tu też przyjdzie. Mijały miesiące, a ona podjęła pracę. W ścianie, między cegłami, zostawiła karteczkę z wiadomością do niego. Tak na wszelki wypadek, gdyby tu przyszedł.

Teraz światło zza szyb odbijało się w kałużach stopniałego śniegu. Wewnątrz było ciepło. Marzła w stopy, ale stała na chodniku i przyglądała się tym, którzy w pierwszy dzień ponownego otwarcia Wedla pili gorącą czekoladę. Ona jeszcze tam nie weszła. Jeszcze nie.

Wciąż miała na sobie ciężki szary płaszcz, zbyt duży jak na jej drobną posturę. To był płaszcz wyrwany z innego życia i z cudzej historii. Ręce lekko drżały, miała je zaciśnięte na torebce, jakby trzymała się jej, by nie upaść z przejęcia. Wzięła głęboki oddech. Gdy ktoś inny otworzył drzwi, uderzył ją zapach czekolady. I wtedy niewidzialna siła poprowadziła ją do środka.

Podłoga skrzypnęła lekko pod butami, kiedy zrobiła pierwszy krok. Zatrzymała się tuż za progiem i powoli obróciła się w miejscu, jakby chciała upewnić się, że to naprawdę ta sama pijalnia. Zapach kakao był identyczny, do jej uszu docierał nawet taki sam śmiech dzieci jak niegdyś. Ale poza tym wszystko wyglądało inaczej. Przed wojną wnętrze zachwycało ozdobnymi kontuarami, złoconymi sztukateriami i wysokimi szafami sięgającymi niemal sufitów. Teraz *art nouveau* było znacznie skromniejsze. Gdy patrzyła, niewiele jej przypominało tamtą pijalnię. Dlatego zamknęła oczy. Sztućce. Filiżanka odłożona na spodek. Śmiech dzieci. Sztućce. Wlewane do kubka kakao. Zapach prażonego kakao, potem wanilii, słodki i głęboki. To, co teraz czuła i słyszała, przeniosło ją do momentu, gdy siedziała tu z ojcem. Otworzyła oczy i odruchowo spojrzała w stronę, gdzie zawsze stał ich ulubiony stolik. Teraz go tam nie było. Stał już inny, nowy, który miał być częścią czyjejś innej historii. Może właśnie nowej historii Letycji? Miejsca pamiętają ludzi, nawet jeśli rzeczy znikają. Uczucie ciepła rozlało się w jej klatce piersiowej na sam widok tego kącika. Tu siedział kiedyś jej ojciec. Nim zabrała go wojna. Ruszyła w jego kierunku, szła cicho jak po świątyni. Obicia krzeseł były odnowione, ściany odmalowane, ale duch – duch tego miejsca – był dokładnie

taki sam. Pusty stolik czekał na nią i zachęcał ją, by się rozgościła. Zamówiła więc gorzką czekoladę. Głos miała cichy. Kelner skinął głową bez słowa – jakby rozumiał, że tutaj mówi się szeptem. Poczuła, jak rozluźniają jej się ramiona, kiedy filiżanka trafiła na stół. Aromat był jak opatrunek. Gorzki i słodki jednocześnie. Taki, który leczy. Ciepło filiżanki w dłoniach przywodziło jej na myśl wspomnienie dzieciństwa. Smak, który jakimś cudem przetrwał wszystko, czego człowiek nie powinien był przeżyć. Tu była czekolada. A więc jeszcze było życie.

Oparła się wygodnie o krzesło, skierowała wzrok w stronę ulicy. W twarzach mijanych ludzi szukała Karola. Mijały dni, tygodnie i miesiące, ale on się nie pojawiał. Uroda Letycji, nienaganna i kusząca dla wielu mężczyzn, była powodem, by dosiadać się czasami do jej stolika i podjąć rozmowę. Ona jednak nigdy nie chciała nikogo poznać. Odrzucała zaloty, bo nikt nie był nim.

– Głupia! – powiedziała jej koleżanka z pracy. – A co, jeśli on nie żyje, a ty czekasz? Życie ci przeminie i zostaniesz sama!

– A co, jeśli żyje, a ja będę żoną kogoś innego?

Nie miała zamiaru się poddać. Mówiła o tym otwarcie każdemu, z kim rozmawiała, chociażby kelnerkom. Jej historią żyli wszyscy pracownicy pijalni Wedla. A szczególnie pani Rozalia, która niemal jak matka życzyła młodej kobiecie wszystkiego, co najlepsze. Sama z ciekawością patrzyła na wchodzących mężczyzn i miała nadzieję, że któryś z nich okaże się Karolem. Gdy Letycja zachodziła tam po pracy, już wiedzieli, jaką czekoladę jej podać. Pytali, czy już go spotkała.

Wiedzieli, że jeśli pojawiłby się, gdy jej nie będzie, mają podać jej adres zamieszkania. Karol jednak się nie pojawiał.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku Letycja rozpoczęła pracę w nowo otwartym urzędzie pocztowym przy ulicy Targowej 73 na warszawskiej Pradze-Północ. Budynek, zaprojektowany jeszcze przed wojną przez Bohdana Lacherta i Józefa Szanajcę, ukończono już po niej, dzięki czemu stał się jednym z symboli odradzającej się Warszawy. Jak pijalnia Jana Wedla dawał nadzieję na powrót normalności – choć powolnie – dawał nadzieję na życie.

Wnętrze urzędu było surowe, z betonowymi ścianami i prostymi ladami, ale dla Letycji miało szczególne znaczenie – było miejscem, gdzie mogła na nowo odnaleźć rytm codzienności. Każdego dnia obsługiwała klientów, przyglądała się ich twarzom. Często zastanawiała się, co kryją za powłoką nałożonych masek. Kiedyś Warszawa wydawała się radośniejsza, teraz smutek wyzierał przez okna kamienic i z oczu ludzi.

Letycja patrzyła i dumała: czy tak jak ona ta kobieta w zielonej sukience straciła rodziców w czasie wojny, czy tamten chłopiec ma jeszcze dom, w którym żył przed trzydziestym dziewiątym, czy ta starsza kobieta, która co tydzień wysyła listy do Caritasu, tak nachalnie upomina się o znalezienie kogoś, kto zaginął w czasie tej strasznej pożogi. Niektórych ludzi pamiętała jeszcze sprzed wojny, innych poznawała na nowo. Miała nawet nadzieję, że kiedyś w tej kolejce stanie Karol i wyśle do niej list. A może znajdzie się tu przypadkowo i zapyta: Czy gdzieś tu mieszka Letycja?

Pewnego dnia podczas sortowania listów zauważyła mężczyznę wchodzącego do urzędu. Wydał się jej się

znajomy. Miał na sobie długi beżowy płaszcz, który nieco maskował jego posturę, i kapelusz, w połowie zakrywający twarz. Kiedy jednak podszedł do lady, szybko zrozumiała, że był jednym z więźniów, których widziała w Auschwitz. Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy, po czym oboje odwrócili wzrok. Milczenie między nimi było gęste, pełne niewypowiedzianych wspomnień i bólu. Nie chciała rozmawiać o obozie. Najwyraźniej i on nie chciał. Numer, który miała wytatuowany na przedramieniu, skrywała pod długimi rękawami nawet latem. Unikała wyjaśnień, które przypominałyby jedynie o traumie i niepotrzebnym bólu.

Wróciła do pracy, ale jej ręce drżały. Wiedziała, że przeszłość nie daje o sobie tak łatwo zapomnieć, nawet wśród codziennych obowiązków. To spotkanie przypomniało jej, że choć wojna się skończyła, jej echo wciąż było obecne w sercach tych, którzy ją przetrwali.

* * *

Pijalnia czekolady przy Szpitalnej była dziś pusta. Duże okna-witryny stały się jeszcze przed wojną charakterystycznym elementem wystroju, pozwalającym przechodniom zajrzeć do środka i zobaczyć eleganckie wnętrze z mahoniowymi meblami i kryształowymi lustrami. Teraz deszcz uderzał o szyby i spływał po nich, łącząc się kropla po kropli w strugi. To był smutny widok płaczącej Warszawy. W tej ulewie jednak niewielu wchodziło do środka, ale niemal każdy zaglądał przez okna, by rozbudzić w sobie pragnienie czekolady, którą wypije zapewne w inne dni. Lepsze, cieplejsze, bardziej słoneczne. Ludzie uciekali przed

deszczem, jakby naprawdę bali się, że się roztopią. Biegli z pracy do domu, na tramwaj czy autobus. A Letycja siedziała przy stoliku blisko szyby. Dłońmi obejmowała filiżankę gorącej, gęstej czekolady, jej wzrok błądził po stronie gazety, którą ledwie była w stanie przeczytać. Litery rozmywały się pod wpływem zbyt wielu myśli i zbyt wielu dni oczekiwania. Za oknem sunęły ciężarówki z workami cementu, co jakiś czas przejechał furman. W radioodbiorniku Polskie Radio nadawało *Piosenkę o mojej Warszawie* w wykonaniu Mieczysława Fogga. Warszawa powoli się odradzała.

Letycja siedziała nieruchomo, wyprostowana, jakby zastygła w tej pozie. Tego dnia czuła coś dziwnego: wewnętrzny niepokój, a na pewno napięcie i oczekiwanie. Niby takie zwykłe uczucie, gdy ma się coś wydarzyć, tylko nie wiadomo, co to będzie i kiedy.

Nagle drzwi pijalni zaskrzypiały. Dzwonek nad nimi zadźwięczał i przyciągnął spojrzenia obsługi. Do środka wolnym krokiem wszedł mężczyzna w długim płaszczu, a z jego czarnej parasolki kapała na posadzkę woda. Kiedy zbliżył się do Letycji, ta nie uniosła od razu wzroku – zbyt wiele razy już się zawiodła. Ale potem…

– Letycja – powiedział cicho ciepłym głosem.

Jej serce zamarło, a potem wyrwało się do gardła. Obsługa pijalni patrzyła w ich stronę. Starsza kelnerka uniosła dłonie do ust, jakby i ona sądziła, że to Karol.

– Letycja! – powtórzył, jakby nie wierzył, że widzi ją naprawdę.

Uniosła wzrok z wahaniem. Wolno i ostrożnie. Jej oczy błysnęły. Palce zacisnęły się na filiżance. Wszystko w niej

krzyczało, że to on. Że to w końcu Karol. Znalazł ją. Przyszedł.

Ich oczy się spotkały. I wtedy nadzieja upadła z głuchym łoskotem na dno jej serca.

– Hubert... – wyszeptała, a na jej twarzy rozlało się coś pomiędzy ulgą a rozczarowaniem.

Hubert Zawilski, kolega Karola z obozu, który przemycał jej grypsy, czasem kilka słów, które Karol szeptał mu dla Letycji. Człowiek cichy, szary, potrafił znikać w tłumie jak cień. Pewnie dlatego tak dobrze umiał się wtopić w konspirację i nikt nigdy go nie przyłapał. Teraz stał przed nią w eleganckim płaszczu, nieco starszy, niż go zapamiętała z obozu, z głęboką bruzdą na czole.

Rozalia zawahała się z uśmiechem, próbując zrozumieć, dlaczego nie widzi u pary łez szczęścia.

– Usiądź – powiedziała cicho Letycja.

Wstając, na powitanie podała mu swoją dłoń.

– Wiem, że wolałabyś zobaczyć kogoś innego – powiedział powoli. Ona nic nie odpowiedziała. – Nadal cisza?

Hubert widział Karola ostatni raz tamtej nocy, gdy go zabrali. A Letycję w dniu, gdy wyruszył marszem śmierci. A teraz oboje przypomnieli sobie swoje pierwsze spotkanie.

Kiedy przekazał Celinie list, ostatni od Karola dla Letycji, niedokończone zdanie nie dawało dziewczynie spokoju. Któregoś dnia zaczepiła więc Huberta, gdy ten wracał z *Aussenkommando*. Bała się, że mu zaszkodzi, więc była bardzo ostrożna. On wiedział, z kim ma do czynienia. Pamiętał ją z opowieści kolegi. Na jego prośbę obserwował

też, czy wszystko z nią w porządku. To Hubert zdobywał informacje o niej dla Karola...

Wtedy, gdy zagadała go, starając się pozostać niezauważona, umówili się na potajemne spotkanie na rewirze, gdzie jego przyjaciółka była pielęgniarką. I choć wiele ryzykowali, wszak takie spotkanie było w obozie oficjalnie niemożliwe, udało się im tym razem przechytrzyć brutalny system.

Letycja pytała o zniknięcie Karola. Rozmawiali o tym tak długo, że niemal nastał świt. Hubert opowiadał jej o tym, jak Karol sobie radził w pracy, jakie miał zwyczaje, jak dzielił się jedzeniem z tymi, którzy mieli mniej sił niż on sam. I że nocami śnił o niej. A potem rozmowy potoczyły się już same, jakby po cichu szukały ujścia dla wspomnień sprzed wojny, które aż prosiły się, by wybrzmieć. Każdy potrzebuje rozmowy, nawet jeśli wydaje mu się, że jest inaczej. Zaczęli temat współwięźniów – tych, którzy umieli opowiadać dowcipy[18], mimo że nie było się z czego śmiać, i tych, którzy dzielili się ostatnim kęsem chleba, bo tak zostali wychowani, nawet tutaj, w miejscu bez zasad. Mówili o dziewczynie z baraku obok, która przez całą zimę nosiła pod pasiakiem dodatkowy sweter, co później odkrył blokowy i okrutnie ją za to pobił. O chłopcu, który znalazł stary guzik i trzymał go jak talizman na szczęście. Rozmawiali też o wartościach, choć nigdy nie nazwali tego wprost. Mówili o tym, co pomagało im przetrwać: o spojrzeniach, które wyrażały więcej niż słowa, o cichym zrozumieniu między ludźmi, których wszystko dzieliło, ale łączyły głód, strach i nadzieja, że to się kiedyś skończy. I choć zdawało się, że mówili o innych, tak naprawdę opowiadali o sobie. O tym, kim się tutaj stali. Wreszcie o tym,

jakie mają marzenia, które chcieliby jeszcze zrealizować, jeśli stąd wyjdą.

Prawie świtało. Oboje musieli iść, przedrzeć się niezauważenie przez ciche jeszcze zakamarki obozu. Później wymieniali grypsy, a Hubert poczuł się w obowiązku zaopiekować się Letycją. Sam już nie wiedział, czy robił to dla Karola... Organizował jej dodatkowe porcje żywności, buty wojskowe na zimę i leki, gdy była chora. Ona widziała w nim przyjaciela. Nigdy kogoś więcej.

– Cisza... – odpowiedziała powoli.

Rozalia podeszła, by zapytać, czy mężczyzna chciałby coś zamówić. Poprosił o herbatę.

– Ale dobrze cię widzieć. Czasami zastanawiałam się, co u ciebie. Martwiłam się. Nie dałeś mi znać, tak jak obiecałeś, gdy widzieliśmy się po raz ostatni.

– Wiem, przepraszam. Życie zaprowadziło mnie aż do Szwecji, gdzie byłem do zeszłego tygodnia. Wróciłem i od razu przyszedłem tu, gdzie mówiłaś, że będziesz na niego czekać.

Letycję zdziwiło, że Hubert zapamiętał tę informację, bo poza napisaniem o tym w liście nigdy nie wypowiedziała adresu na głos.

– I nie ukrywam, że to historia jak z książki. Ty naprawdę tu czekasz.

– Myślałam, że wyzwoliłeś się wtedy w styczniu... – kontynuowała temat.

– Nie... dziesiątkowali nas podczas marszu śmierci. Myślałem, że nie przeżyję. Stałem jako dziesiąty, już

zdążyłem to policzyć, ale esesman się pomylił i zastrzelił jednego za mną... Wtedy pomyślałem, że to znak, że wszystko zaraz się skończy. Ale się nie skończyło. Ewakuowano mnie z grupą więźniów do Dachau. Ale sama wiesz, jak to wyglądało... Śnieg był zbity i twardy jak szkło, mróz tamtej nocy sięgał minus trzydziestu. Stałem w szeregu, słyszałem szczekanie psów i krzyki esesmanów: *Marsch! Marsch! Los!* Miałem na sobie cienki pasiak. To, co załatwiłem sobie z Kanady, oddałem niemal zamarzniętej ciężarnej kobiecie, która też szła drogą ewakuacji. Obwiązałem się tylko w pasie jakąś szmatą. Stawiałem krok za krokiem, nie myśląc o niczym. Miałem pustkę w głowie. I chyba tylko dlatego nie zwariowałem z zimna i głodu. Widziałem natomiast tych, co nie mieli w ogóle siły iść. Szli na samym końcu. Padali jak muchy, rozstrzeliwani jeden po drugim. Jednych esesmani dobijali od razu, innych zostawiali, by zamarzli. W Wodzisławiu Śląskim wpakowali nas do wagonów na stacji kolejowej. Miałem przy sobie tylko kawałek kromki chleba, którą ktoś po drodze rzucił pod płot dla więźniów. Podróż trwała wiele dni. Bez jedzenia i wody, prawie cały czas na stojąco, ale wymienialiśmy się co kilka godzin. Gdy jedni siedzieli, inni stali... Kiedy dojechaliśmy na miejsce, ktoś szepnął, że to jest Dachau. Jeden z esesmanów zaklął po niemiecku i powiedział do drugiego: „Jeszcze żyją. Zobaczymy, jak długo", i zaśmiał się na nasz widok szyderczo.

– Słyszałam, że panował tam tyfus...

– Tak, brakowało miejsca do spania, tyfus dziesiątkował ludzi i nie było co jeść... Trwałem tam do kwietnia. Później nadeszli Amerykanie. Mnie zakwalifikowano do wyjazdu

w ramach akcji humanitarnej do Szwecji. I popłynąłem. Szwedzki Czerwony Krzyż zajął się mną, a raczej moim zdrowiem. Trafiłem do szpitala w Malmö. Uczyłem się języka szwedzkiego, zacząłem pracę w stolarstwie. Ale jak wiesz, Polska zawsze była dla mnie domem i miałem ją w sercu... tęskniłem. Dlatego zorganizowałem powrót do domu. Nie mieli na mnie żadnych dowodów, że działałem z AK, więc nie byłem podejrzany. – Spojrzał na nią, czekając na jakąś reakcję.

– Cieszę się, że tutaj jesteś. Ja... nigdy ci tak naprawdę nie podziękowałam.

– Za co? Nie zrobiłem nic nadzwyczajnego.

– Zrobiłeś. Począwszy od przekazywania listów Karola, aż po opiekę nade mną i przyjaźń.

– Ty też mi pomogłaś, bardziej, niż ci się wydaje.

Chwycił jej dłoń. Nie zabrała jej. W jej oczach dostrzegł cień uśmiechu. Nie była kobietą, która często się uśmiechała. I uśmiech na jej twarzy trudno było wywołać. Był raczej stonowany, schowany gdzieś w oczach. Hubert zauważył to już w obozie i widział teraz, że nic się nie zmieniło. Dostrzegł to w pijalni Wedla, gdy usiadł przy jej stoliku. Nie oczekiwał wiele. Po prostu chciał się przywitać i z nią porozmawiać. On inaczej mierzył się z przeszłością. Nie wypierał jej. Chciał mówić.

– Ale przecież ja tylko byłam, Hubercie. Sam wiesz, że myślałam tylko o nim i tylko na jego powrót czekałam. I bałam się, że każde inne najmniejsze choćby uczucie to będzie zdrada. Nic więcej nie miałam w życiu, tylko jego obietnicę, że możemy stworzyć dom. Dom, który straciłam

niemal z wybuchem wojny. Byłam sama i samotna. I nagle on mnie dostrzegł, i to dziwne, niemożliwe niemal uczucie pozwoliło mi przetrwać tamten czas.

– Nadzieja pozwoliła ci przetrwać. Tak jak i mnie. – Spojrzał na nią mimowolnie. – Życie nie pyta, czy coś chcemy i na co się godzimy. Nie jest czarno-białe.

Letycja cofnęła swoją dłoń z jego uścisku. Skinęła głową, a łza popłynęła jej po policzku.

– Jeśli chcesz, to czekaj na Karola. Nie mam prawa ci tego odebrać. Uważaj jednak, bo płonne nadzieje czasami wypalają serca do cna. – Po tych słowach wyszedł i pozostawił po sobie niedosyt rozmowy, choć w tym, co powiedział, mieściło się tak wiele.

Kobieta dobrze wiedziała, że Karol może już nie żyć. Bo gdyby żył... trafiłby tu, do niej. No, chyba że... że jego też ewakuowano za granicę i z jakichś przyczyn nie może jeszcze wrócić. Będzie czekać. Tak. Będzie na niego czekać.

Warszawa

czasy obecne

Drewniany stół tonął w papierach. Pisanie pamiętnika zajmowało kobietom więcej czasu, niż się spodziewały. Greta chodziła w kółko, głośno mówiła, Letycja jej przerywała, przekomarzały się, śmiały, później długo myślały nad jakimś tematem albo problemem literackim. Teraz nie umiały znaleźć odpowiedniego tytułu... Greta uważała, że najlepszy

sposób to ujęcie reportażowe lub pamiętnikowe, Letycja wolała romantyczny tytuł, coś jak *Pamięć, która została...*

Dziewczyna usiadła z podwiniętą nogą na fotelu. W dłoni trzymała kubek gorącej herbaty, którą zrobił dla nich Hubert. Wpatrywała się w ekran komputera.

– Ten fragment: „Nie bałam się, że umrę. Bałam się, że on o mnie zapomni..." zostawić? Bo to dość... mocne... – spytała w końcu.

– Zostawić – odpowiedziała krótko Letycja.

Usłyszały stukot szkła na stoliku. W gęstwinie listów i kartek Hubert postawił talerz z kanapkami.

– Bo pobrudzisz! – krzyknęły obie.

– Już dobrze – odpowiedział, udając obrażonego. – Człowiek chce je nakarmić, a jeszcze dostaje ochrzan. – Pod jego nosem pojawił się uśmiech.

Greta i Letycja zaśmiały się w tej samej chwili.

– Pani Letycjo, kiedy opowiadała pani o swojej miłości do Karola, widziałam pewne niejasności...

Letycja nerwowo uniosła głowę i spojrzała za okno. Dobrze wiedziała, że ani Greta, ani Hubert nie zdają sobie sprawy, że droga do tej miłości wiodła bardziej pod górę, niż komukolwiek mogło się wydawać. Nie przedstawiła im jeszcze całej historii, dlatego wiedziała, że w opowieści są dziury. Miotała się od dawna, nocami zastanawiała się, czy opowiedzieć całość, czy pozostawić ten jeden wątek tylko dla siebie... Myślała i myślała...

– Usiądź, Hubert. Coś wam muszę chyba jednak doprecyzować. Do tej pory myślałam, że są takie fragmenty

życia, które należy zachować tylko dla siebie, tak by coś pozostało jedynie dla nas samych. To tak jak z życiem: niektóre momenty trzeba przeżyć samemu i tylko ze sobą. Bo nawet jeśli wokół będą ludzie, nikt za nas nie przeżyje życia, nikt za nas nie umrze... Są chwile, w których jesteś po prostu tylko ty. I tak musi być. I to jest bolesne, ale nieuniknione, więc na swój sposób piękne. Ten fragment mojej historii chciałam zachować dla siebie. Miał odejść ze mną, ale gdy teraz o tym ponownie myślę, dochodzę do wniosku, że to byłoby bardzo niesprawiedliwe. I krzywdzące dla... Huberta.

– Dla mnie? – zdziwił się wnuk.

– Gdzież tam! Nie dla ciebie. Dla zupełnie innego Huberta. A zatem posłuchajcie...

I opowiedziała historię, której się nie spodziewali...

Warszawa

późne lata 40.

Letycja przyszła wcześniej niż zwykle. Zajęła swój stolik przy oknie.

– Dzień dobry, pani Letycjo. Rozumiem, że to, co zawsze? Gorzka czekolada z kardamonem? – zapytała pani Rozalia.

– Dzisiaj poproszę kawę, mocną, bez mleka – odpowiedziała Letycja, wieszając swój granatowy płaszcz na wieszaku.

Do jasnego wnętrza wlewało się dziś światło słoneczne i sączyło, odbijając się w witrynach i porcelanie stojącej na ladzie. Przechodnie, bardziej uśmiechnięci, zaglądali do

pijalni, powracał śmiech do rozmów, znów w ludziach było więcej życia. Tramwaj sunął wzdłuż ulicy. Dookoła panował przyjemny gwar.

– Kawa? To do pani niepodobne... – zaniepokoiła się.

Obsługa pijalni widywała Letycję od wielu miesięcy niemal każdego dnia. Żyli jej historią, a ona znała ich życie. Dzieliła z nimi troski i radości, niekiedy przynosiła kwiaty, które dumnie stawiali w wazonie. Stwarzała w ten sposób rodzinę, której sama nie miała. Kochała ludzi, chociaż nie miała nikogo naprawdę bliskiego. Czasami zastanawiała się nad tym, czy gdyby skupiła się bardziej na życiu niż na czekaniu i przeszłości, jej „teraz" wyglądałoby inaczej. Przyznawała wtedy sobie rację, po czym robiła sobie wyrzuty, a i tak wracała do tego, co już zna, co już było. Tam, choć wcale nie dawało jej to radości i spokoju, czuła się bezpiecznie. Otulała się bolesnymi wspomnieniami jak kocem i tkwiła w nim, by poczuć złudne ciepło. Tego dnia było inaczej. Od rana chodziła podenerwowana. Odwiedziny Huberta ponad miesiąc temu wytrąciły ją z codziennej rutyny i nie do końca wiedziała, co ma robić i myśleć.

– Wszystko jest w porządku. Po prostu jestem chyba zmęczona. Kawa postawi mnie na nogi – ucięła temat i usiadła przy stoliku.

Miała na sobie granatowy kostium z wełny, dopasowany do jej zgrabnej sylwetki. Podkreślał jej talię. Szerokie ramiona marynarki wyglądały tak, jak nakazywała moda powojenna. W białej bluzce było jej do twarzy. Koronka przy mankiecie podkreślała jej dziewczęcą urodę. W momencie, gdy kawa została postawiona przed nią na stoliku, drzwi z wolna się

otworzyły, a do środka wszedł elegancko ubrany Hubert. Ściągnął płaszcz i przewiesił go przez oparcie krzesła.

– Wróciłeś – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. Była zaskoczona jego wizytą, ale poczuła też ulgę.

Usiadł naprzeciwko i przez dłuższą chwilę milczeli. Wydawało się, że cały gwar ucichł, a może to tylko Letycja nic nie słyszała. Jedynie bicie swojego serca.

– Nie jestem gotowa – powiedziała wreszcie.

– Na co?

– Chyba nie jestem gotowa na to, aby być z kimkolwiek... innym.

Smutek wdarł się do serca Huberta, ale nie chciał tego dać po sobie pokazać. Walczyły w nim rozsądek i ostrożność z zauroczeniem i pragnieniem spontanicznego wyznania uczucia. Jeszcze przed chwilą... Teraz to wszystko ostygło. Nie chciałby zrobić niczego wbrew niej i jeśli jego celem miałoby być teraz trwanie przy Letycji i stworzenie bezpiecznej przyjaźni, w której ona poczuje się dobrze, to to go wystarczająco uszczęśliwi.

– Nie jestem tu po to, aby coś od ciebie brać, Letycjo – odpowiedział po chwili namysłu. – Chcę po prostu być przy tobie, jeśli pozwolisz.

Nikt nigdy nie mówił do niej w ten sposób. Nikt tak nie patrzył. Widziała w jego oczach nadzieje, chowane teraz w myślach do szuflady, której zamierzał już nie otwierać, odrzucony jej słowami. Przez nawet jeden krótki moment nie planowała go zwodzić.

Hubert tymczasem tak po prostu, ku jej zdziwieniu, zmienił temat:

– Czy wiesz, co mówi się o Mikołajczyku? Że nie ma wpływu na politykę. Próbował coś zmienić, ale… – Urwał, gdy podeszła kelnerka i przyniosła kawę, którą zamówił. – Ale się nie dało. Prasa jest w rękach partii. Milicja inwigiluje każdego.

Letycja skinęła głową.

– Czyli wszystko wraca, tylko pod nową nazwą – przyznał jej rację i westchnął.

Przesunął filiżankę na środek stolika i sięgnął po gazetę, która leżała na sąsiednim krześle. Zgiął ją wpół i pokazał palcem krótki artykuł na dole pierwszej strony.

– Popatrz: „Planujemy wspólnymi siłami odbudować i uprzemysłowić nasz kraj" – przeczytał na głos. – Piękne słowa. Betonowe bloki, stal, plany, przyszłość kraju… Szkoda tylko, że nikt nie pyta ludzi, czego potrzebują po wojnie.

– Nie wierzę już w żadną politykę. W jakiekolwiek systemy. Oni wszyscy mówią, że będą odbudowywać. Tymczasem ja wciąż szukam cegieł, z których mogłabym odbudować sama siebie. Bo muszę. Muszę być silna. Chcę być silna. Chcę stworzyć rodzinę, którą mi odebrano. Gdzie znajdę coś, cokolwiek, co pozwoli mi przywrócić życie matce, która zginęła w tak brutalny sposób? A ojca? Wiesz, że siedział ze mną dokładnie w tym miejscu przy stoliku? Tylko byłam wtedy tak mała, że nogami nie sięgałam podłogi. On siedział zazwyczaj naprzeciwko mnie, tu gdzie ty. Pytam więc, co mi z polityki i największej nawet odbudowy. Oddałabym wszystko, co mam, by odzyskać życie bliskich. A dziś nawet nie wiem, gdzie są ich groby. Wiatr nad nimi szumi, nad

mogiłami bez imion. Co by powiedział ten wiatr, gdyby mógł mówić? – Przerwała ze łzami w oczach.

Hubert nie powiedział nic. Dobrze znał ten ból. I wiedział, że w takich momentach nie pomogą żadne słowa. Gdy człowiek naprawdę cierpi, jedyne, co można ofiarować, to obecność.

– Masz rację – odparł po namyśle. – Ważny jest kraj, za który oddawaliśmy jako naród życie. Ale teraz liczą się nie partie, nie przemówienia, tylko pojedynczy człowiek i jego los. Człowiek, który wstaje rano, idzie do pracy, płacze lub nie płacze, idzie po chleb.

Letycja odwróciła głowę, by ukryć delikatny uśmiech, który wkradł się na jej twarz. Gdy w końcu wyrzuciła z siebie część emocji, buzujących w niej od czasu traumy obozowej, poprawił jej się humor.

– A co, jeśli nie lubi chleba? – powiedziała wreszcie pogodnym tonem, który sam ją zaskoczył.

– To idzie do pijalni Wedla na czekoladę. – Hubert uśmiechnął się równie niepewnie, po czym wstał i założył płaszcz. – Chcesz iść do kina? W końcu otworzyli Palladium. Grają coś z Francji.

Zawahała się.

– To tylko film. Kilkadziesiąt minut relaksu w tym dziwnym świecie.

Hubert naprawdę chciał traktować ich relację po przyjacielsku. Mimo to w jego głosie brzmiała cicha prośba, której Letycja nie była gotowa usłyszeć. Której on nie był w stanie ukryć nawet przed samym sobą.

* * *

Pierwszy powojenny film przyciągnął do kina tylu widzów, że cała sala była zapełniona. Stali długo w kolejce, nim weszli do środka i zajęli swoje miejsca. Letycja lubiła przyglądać się ludziom. Widziała pary, które trzymały się za ręce i wywoływały w niej żal. Matki z córkami, które stały samotnie, bo ich ojcowie i mężowie nadal nie wrócili z wojny. Patrzyła na mury budynków, tych, które przetrwały, i tych, które już zostały odbudowane. Było to tak bardzo wyczekane, a jednak dziwne, bo po wspomnieniach głodu, śmierci i komór gazowych ten nowy świat czasami wydawał się nierealny.

W ciemnej sali było zupełnie cicho. Wszyscy w napięciu czekali, aż padną pierwsze słowa, aż pojawi się pierwsza scena.

Już przy pierwszej nucie *Zakazanych piosenek* Letycja poczuła mocny ucisk w klatce piersiowej. Patrzyła na ekran i czuła, jak narastają w niej emocje. Pamiętała słowa każdej piosenki. Każda była cicho nucona w barakach obozowych, tak by nie usłyszeli jej blokowi. A gdy wydzierano Polakom z ciała i z duszy godność, to więźniowie tylko tym się pocieszali, że myśli w ojczystym języku nikt im wydrzeć nie może. I wbrew wszystkiemu śpiewali:

Rozszumiały się wierzby płaczące,

Rozpłakała się dziewczyna w głos.

Odprowadzała żołnierza na wojnę,

Z apaszką na szyi szła w las.

[...]

Usiadła z nimi przy ogniu dziewczyna,

Z partyzantem rozmawia do łez:

„Czy powrócisz, czy się jeszcze zobaczym?

Czy się spełni nasz wymarzony sen?”.

Hubert słyszał, jak łkała. Chwycił ją za rękę, ale nie było w tym nic zalotnego. Wręcz przeciwnie. Chciał po prostu przy niej być. Dobrze wiedział, za kim płakała. Nie wiedział jednak, że powoli zaczynała zdawać sobie sprawę z tego, że przeszłość powinna zostać w przeszłości. Ale droga, jaką Letycja miała przejść, by osiągnąć spokój, musiała jeszcze trwać.

– Ten film to poniekąd przywrócenie nam, byłym więźniom niemieckich obozów, wszystkim uciśnionym, godności. Nie uważasz? – spytała, gdy odprowadzał ją do domu.

– Tak, sądzę, że tak. W obozie wszystko to, co zakazane, a jednak przez więźniów złamane i zrobione, było największym przejawem buntu. Baliśmy się bata, ale byliśmy na niego gotowi.

Letycja ze zrozumieniem kiwnęła głową.

– Jesteśmy. – Stanęła przed drzwiami kamienicy. Hubert spuścił wzrok, by za chwilę znów na nią spojrzeć. – Dobranoc.

– Dobranoc, Letycjo. – Odchodząc, miał ochotę się obejrzeć, ale nie zrobił tego. Dlatego nie mógł zobaczyć, że ona, przekraczając próg kamienicy, mimowolnie spojrzała jeszcze w jego stronę.

* * *

Mieli wrażenie, że czas pędził, ponieważ gdy się na coś czeka, koniec stycznia, a potem lutego zamienia się w mgnieniu oka w święta wielkanocne. Dni i noce uciekają i nim człowiek się obejrzy, wszystko dookoła jest inne.

Hubert i Letycja spędzali ze sobą wiele wieczorów, podczas których godziny rozmów łączyły ich światy. Hubert czasami odprowadzał Letycję pod dom, ale nigdy nie wchodził do środka. Niekiedy zostawał chwilę dłużej, palił papierosa, upewniał się, że weszła do mieszkania, i znikał, gdy światło w salonie się zapalało.

Gdy zwlekał z odejściem, dostrzegał ukradkiem, że kobieta uruchamia gramofon. Odchodząc, widział ją przez okno, jak tańczyła. Tańczyła niemal każdego wieczoru. Nie słyszał muzyki, ale jej ruchy zdradzały, czy tym razem nastawiła płytę z jazzem czy z bluesem. Nauczył się czytać z ruchów jej ciała, jaki ma nastrój. I potem już wiedział, czy tej nocy do poduszki przytuli uśmiech, czy oczy mokre od łez.

Była drobna, krucha, wydawało się, że rozsypie się na kawałki, gdy tak beztrosko oddawała się pasji tańczenia. Robiła to zwyczajnie, ale w jego oczach nie była zwyczajna. Oczywiście cenił to, że jest dziewczyną, którą cieszą zwyczajne wieczory i zwyczajne „być, a nie mieć", lecz jej samej daleko było do przeciętności. Każdego dnia uczył się jej. Z gestów i z rozmów poznawał jej codzienność. Czuł, że o poranku jest radosna, że w nostalgiczne popołudnia coś ją męczy. Poznawał ją przez barierę cienkiej szyby, której nie potrafił zbić. A może bał się uderzyć w szkło, by jej nie wystraszyć i nie odsłonić siebie.

Szyby – zimne, stawiające granice, a wystarczy otworzyć okno, by wpuścić nieco świeżego powietrza i pozwolić sobie

usłyszeć muzykę.

* * *

Letycja zauważyła, że coś jest nie tak. Kiedy wychodziła rano z mieszkania, po drugiej stronie ulicy zawsze ktoś stał. Niby przypadkowy mężczyzna z gazetą, czasem kobieta z siatką. Ale za często byli to ci sami ludzie. Zbyt często.

Tego dnia szła do pracy z parasolką, bo od rana padał rzęsisty deszcz. Gdy opuściła bramę podwórka, spostrzegła mężczyznę w ciemnym płaszczu i kapeluszu. Była pewna, że idzie za nią, że śledzi ją w drodze do pracy. Wcześniej tylko patrzyli, stali naprzeciwko... Dziś było inaczej. Przez chwilę nawet się wystraszyła, ale szybko uznała, że to tylko jej czarne myśli. Weszła do budynku poczty i wyczuła napięcie, nim jeszcze zdążyła odwiesić swój płaszcz. Danuta przywitała ją tylko delikatnym skinieniem głowy. Potem szybko odwróciła wzrok. Kiedy Letycja zaczęła sortować listy, podszedł do niej człowiek w garniturze.

– Pani Letycja Różańska? – Zdezorientowana, potwierdziła ruchem głowy. – Zapraszam do biura dyrekcji.

– Czy coś się stało? – Wystraszyła się.

– Zapraszam do biura dyrekcji. Zaraz się pani wszystkiego dowie.

To był chyba jej najdłuższy spacer w ostatnim czasie. Dłużył się, chociaż miała do przejścia zaledwie kilka kroków.

– Pani Letycjo. – Dyrektor odchrząknął. – Mamy do pani kilka pytań w sprawie pewnej przesyłki. – Spojrzał ukradkiem na nieznajomego mężczyznę.

– Jakiej konkretnie? – Nie miała pojęcia, o czym mówił.

– W zeszłym tygodniu do naszej poczty wpłynęła paczka, którą pani wydała dalej. Została zatrzymana w Łodzi. Na sortowni.

– Jak duża to była paczka?

– Niewielka. Był w niej... mikrofilm. Dowód w pewnej sprawie. – Znów odchrząknął.

– Czy pamięta pani jakąś niestandardową przesyłkę? – wtrącił się mężczyzna. Widać było jego zniecierpliwienie.

– Proszę wybaczyć, ale w ciągu tygodnia przez moje ręce przechodzi wiele paczek. Nie jestem w stanie spamiętać ich wszystkich.

– Nie chodzi mi o wszystkie, tylko o tę jedną.

– Tłumaczę panu, że jest wiele paczek i nie mam pojęcia, o którą panu chodzi – zdenerwowała się.

Wtedy dostrzegła, jak dyrektor kiwa głową, dając jej znać, by stonowała głos w rozmowie z nieznajomym. Spuściła więc wzrok i dodała:

– Niestety nie pamiętam, przepraszam.

– Nazwisko tego nadawcy powtarzało się wielokrotnie. I zawsze to pani wypuszczała paczki dalej. – Letycja nie miała pojęcia, o czym mężczyzna mówi.

– Ja tu tylko pracuję i wykonuję swoje obowiązki. Nie wiem nic, co mogłoby się panu przydać. Pracuję, nie politykuję...

– I oby tak zostało.

Po zakończonej zmianie Letycja zabrała swoje rzeczy. Nogi miała nadal jak z waty. Nie rozumiała, co dziś się wydarzyło, ale zaczynała podejrzewać, że ktoś wmanewrował ją

w niebezpieczną sytuację. Czasy były, jakie były, i należało uważać, a tu ktoś ewidentnie chciał jej zaszkodzić lub zmyć jej kosztem swoje winy. Pierwszą osobą, która przyszła jej do głowy, była Danuta. Cały dzień uciekała przed nią wzrokiem.

Gdy Letycja wyszła z pracy, nieznajomy mężczyzna, który śledził ją rano, czekał oparty o ścianę budynku, twarz zakrył gazetą. Była niemal pewna, że przed chwilą rozmawiała z nim Danuta. Letycja od razu udała się do Wedla w nadziei, że spotka tam Huberta. Nie wiedziała, co ma robić.

Jego jednak tam nie było. Nie było go ani w pijalni, ani pod adresem, który jej podał, gdyby musiała go znaleźć. Ogarnęła ją panika. W przestrachu zaczęła biec ulicą, oglądała się za siebie w obawie, że tamten mężczyzna nadal ją śledzi. Obróciła głowę, przyspieszyła i nagle na kogoś wpadła. Odruchowo pisnęła.

– Letycja! – usłyszała jego głos. – Letycja, musimy porozmawiać.

– Hubert… – szepnęła jego imię, gdy zrozumiała, że to na niego wpadła na ulicy. Też jej szukał. Schowała głowę w jego ramionach. Cała drżała.

– Już dobrze. A teraz chodź, muszę ci coś powiedzieć.

Całą drogę milczeli. Mężczyzna, którego widziała wcześniej, zniknął z pola widzenia albo dobrze się ukrywał. Kilka przecznic dalej znajdowała się kamienica, w której Hubert wynajmował pokój. Weszli do środka i dopiero wtedy Letycja bezsilnie opadła na krzesło.

– Dowiedziałem się od kolegi, że byłaś przesłuchiwana.

Letycja zdziwiła się, że już o tym wie. Skinęła głową.

– Ale ja nic nie zrobiłam.

– Nie chodzi o to, czy zrobiłaś. A o to, że już jesteś na ich liście. A jak się tam znajdziesz, to ciężko z tej listy zniknąć. Ktoś cię obserwuje, staramy się ustalić kto.

– To jakaś pomyłka... – Złapała się za głowę i zaczęła nią nerwowo potrząsać.

– Wiesz, że mamy takie czasy, że nie wystarczy powiedzieć, że jesteś niewinna. To nic nie znaczy, Letycjo.

– Wyrzucą mnie przez to z pracy?

– W najlepszym wypadku. Mogą cię też przesłuchiwać i mieszać w sprawy, o których nie masz pojęcia.

– To co ja mam teraz zrobić?

– Zrezygnuj sama. Nim zwolnią cię z powodu utraty zaufania do pracownika państwowego. Zniknij im z oczu na jakiś czas.

– Ale co mam ze sobą zrobić w takim razie?

– Coś wymyślimy. To teraz najmniejszy problem.

Letycja spojrzała na swoje dłonie przez łzy. Znowu poczuła się tak, jakby ktoś odebrał jej wolność. Nie krzykiem, nie terrorem, tylko cichym podstępem.

– Pozwól sobie pomóc. Jak wtedy. Nie jesteś sama.

Nie odpowiedziała. Po krótkiej chwili jedynie lekko skinęła głową. Nie chciała go narażać jak kiedyś Karola. Chciała zniknąć. Tak po prostu chciała zniknąć.

* * *

Gdy wieczorem Hubert zapukał do jej drzwi, otworzyła zlękniona. Nie spała już drugą noc z rzędu. Każdy stukot kroków na klatce schodowej, każdy trzask drzwi na korytarzu powodowały, że serce podskakiwało jej do gardła. Wiedziała, że nie aresztują z hukiem. Nie zawsze przecież tak robili. Czasem ludzie po prostu znikali. Rano mieszkanie stawało się puste, a sąsiedzi na piętrze udawali, że nic nie widzieli i nic nie słyszeli.

Tego dnia przyjaciel przyszedł jej powiedzieć, co ustalono. Danuta współpracuje z Urzędem Bezpieczeństwa i by chronić swojego męża, działania zakazane, których się podejmuje, zrzuca na Letycję.

– Nie martw się, już załatwiliśmy ci z chłopakami nową posadę. Na razie będziesz pracować w bibliotece przy ulicy Koszykowej. Tam nie będą cię szukać. Przynajmniej nie teraz.

– Ale jak to? Skoro wiadomo, że to Danuta, to dlaczego wina nadal spoczywa na mnie? Powiedzmy im...

– Oni wiedzą. I jest im to na rękę. Uwierz mi, im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie... Po prostu złóż papiery i przenieś się do biblioteki.

– Ale dlaczego?! – krzyknęła.

Lubiła tę pracę. Poza tym nie chciała znów zmieniać czegoś w swoim życiu, bo tak jej każą.

– Bo nie masz innego wyjścia. Wiesz, jak wyglądają przesłuchania? – podniósł głos i spojrzał jej prosto w oczy. Twardym, gorącym spojrzeniem. Ona spuściła wzrok i nie odpowiedziała. – Powiem ci. – Nie reagował, gdy prosiła, aby przestał. – Zabierają siłą do piwnic albo izolatek bez okien. Przesłuchują tak długo, by złamać psychikę. Brak snu,

zastraszanie, głód, upokorzenia, zimno to coś standardowego. Przypomina ci to coś? – Złapał ją mocno za dłonie. Ona też patrzyła mu w oczy. Prawie płakała. – Ale jeśli to nie pomaga, biją. Duszą. Gwałcą.

– Dobrze. Zrozumiałam – wyszeptała.

Ale on mówił dalej. I dalej mówił głośno.

– Danuta „Inka" Siedzikówna[19]. Znasz to nazwisko? – Nie czekał, aż potwierdzi lub zaprzeczy. Ciągnął dalej: – Była przesłuchiwana przez wiele godzin. Bito ją i zastraszano, by wymusić na niej zeznania przeciwko dowódcom Piątej Wileńskiej Brygady AK, między innymi przeciwko „Łupaszce". Nie złamała się. Zastrzelili ją. Miała tylko siedemnaście lat.

– Dobrze! – krzyknęła bezsilnie. Płakała. – Zrozumiałam.

– Proszę cię jeszcze o jedno – mówił już łagodniej, ale nadal targały nim emocje i drżały mu dłonie. – Na razie nie chodź do pijalni czekolady. – Spojrzała na niego z wyrzutem. – To teraz najmniej istotne, a bardzo niebezpieczne.

Oburzyła się. Rozumiała go, ale nie mogła się z tym zgodzić.

– Najmniej istotne, skoro ja całe życie układam pod to oczekiwanie?

– To może najwyższy czas z tym skończyć? Czekasz na iluzję. Nawet go dobrze nie znasz. Nie wiesz, czy żyje, a jeśli tak, to czy już nie założył własnej rodziny. Wybacz, że burzę twój idealny świat nadziei, ale marnujesz swoje życie i narażasz się na niebezpieczeństwo.

– Znam go lepiej, niż ci się wydaje. Nic nie wiesz, Hubercie. – Nie umiała przyznać mu racji, choć dobrze wiedziała, że to on ją ma.

Hubert bez słowa wyszedł z jej mieszkania. A ona została tam sama ze swoimi myślami. Roztrzęsiona, podbiegła do sekretarzyka i drżącymi dłońmi otworzyła szufladę, w której schowane były listy od Karola. Jedyne, co miała od niego i po nim. Panika znów zawładnęła jej umysłem. Wzięła głęboki oddech i usilnie starała się przypomnieć sobie jego twarz. Nie umiała. Upadła na kolana i bezgłośnie płakała. Modliła się o siłę. Trwała w tym bólu przez dłuższą chwilę.

– Przepraszam, przepraszam, Karolu. Już dłużej nie mogę czekać. Muszę iść dalej, bo inaczej sama zniknę...

* * *

Przez kilka kolejnych dni Letycja nie opuszczała domu. Wyszła tylko jeden raz, by złożyć stosowne papiery w pracy. Nie chodziła też do Wedla, tak jak prosił Hubert. Wszystko w jej życiu jakby stanęło w miejscu. Miała wiele czasu na pozbieranie myśli, tak dziwnie rozsypanych. Chciała je poskładać w całość, ale to musiało potrwać. Zniknęło tyle czarnych myśli, gdy odpuściła przeszłość i przestała nią żyć. Bolało jednak, że wraz z tą zmianą zniknął również i Hubert.

Nastał kolejny poranek bez żadnych wieści. Letycja zebrała w sobie wystarczająco dużo siły na tę rozmowę i nie mogła już dłużej czekać. Czekała tyle lat na szczęście, które nie nadchodziło, dlatego postanowiła zrobić coś ze swoim życiem tu i teraz. Założyła buty i narzuciła na plecy płaszcz. Zamykając drzwi, nawet za siebie nie spojrzała. Energicznie

zapukała do drzwi mieszkania Huberta. Otworzył je niemal od razu. Na widok Letycji szeroko otworzył oczy, złapał ją za rękę i wciągnął do środka.

– Miałaś nie pokazywać się przez jakiś czas.

– Już minął jakiś czas. Nie wiedziałam, co się dzieje.

– Jeszcze jest za wcześnie. Praca na ciebie czeka, ale muszą o tobie na chwilę zapomnieć.

– Dobrze.

– Rozumiesz?! Nie wychodź na razie.

– Dobrze.

– Nie możesz... – Przerwał. Spojrzał na nią, jakby nie docierało do niego, jak mu odpowiada i że godzi się na wszystko, co jej proponuje.

– Przyszłam do ciebie w jeszcze jednej sprawie. – Spuściła wzrok zawstydzona. A potem uniosła go i widząc te duże brązowe oczy, pierwszy raz pozwoliła sobie poczuć emocje. Bardzo podobały się jej jego oczy. – Nie będę już czekać. – Nie zrozumiał. Nadal patrzył na nią zdezorientowany. – Nie czekam już na Karola. Idę dalej, bo chcę żyć.

Hubert poczuł się dziwnie. Przyjemnie. Jego ciało wydało mu się nagle lżejsze. Niewiele chyba myślał nad tym, co robi, bo mimowolnie uniósł dłonie i przytulił je do policzków Letycji. Jego dotyk sprawił, że poczuła mrowienie w głowie i w okolicy przepony. A gdy zamknęła oczy, jego miękkie usta napotkały na drodze jej wargi.

* * *

Wydarzenia kolejnych miesięcy toczyły się tak dynamicznie, że Letycja nie wiedziała chwilami, jaki jest dzień tygodnia. Przestała tak często chodzić do pijalni czekolady, a nawet jeśli się tam wybierała, to z Hubertem i tylko po to, by napić się gorzkiej czekolady z kardamonem. Na nic już nie czekała, po prostu żyła i była szczęśliwa.

Często się uśmiechała. Hubert też w końcu usłyszał jej piękny, krystaliczny śmiech. Przekonał się, że Letycja lubi gotować i że czyta dużo książek. I wreszcie ma na to czas, bo nic nie zatruwa jej myśli. Z przyjemnością jeździł z nią za miasto, by cieszyć się okolicznymi wioskami z ich sielskim spokojem i ciszą, której nie miała Warszawa. Leżeli czasami na trawie. Bawił się wtedy jej włosami. Podobało mu się, jak pachniała. Jaśminem. Maliną. Wiatrem. Chciał dla niej tego, co najlepsze. Mógł zrezygnować z własnych planów, byleby ona była szczęśliwa. Ona jednak tego nie oczekiwała, ponieważ dla niej szczęściem była jego pogoda ducha. Jego spokój. Jego uśmiech. Letycja była więc w stanie również zrezygnować dla niego ze swoich planów i marzeń. Nie musiała – te mieli wspólne.

Praca w bibliotece okazała się tak kojąca, że Letycja chciała tam zostać na stałe. To między regałami pełnymi książek wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku Hubert oświadczył się jej, a ona się zgodziła. Ślub zaplanowany był na sierpień tego samego roku. I w ten dzień tak pięknie świeciło słońce...

* * *

Letycja wraz z siostrami Huberta wiła wianek z dzikich rumianków, sala weselna już była gotowa. Choć przyjęcie miało być skromne, bo rodziny narzeczonych były zdziesiątkowane, wokół nich zgromadzili się najbliżsi im ludzie. Dla Letycji rodziną stali się pracownicy Wedla. Hubert miał swoje siostry i kilku kolegów z AK. W ich życiu zaczynało się dziać wszystko to, co dobre. Mieli wspólne plany i marzenia. Chcieli wyjechać w góry. Mieć dzieci. I małą stadninę koni. To wszystko brzmiało jak piękny plan na życie.

Nagle w ten sierpniowy poranek, gdy już ślubna aura otaczała narzeczonych, do mieszkania Huberta ktoś gorączkowo zapukał. Pan młody nie usłyszał kołatania. Gwar panujący w domu i śmiechy kolegów zagłuszyły wszelkie złowrogie dźwięki, które mogły do niego dotrzeć. Andrzej, świadek, otworzył wreszcie drzwi. Stała w nich nieznajoma mu kobieta.

– Pani Rozalia? – zdziwił się Hubert, gdy Andrzej zawołał go do drzwi. Pracownica Wedla stała na progu przestraszona.

– Panie Hubercie… – zaczęła. – Chyba powinien pan to zobaczyć.

* * *

Drzwi pijalni Wedla otworzyły się powoli. Stukot eleganckich butów, które Hubert założył do ślubu, dźwięczał echem na drewnianej posadzce, ułożonej w jodełkę. Mężczyzna zrobił kilka kroków i wstrzymał oddech.

– Hubert? – usłyszał swoje imię.

– Karol. – Zamarł.

Kolega z uśmiechem rzucił mu się na szyję. Był ubrany w stare ciuchy, schludne, ale znoszone. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Miał podkrążone oczy i mimo że byli w podobnym wieku, Karol wyglądał na znacznie starszego. Tak jakby nie umiał wyglądać lepiej, ale bardzo chciał się godnie zaprezentować.

– Jak miło cię widzieć! Chociaż nie ukrywam, że spodziewałem się tu kogoś innego. Ale spokojnie. Poczekam na nią. – Uśmiechał się szeroko i szczerze. – Słuchaj, jaka historia, stary przyjacielu – mówił nieprzerwanie. Nie był podobny do tamtego Karola z czasów, gdy byli więźniami. Zmienił się. Był bardziej chaotyczny. Rozkojarzony. – Szedłem ulicami Warszawy. Udało mi się wreszcie wrócić z Palestyny. Wywieźli mnie tam tamtej nocy. To znaczy najpierw do Gross-Rosen, a potem za granicę. Wróciłem kilka tygodni temu. Starałem się znaleźć tu swój kąt i szukałem jej. Letycji. Pamiętasz ją? To ta dziewczyna, do której pisałem listy w obozie. Pomagałeś mi je do niej dostarczać. – Hubertowi do oczu napłynęły łzy. Patrzył na Karola tak, jakby stał przed nim przyjaciel, którego skrzywdził, i ktoś, kto może mu odebrać wszystko to, co on sam pokochał. – I wyobraź sobie, nie wiedziałem, gdzie może być. I nagle zaczepia mnie pewna kobieta. Mówi, że też była w Auschwitz. Że mnie pamięta, bo pracowała z Letycją w szwalni. Widziała mnie w *Aussenkommando*. I mówi, że Letycja napisała do mnie list. Ostatni list w odpowiedzi na ten mój urwany w pół zdania. Odpowiedziałem jej, że nie dostałem nigdy tego listu. I wtedy ona z pamięci wyrecytowała adres. Szpitalna osiem, pijalnia Wedla. Powiedziała, że cały barak nauczył się tego adresu, że na lagrze męskim wy też... Tylko po to, aby mi

przekazać, gdyby ktoś mnie spotkał. Żebym mógł ją odnaleźć. I... jestem. Dobrze cię widzieć, przyjacielu... – Gdy skończył mówić, złapał oddech i czekał, aż Hubert coś powie. On jednak nic nie mówił. Łzy płynęły mu po policzkach. Gwałtownie starł je z twarzy.

– Usiądź ze mną, proszę, napijmy się kawy – zaproponował.

– Wybacz, ja... nie mam jeszcze pracy. Ciężko jest odnaleźć się w tej nowej rzeczywistości. Do tego przesłuchują mnie i znalezienie pracy jest utrudnione. Nie mam pieniędzy...

– Karol, posłuchaj – przerwał mu nagle. – Letycja czekała na ciebie wiele lat.

– Ona żyje, prawda? – Przestraszył się Karol.

– Tak, żyje. I ma się dobrze. Ona... naprawdę czekała bardzo długo. Latami. Nawet nie wiesz, przez co przeszła i co zrobiła, by trwać w miłości do ciebie... – Teraz Karol przyglądał mu się z niepokojem. Przełknął ślinę, bo zaschło mu w gardle. Nagle spojrzał na niego, jakby dopiero ocknął się z letargu, i dostrzegł garnitur i białą koszulę. Lakierki i muchę.

– Ty... ty się dziś żenisz, prawda? – Jego głos drżał. Znał odpowiedź.

– Tak, żenię się dziś z Letycją. – Hubert oparł łokcie o blat stolika i ukrył twarz w dłoniach. – To nie tak, przyjacielu. Ona naprawdę czekała. Tak długo, że sama zaczęła znikać. I nadal cię kocha, wiem o tym. Tylko że w jej sercu znalazło się też miejsce dla mnie. – Nie patrzył na Karola. Uciekał myślami i wzrokiem od rzeczywistości, która właśnie przekreślała jego

całą przyszłość. – I za bardzo ją kocham, by zatrzymać ją dla siebie, nim pozna szczęście z tobą.

– Nie będę ukrywał, że to dla mnie bolesne. Skoro jednak jesteś dziś w tym garniturze, o czymś to świadczy, Hubercie. Jesteś dobrym człowiekiem. Nie pokochałaby złego mężczyzny. Nie wiem, czy ja bym potrafił zrezygnować z kogoś, kogo kocham, dla takiej sprawiedliwości, jaką ty teraz chcesz mi oddać. Ona teraz kocha ciebie…

– A ty? Kochasz ją? – spytał Hubert, ciągle patrząc za witrynę na kamienicę, której okna wychodziły wprost na pijalnię Wedla.

– Myśl o niej pozwoliła mi przetrwać obóz i Palestynę. Mogłem nie wracać, ale wróciłem… dla niej. Pisałem do niej listy, których nigdy nie wysłałem, bo nie znałem adresu. – Wyciągnął z kieszeni za dużej marynarki pęk kopert związanych sznurkiem. Widać było na nich ślady wielu dni cierpienia, bitwy i tułaczki.

Hubert raptownie zerwał się z krzesła i podszedł do zapłakanej pani Rozalii. Poprosił o kartkę papieru i długopis, po czym skreślił kilka słów.

– Niech pan nie odchodzi – łkała. – Ona pana kocha…

– Wiem. Ja też ją kocham. I właśnie dlatego nie mogę myśleć teraz o sobie.

– Ona będzie z panem szczęśliwa…

– Byłaby szczęśliwa ze mną, ale może z tym, na którego czekała, będzie szczęśliwsza… Proszę, niech pani do niej pójdzie i jej to zaniesie, teraz, ode mnie. – Zatrzymał się na chwilę przed drzwiami, by spojrzeć na miejsce, w którym dla

niego wszystko się zaczęło… i skończyło. – Powodzenia – rzekł do Karola i wyszedł, nie oglądając się już za siebie.

Nie później niż po kwadransie do pijalni wbiegła Letycja. Była piękna. Pukle loków spadały na jej jasną twarz. Różowe usta, błękitne oczy szukające tych oczu, na które czekała latami. Była jak istota targana wiatrem. Ich spojrzenia – jej i Karola – wreszcie się skrzyżowały. I ten moment był jak wybuch wulkanu. Może Letycja pamiętałaby z niego więcej, gdyby nie to, że z przejęcia upadła na ziemię i jedyne, co potem widziała, to czerń. Niekończącą się czerń. Bóg jeden raczy wiedzieć, czy dlatego, że stęskniona czekała nadal na Karola i wreszcie go zobaczyła, czy dlatego, że nie zastała tu już Huberta. I nigdy więcej miała go nie zobaczyć.

Otworzyła oczy, ale z początku widziała świat jak przez mgłę. Miał być ślub. Zasłabła. Miała dziwny sen, że jej przyszły mąż zniknął, a pojawił się Karol. Wszystko ją bolało, ale najbardziej głowa. Musiała się uderzyć – pomyślała.

– Hubert… – wyszeptała i dłonią szukała jego dłoni. Przy nim czuła się bezpiecznie.

– Letycjo… to ja, Karol – usłyszała nieznany sobie głos.

Teraz otworzyła oczy szerzej i spojrzała na niego. Poznała twarz. Ale ten głos… był jej zupełnie obcy. Czekała na to, ale gdy to nadeszło, czuła jedynie niepokój. Historia zatoczyła koło – zdała sobie z tego sprawę, gdy w Karolu zobaczyła swoją miłość, ale jednak dawną, i poczuła ukłucie tęsknoty, z którą znów będzie się musiała zmierzyć. Nie wiedziała, dlaczego los znów tak brutalnie ją potraktował: zamiast dać spokój i stabilizację, ponownie wyrwał ją z bezpiecznej przystani. Karol był przeszłością, której pozwoliła już odejść,

tak wiele ją to kosztowało! A teraz stał tu przed nią. Żywy. Prawdziwy. Lecz w tej obecności było coś obcego. Chłód, który nie pasował do wyobrażenia, jakie o nim miała przez te wszystkie lata. Spojrzała w jego zmęczone, szare oczy…

– Karolu, ty naprawdę wróciłeś…

Musiała się go nauczyć na nowo. Musiała pokochać go od nowa. Chciała dać sobie na to szansę, Hubert miał co do tego rację. Kiedyś prosił, by znalazła w sercu trochę miejsca dla niego. Dziś musiała znaleźć to miejsce dla Karola. A było tam ciasno. Jej duszą zawładnął ktoś inny i choć na początku się przed tym broniła, uczucie do Huberta było teraz tak naturalne. Teraz znów kogoś straciła i tą wieczną tęsknotą w życiu była zwyczajnie zmęczona. Utknęła między dwoma światami i nie wiedziała tak naprawdę, do którego z nich należy. Najbardziej chciała należeć po prostu do siebie, tymczasem znowu czuła, że ktoś inny zdecydował za nią o jej życiu.

* * *

W kilka tygodni Letycja i Karol zdążyli opowiedzieć sobie to wszystko, co nie wybrzmiało w obozie, wyjaśnić to, co było niedopowiedzeniem, a było tak bardzo upragnione w obozowych realiach.

Letycja dowiedziała się, że Karol wrócił pod zmienionym nazwiskiem, by Urząd Bezpieczeństwa go nie ścigał, że spotkał kobietę na ulicach Warszawy zaraz po powrocie z Palestyny, która powiedziała mu, gdzie ma jej szukać, bo wiele osób w obozie nauczyło się na pamięć tego adresu podanego w liście. Dowiedziała się też, że to wszystko

prawdopodobnie zasługa Celiny. To przypomniało jej, jak bardzo chciałaby ją odnaleźć. Przed laty rozdzielił je marsz śmierci: Celinę wysłano do Ravensbrück z innymi kobietami, Letycji udało się uciec z ewakuacji.

– Opowiedz, jak to było… – poprosił Karol.

Siedzieli w jej mieszkaniu po niedzielnym obiedzie. Letycja upiła łyk herbaty, zamknęła oczy i zaczęła tę smutną opowieść:

– W dzień śnieg padał gęsto. Nocą był straszny mróz. Nogi miałam jak z drewna. Hubert… – Zamilkła na moment. – Załatwił mi z Kanady buty wojskowe, jeszcze jesienią, pilnowałam więc, żeby nikt mi ich nie ukradł. Wiesz, jak było w obozie: rano człowiek się budził i butów nie było, szczególnie takich porządnych. Przywiązywałam je do nóg sznureczkiem. Którejś nocy, gdy ktoś się do nich dobierał, poczułam to i się zbudziłam. To była więźniarka z koi obok. Gdy ją przyłapałam na gorącym uczynku, nawet nie miała wyrzutów sumienia. Miała raczej żal, że się obudziłam i że nie udało się jej ukraść tego, co moje. W każdym razie dzięki Hubertowi miałam te buty w czasie marszu śmierci i to na pewno mnie w jakimś sensie też uratowało. Choć w nogi było zimno, a ciało smagał wiatr, mogłam iść. Szłam obok Celiny i Anny. Nasza kolumna ciągnęła się w nieskończoność. Brnęłyśmy gdzieś w środku, więc wiatr nami tak nie poniewierał jak tymi, którzy szli na krańcach. Tych na końcu często zabijano… Ci po bokach często marzli bardziej, wpadali do rowów, upadali… my trzymałyśmy się razem. Gdy któraś już nie miała siły, ciągnęła tę drugą. Gdy było tak przeraźliwie zimno, tuliłyśmy się, kiedy esesman nie patrzył. Krzyki

esesmanów zlewały się z płaczem małego dziecka, pamiętam to...

– To straszne... – Karol kręcił z niedowierzaniem głową.

– Tak to zapamiętałam. Świst wiatru, krzyk Niemców i płacz dziecka... Wtedy też na chwilę cała kolumna zwolniła, niemal stanęliśmy w miejscu. Ponoć jakiś więzień się przewrócił i esesmani go skatowali. Nagle padł strzał. Ryk kobiet. Cisza. „Teraz albo nigdy", powiedziałam do Celiny i Anny. Celina patrzyła na mnie swoimi wielkimi oczami. Nigdy tego nie zapomnę. Spojrzała na mnie tak wystraszona, jakby patrzyła gdzieś do wnętrza mnie, głębiej niż tylko w oczy. Zachęciłam ją ręką, żeby zrobiła to, co ja. Nie myślałam wiele, przeskoczyłam rów i biegłam w stronę sterty buraków cukrowych, które na moje szczęście tam jeszcze leżały. Obejrzałam się za siebie, dziewczyny dobrze wiedziały, że jeśli nie zrobią tego samego, co ja, zginą. Albo w marszu, albo z rąk Niemca. Anna złapała Celinę za rękę. Odbiły się od ziemi i... Anna przeskoczyła rów. Celina się zatrzymała. Za bardzo się bała. Zawahała się i dlatego już nie zdążyła... Esesman ryknął *Halt!* i zaczął strzelać w naszą stronę. Biegłyśmy zza buraków do lasu. Strzały padały tuż obok mojej głowy. Biegłam, ile sił w nogach. Serce mi wtedy pękło. Że Celina została. Wpadłam w gęste zarośla. Bałyśmy się, że odnajdą nas po śladach stóp. Wyrwałam więc jakieś gałęzie i zaczęłam zacierać za sobą te ślady, Anna pobiegła w drugą stronę. Miałyśmy się spotkać za kilometr lub dwa... Nie wiedziałam, czy się nie zgubię, ale co miałam do stracenia?

– Też byłaś odważna...

– Między odwagą a głupotą jest cienka granica. Ryzykowałam wiele. Mnie i Annie się udało. Nie mogłam sobie

darować, że Celina została. Byłam pewna, że ją zabili. Żyłam z tą myślą kilka miesięcy. Okazało się jednak, że trafiła do Ravensbrück. Dowiedziałam się od Anny, która później wysłała mi list z Krakowa. Jej kuzynka też była w Ravensbrück i tam ją widziała. Obie spały w jednym z baraków. A moja Anna... Anna wróciła do domu dziadków, bo jej rodzice zginęli w Warszawie. Widujemy się czasem. Piszemy listy. – Karol o czymś myślał, był bardzo skupiony. – Tylko że potem po Celinie zaginął ślad. Myślę o niej często. Nie wiem, czy żyje. I czy ma do mnie może żal, że ją zostawiłam? Bo gdyby żyła, przecież znała adres pijalni... Skoro wszyscy go znali dzięki niej, to by tu przyjechała.

– Letycjo, ja... ja chyba coś wiem...

– Jak to? – Ożywiła się. Poprawiła się na krześle, na którym siedziała, i spojrzała pytająco.

– Zanim wróciłem z Palestyny do Polski, przez kilka tygodni przebywałem w Niemczech i pracowałem przy repatriacji w strefie brytyjskiej. Tam pracowała ze mną pewna kobieta. Rozmawialiśmy o obozach i tak się złożyło, że ona również była w Auschwitz. Wspomniała o pewnej kobiecie, która uratowała ją podczas choroby, ponieważ załatwiła jej szczepionkę Weigla. Z jej ust padło imię „Celina".

– Nie wiadomo, czy to ta Celina...

– Też tak pomyślałem, ale wiedziałem też, że twoja koleżanka Celina umiała wszystko załatwić. Moja pierwsza myśl była więc taka, że to mogła być właśnie ona, skoro miała dostęp do tej szczepionki. W końcu nasze listy też przekazywała, dlatego zwróciłem na to uwagę. Ale jest coś jeszcze... Ona powiedziała, że ta kobieta była w Ravensbrück...

– Więc to ona! – Letycja stanęła na nogi i podeszła do okna. Złapała się za klatkę piersiową, a w oczach pojawiły się jej łzy wzruszenia. – To znaczy, że ma do mnie żal... Nie przyjechała tu, nie wysłała listu.

– Myślę, że to nie tak, Letycjo – ściszył głos i podszedł do niej, by delikatnie objąć ją w pasie. – Celina bardzo chorowała. Dzięki Czerwonemu Krzyżowi trafiła po wyzwoleniu do szpitala. Niestety tam zmarła na gruźlicę.

– O nie! – Zapłakana Letycja kryła teraz twarz w dłoniach.

– Kobieta, z którą rozmawiałem, zapamiętała, że na szyi Celiny wisiał mały srebrny medalik...

– Medalik mojej matki... Nie oddała go nikomu – powiedziała szybko.

Potem skryła się w swoim pokoju, otuliła kocem i nie chciała się nigdzie ruszyć. Tego wieczora myślała już tylko o tym, czy jej ucieczka z marszu śmierci mogła zaszkodzić Celinie. Gdyby szły razem, może by nie zachorowała. A tak... została całkiem sama, zdana na siebie. Karol przekonywał, że wokół niej było wiele kobiet, którym pomogła, i na pewno nie szła w pojedynkę. Jednak Letycja nie umiała sobie tego wybaczyć. I nie wybaczyła sobie tej jednej rzeczy do końca życia.

Celina zachowała medalik, bo zachowała w sercu Letycję, tak jak zachowuje się czystą przyjaźń. Nikt nie mógł wiedzieć, że nieraz mogła go przehandlować, by załatwić dodatkową porcję żywności lub nowe buty wojskowe. Nigdy jednak tego nie zrobiła. Samotna w machinie śmierci, czuła dzięki niemu bliskość przyjaciółki, choć na ogół uważała, że rzeczy nie są do tego potrzebne. W obozie drogocenne przedmioty takie jak

biżuteria traciły sens. Mimo wszystko z jakiegoś powodu chciała mieć przy sobie ten jeden mały medalik. Może jako symbol odzyskania umiejętności kochania, którą odkryła na nowo dzięki tej nastoletniej, zakochanej w Karolu dziewczynie. Miał jej przypominać, że ją też ktoś kochał i że ona znów potrafiła kochać.

* * *

Któregoś wrześniowego popołudnia Letycja i Karol leżeli na kocu w parku Skaryszewskim, ich głowy były tak blisko, że słyszeli swoje miarowe oddechy. Zapatrzyli się w niebo. Chmury miękko płynęły nad nimi, korony drzew lekko się poruszały, dotknięte wiatrem.

– Nigdy nie opowiedziałeś mi, jak to się stało, że trafiłeś do obozu. Nie lubisz wracać do tamtych dni, wiem, ale... chciałabym wiedzieć, jak wyglądał ten czas w twoim życiu. Zechcesz mi o tym opowiedzieć?

Przez chwilę milczał. A potem odchrząknął i zaczął mówić trochę smętnym tonem.

– Moi rodzice byli aktorami. Nie jakimiś sławnymi, ale w środowisku aktorskim dobrze znanymi. Mieszkaliśmy na Nowogrodzkiej. Tata grał w teatrze Ateneum, mama zaś w Polskim. Po wrześniu trzydziestego dziewiątego wszystko się rozpadło. Artyści uciekali, ale moi rodzice... nie. Oni chcieli zrobić coś dla kraju, ale nie mieli na tyle zdrowia, by działać zbrojnie. Robili więc to, co potrafili najlepiej. Grali. Potajemnie, po domach i w piwnicach. Pod przykrywką kabaretów realizowali pomysły o tematach politycznych. Śpiewali zakazane piosenki. Często wyglądało to tak, że

zaczynali sami, a kończyła z nimi cała grupa widzów... Pamiętam, jak ludzie płakali ze wzruszenia. To ich krzepiło. To dawało im nadzieję, że może wkrótce wojna się skończy. Wtedy zrozumiałem, ile znaczy być przy drugim człowieku i ile znaczą słowa.

– Byli odważni – stwierdziła szczerze Letycja.

– Byli. A ja popełniłem błąd. Pomagałem im na tyle, na ile umiałem. Przemycałem maszynopisy, ustawiałem scenę i dbałem o tę całą techniczną organizację. Lecz brakowało mi pokory. Matka powtarzała, że musimy się buntować i zachować polskość, ale mądrze. A ja myślałem, że jestem nieśmiertelny, odważny i... nie uważałem. To takie prozaiczne.

– Nie prozaiczne. Każdemu to się mogło zdarzyć, Karolu. Ale fakt, pokora jest w życiu potrzebna. I co dalej?

– Zgarnęło mnie gestapo. Ktoś mnie obserwował. Niosłem te maszynopisy. Dobrze, że bez nazwisk i adresów. Skatowali mnie, uznali za wroga politycznego i zesłali do niemieckiego obozu.

– A rodzice?

– Okazało się, że podczas któregoś z występów w piwnicy na ulicy Chmielnej siedział sąsiad, który współpracował z Niemcami. Doniósł na nich. Wpadło gestapo. Wzięli rodziców na przesłuchanie. Mama zginęła niemal od razu, skatowali ją na śmierć. Ojca wywieźli do Dachau. Zginął, wiem o tym, bo szukałem go po wojnie. – Zamilkł na chwilę. – Najciężej mi uwierzyć w to, że ludzie stawali się konfidentami. Sąsiad na sąsiada...

– To bardzo przykre. Ale po tym, co przeżyliśmy w niemieckim obozie, nauczyłam się jednego, choć to jednocześnie przerażająca lekcja. Nie oceniam, nie usprawiedliwiam, tylko staram się zrozumieć... Granice moralności w czasie wojny poprzesuwały się, bo tak drastycznie zmieniły się warunki życia. Każdy chciał przeżyć, szkoda tylko, że czasami kosztem drugiego człowieka. Dlatego walczą we mnie dwie filozofie. Ta druga mi podpowiada, że osoba, która zdradziła, dokonała wyboru i jest po prostu zdrajcą, szczególnie jeśli w efekcie tej decyzji ginie ktoś inny. To już nie jest tylko zabrana porcja jedzenia czy przesłuchanie. To przerwane ludzkie życie.

– Wybaczyłem mu. Ale stało się to dopiero w Palestynie. Samotność i poczucie zagrożenia życia skłaniały mnie do analizowania przeszłości. Dużo myślałem o tobie, o rodzicach i o tym, co w życiu jest tak naprawdę ważne. W Auschwitz prowadzili nas na rzeź, w Palestynie oczekiwano, że to ja będę zabijać... Nie mogłem tego zrobić. Sytuacja się odwróciła, teraz ja miałem być tym, który niesie przemoc.

– Dlaczego w ogóle tam pojechałeś?

– Przez to, że złapano mnie na współpracy z Szarymi Szeregami, groziło mi po wojnie aresztowanie przez Urząd Bezpieczeństwa... Wiedziałem, co mnie tu czeka, więc wybrałem wyjazd do Palestyny. Myślałem, że wrócę szybciej. Musiałem też zmienić nazwisko... Tęskniłem... tęskniłem za tobą i za Polską.

Z każdym dniem Letycja coraz bardziej przekonywała się, że Karol jest dobrym i troskliwym człowiekiem. Rozczulała ją jego empatia i wręcz dziecięca wiara w ludzi, to, że tak jak dotrzymał danego jej słowa i wrócił, tak dotrzymywał go we

wszystkich innych sprawach. Kochała go, bezsprzecznie go kochała. Jednak nie była to już taka miłość jak przed laty.

* * *

Liście zdążyły pożółknąć. Dęby i kasztanowce wyglądały, jakby chciały ukraść słońcu cały blask. Karol stał chwilę w milczeniu, patrząc na jezioro Kamionkowskie, w którym odbijało się szare niebo. Letycja szła obok, owinięta w szary płaszcz, z czapką naciągniętą głęboko na uszy. Jesień była chłodna i pachniała wilgotną ziemią.

– Myślałem, że już nigdy cię nie znajdę – powiedział cicho, gdy usiedli na ławce. Spojrzała na niego zaskoczona. Od kilku miesięcy widywali się niemal każdego dnia. W tym czasie Karol zdążył znaleźć pracę, wynająć mieszkanie niedaleko Letycji i zapałać do niej jeszcze głębszym uczuciem.

– A ja przestałam w pewnym momencie wierzyć, że żyjesz – odparła. – Ale to już za nami. – Jej głos był ciepły i pełen nadziei, że więcej się nie rozdzielą.

Usiadł obok niej i chwycił jej dłoń.

– Kocham cię. Nigdy ci tego jeszcze nie powiedziałem.

– Mówiłeś to gestami. Gdy byłam chora, podawałeś mi leki, a kiedy zabrakło mi pieniędzy, pracowałeś na drugi etat, by mi pomóc. W smutne dni płakałeś ze mną. Tańczyłeś w deszczu, by mnie rozbawić... a to znaczy więcej niż słowa. – Dotknęła dłonią jego twarzy i czule ją pogłaskała.

– Przetrwaliśmy wiele, by móc teraz siedzieć na tej ławce. Wyjdź za mnie. – Ukląkł przed nią, wyjmując z kieszeni

niewielkie pudełko. Otworzył je i Letycja zobaczyła złoty pierścionek z małym rubinem.

– Drżą ci dłonie – zaczęła. – Chyba nie sądzisz, że mogłabym ci odmówić... – Uśmiechnęła się szczerze. – Przecież wiesz, że cię kocham. Tak, chcę być twoja.

– Uczynisz mnie najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Zostań ze mną. Na zawsze.

– Tak. Zostanę twoją żoną, Karolu.

Pocałunek, którym się obdarowali, był tak czuły, że wzruszył Letycję. Jej oczy napełniły się łzami, ale nie uroniła ani jednej kropli. Nie była już tą dziewczyną, która płakała. Życie wiele w niej zmieniło. Stwardniała jak skała, a skruszyć ją umiał jedynie Karol.

Włożył jej pierścionek na palec. Dłoń miała delikatną, chudą, jego ręce zaś drżały z czułością. Potem siedzieli tak razem w ciszy. Nie musieli mówić nic więcej. Tylko liście opadały, jakby chciały przypomnieć o tym, co minęło i już nie powróci. Podobnie jak nie powróci Hubert, o którym w tej chwili mimowolnie pomyślała Letycja.

* * *

Warszawa jeszcze spała, gdy słońce leniwie podnosiło się znad zniszczonych dachów, przecierając szarą warstwę dymu i wilgoci. Był dwudziesty siódmy marca tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku, niedziela, ciepła jak na wczesną wiosnę. Termometr przy placu Grzybowskim wskazywał cztery stopnie powyżej zera. Ludzie mówili, że to

dobry znak. „Na ślub jak znalazł” – powiedziała pani Rozalia z Wedla.

Kościół Wszystkich Świętych wciąż nosił blizny po wojnie. Dwie strzeliste wieże, choć ociosane, stały dumnie na tle odbudowujących się kamienic. Fasada była zszarzała od sadzy, w niektórych miejscach popękana. W kilku oknach wstawiono nowe szkło, ale większość pozostawała tymczasowo zabita deskami. Przed wejściem leżały stare cegły, których nie zdążono uprzątnąć.

We wnętrzu kościoła płonęły świece. Ocieplały surowe mury i rzucały pomarańczowy blask na puste miejsca po rzeźbach i obrazach. Ciche, chłodne wnętrze, wypełnione światłem wpadającym przez jedyne czyste okno od strony południa, było gotowe na wejście panny młodej. W ławkach ustawionych nierówno, w większości pochodzących z innych, zniszczonych świątyń, siedziała garstka zaproszonych gości. Dalekie kuzynostwo Karola, ciotka Letycji – Antonina z Dolnego Śląska, Kazik, kilku kolegów z pracy i pracownicy Wedla. Przyjechała też Anna.

– Na ścianach wciąż widać ślady ognia – szeptali między sobą.

– Nie tynkują ich jeszcze, bo najpierw trzeba wyremontować dach – odpowiedział ktoś inny.

Warszawa latami, krok po kroku miała ożywać na nowo. A ludzie swoim codziennym życiem, zakochiwaniem się, ślubami, rodzeniem dzieci, potańcówkami, seansami filmowymi mieli pomagać stolicy żyć.

Letycja weszła powoli do kościoła i zmierzała w stronę ołtarza przez środek nawy. Jej suknia była prosta, długa do

kostek, z mlecznobiałej wełny, a uszyła ją babka pani Rozalii. Tylko ten materiał był dostępny na kartki. Rękawy miały lekką bufę na ramieniu, talię przewiązano cienką wstążką z kremowego jedwabiu, pożyczoną od kogoś. Letycja nie miała welonu. Wpięła więc we włosy gałązkę białej forsycji, jej dłonie zdobił niewielki bukiecik z goździków.

Przed prowizorycznym ołtarzem paliły się cztery świece. Czekał tam już kapłan w prostej, wyszarzałej sutannie. Obok niego ministrant trzymał srebrny kielich – jedyny, który ocalał z pożogi. Karol też tam czekał. Przy samym ołtarzu. Miał pożyczoną od sąsiada marynarkę i koszulę ze zbyt krótkim mankietem, ale stał wyprostowany i dumny jak nigdy.

Kiedy ksiądz złączył ich ręce, świat wokół przestał istnieć. Nie było ruin, popękanych ścian ani niedogrzanych mieszkań. Nie było listów, których nie wysłał. Nie było nic – oprócz jej ciepłych dłoni i jego szeptu:

– Nareszcie.

Letycję jednak niespodziewanie coś rozproszyło. Wśród nielicznych zgromadzonych – krewnych, sąsiadów, ocalałych – zobaczyła inną znajomą sylwetkę. Mężczyznę stojącego z tyłu, pod ścianą, częściowo przysłoniętego cieniem. Wydawało się jej, że schował się za wysoką kobietą w granatowej pelerynie. Jej serce drgnęło. Gdy jednak ponownie się obejrzała, jego już nie było…

Czy tęskniła za nim? Bóg jeden raczy wiedzieć. Ona wiedziała natomiast, że teraz ma Karola. I jego spojrzenie, czyste i szczere, które mówiło jej, że to, co między nimi było kiedyś przerwane, znów się splata. Letycja jednak czuła, że

jakaś część przeszłości niezwiązana z Karolem będzie tkwić w jej sercu do końca życia.

Karol także to wiedział, a może też zobaczył go wtedy w kościele. Zdobył się na jedno zdanie, które wypowiedział, patrząc jej w oczy, gdy byli już na przyjęciu w pijalni czekolady.

– Będę mu zawsze wdzięczny, że przy tobie był, gdy ja nie mogłem.

– A ja nie zapomnę, komu kiedyś zawdzięczałam to, że umiałam na ciebie czekać.

Oboje czuli do Huberta wdzięczność.

* * *

Dzięki dobroci i kontaktom dalekiej kuzynki Karola ten zmienił pracę na lepszą. Od kwietnia miał posadę w Biurze Odbudowy Stolicy. Jego dobra pensja i wypłata Letycji pozwoliły im po jakimś czasie kupić własne mieszkanie na ulicy Szpitalnej, którego okna wychodziły na pijalnię Wedla. Choć na początku skromnie urządzone, było ich gniazdkiem. Powoli gromadzili tam rzeczy, meble, wspomnienia, a później na świat przyszedł ich syn. Oboje wiedzieli, że otrzyma imię po najlepszym człowieku, jakiego poznali: Hubert.

Karol tego chciał, bo wiedział, że jego przyjaciel poświęcił dla nich swoje szczęście i miłość. Letycja – bo Huberta miała kochać do końca życia.

* * *

Gdy Letycja dowiedziała się, że jest w ciąży, aż podskoczyła z radości. Nie mogła się doczekać, by powiedzieć o tym Karolowi. Przygotowała uroczysty obiad, czekała, aż wróci z pracy. Co rusz wyglądała przez okno, by sprawdzić, czy już idzie. Zazwyczaj wracał około szesnastej. W dłoni niósł wtedy niewielką siatkę ze świeżym chlebem albo skromny bukiecik goździków.

Wybuchł entuzjastycznym śmiechem na te wieści. Chwycił ją na ręce i nosił po mieszkaniu, śmiejąc się, że już nigdy nie przestanie tego robić. Że to dziecko to największy dar.

Brzuch Letycji rósł z każdym tygodniem. O tym, jak przygotować się do macierzyństwa, dowiadywała się z listów od Anny. Jej koleżanka urodziła już bliźniaki, więc Letycja opierała się na jej doświadczeniu. Pisała też z ciotką Antoniną. Polegała na ich radach, czasami patrząc z sentymentem w niebo.

W tym okresie przygnębiało ją jeszcze bardziej, że to nie jej matula udziela jej rad. I że mały Hubert nigdy nie pozna swoich dziadków. Nie było już ojca ani matki, nie było tamtego domu, tamtych świąt, tamtej kołysanki. Ale teraz... teraz Letycja miała budować to wszystko od nowa. I była taka dumna.

Patrzyła czasem w niebo, szczególnie w te dni, gdy na błękicie pojawiały się kłębiaste chmury, albo w rozgwieżdżoną noc. I wtedy szeptała, trzymając się za brzuch:

– Zostaniecie dziadkami. – Uśmiechała się leciutko do nieba.

Najbardziej żal jej było, że nie zna miejsca pochowania rodziców. Że nie może pójść na cmentarz i zapalić świecy, zostawić bukietu kwiatów. Brakowało jej tej prostej czynności, która dla tylu innych była czymś naturalnym. Po wojnie jednak wielu ludzi zmagało się z tą niewiedzą, z tym brakiem. Odwiedzić grób, usiąść w ciszy, pomodlić się, powiedzieć, że wszystko się jeszcze jakoś trzyma – tego by chciała, bo na nic więcej nie mogłaby już liczyć. Teraz nie było nawet tego. Dla niej to była kolejna pustka, która z każdym rokiem tylko bolała bardziej.

Niekiedy, gdy przechodziła obok cmentarzy, zatrzymywała się przy obcych grobach i paliła znicz komuś, kogo nie znała, jakby to miało chociaż trochę zasklepić wyrwę w jej sercu. Czasem wyobrażała sobie, że gdzieś tam, pod skromną mogiłą zarośniętą trawą, leżą jej mama i ojciec. Że ktoś kiedyś widział, zapamiętał, może nawet modlił się nad tą mogiłą, której ona nigdy nie znalazła.

Wszystko, co miała po rodzicach, to jedno zdjęcie – wyblakłe, zagięte na rogach, które w dniu ślubu dostała od ciotki Antoniny. Ciotki, która znalazła ją po wojnie i była jej jedyną rodziną. Letycja przechowywała to zdjęcie między stronami modlitewnika jak relikwię. I choć wojna odebrała jej dzieciństwo, więc mogła czuć ogromny smutek już nawet z tego względu, to niewiedza o miejscu pochówku rodziców była jednak najgorszym rodzajem żałoby: ciągłym trwaniem w nieznanym, w żalu bez końca. Dlatego każda świeca zapalona przez nią na grobie nieznajomego szeptała: „Mamo, tato, gdziekolwiek jesteście... pamiętam”.

Od kiedy Karol dowiedział się, że zostanie ojcem, wracał z pracy wcześniej. Czasami udawało mu się załatwić kawałek

materiału na zasłony do pokoju dziecka. Innym razem farbę do pomalowania ściany. A potem siadał obok żony na kanapie, kładł dłoń na jej brzuchu i milczał. Słuchał.

– Czujesz? – szepnęła któregoś wieczoru, przerywając ciszę. – Poruszył się.

– W sumie to może poruszyła. Przecież nie wiemy, czy to chłopiec, czy dziewczynka.

– Chłopiec – powiedziała pewnie. I złapała się za brzuch. – Czuję to.

Karol wstrzymał oddech, jakby samo to słowo było święte. Jego palce delikatnie dotknęły wypukłości, a potem poczuł to delikatne muśnięcie od środka, jakby ktoś pukał z drugiej strony do ich świata.

– Tańczy – powiedział. – I robi to tylko dla ciebie.

– A ja zrobię to tylko dla niego. – Roześmiała się, podeszła do gramofonu i puściła swój ulubiony jazz. Tańczyła, kręciła się, unosiła ręce z zamkniętymi oczami i uśmiechem na twarzy. Karol patrzył na nią oparty o fotel i poczuł, teraz bardziej niż kiedykolwiek, że wygrał życie.

Śmiali się razem. Letycja później zasypiała z jego ręką na brzuchu, a on zostawał tak do rana, czuwając, jakby pilnował nie tylko jej snu, ale i życia, które dopiero się zaczynało.

W kuchni malowali ściany na błękitny kolor, chociaż farby było mało i Karol musiał rozcieńczać ją wodą. Łóżeczko dostali od sąsiadki, pieluszki przesłała ciotka Antonina. Anna zrobiła paczkę z za małych ubranek, które niedawno nosiły jej bliźniaczki. Letycja szyła maleńkie czapeczki, a Karol trzymał je potem w dłoniach z niedowierzaniem, jakby próbował objąć wielkość tak malutkiego cudu.

Poród zaczął się pod koniec stycznia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku, tuż przed świtem. Ulice Warszawy były ciche, gdy Letycja obudziła się z bólem. Nie krzyczała. Po prostu dotknęła lekko Karola, a on natychmiast wstał. Położna, sąsiadka z pierwszego piętra, przyszła w fartuchu, z torbą w ręku, włosy spięła w supeł.

W mieszkaniu pachniało wrzątkiem i mydłem. Letycja była spokojna. Oddychała głęboko, jak wtedy, gdy jako dziecko siedziała z tatą w pijalni albo gdy jeździła konno, pilnowana przez matkę. Myślała tylko o tym. O dobrych momentach, lekkich, nadających jej ciału i głowie znamiona spokoju.

Karol trzymał ją za rękę, nie puszczał jej ani na chwilę. W jego oczach nie było strachu, tylko miłość i podziw, którego nie potrafił ubrać w słowa. Była taka dzielna.

Dziecko przyszło na świat tuż po wschodzie słońca.

– Chłopiec – powiedziała położna i zawinęła go w tetrową pieluszkę. Później podała go Letycji.

– Cały ty – powiedziała szeptem, patrząc na męża. Karol przyklęknął obok łóżka i położył dłoń na głowie syna.

– Witaj w domu, maluchu – powiedział cicho. – Poznaj swoją matkę, która jest najlepszym człowiekiem na ziemi. I ojca, który przestał się już bać, bo ty przyszedłeś na świat. – A potem w mieszkaniu zapadła cisza. Nie z wyczerpania, ale z podniosłości tej chwili. Ponieważ tego poranka w Warszawie, przy ulicy Szpitalnej, w mieście podnoszącym się z ruin, urodził się ktoś, kto nigdy nie miał poznać wojny. Tak wtedy myśleli jego rodzice.

Rozdział VI

Warszawa

czasy obecne

– To znaczy, że... później już kochałaś Huberta, a nie dziadka? Ciągle o nim wspominasz, nawet w czasie, gdy dziadek był już twoim mężem. – Wnuk Letycji wydawał się nieco zdezorientowany i wstrząśnięty tą opowieścią.

– Nie, bo ja nigdy nie przestałam kochać Karola. Tylko że kiedy pokochałam Huberta, zresztą z wzajemnością, poczułam spokój, odnalazłam bezpieczną przystań.

– Mimo wszystko, babciu, okłamałaś mnie. Mówiłaś, że to dziadek był twoją jedyną i prawdziwą miłością. A to nie jest prawda. Dziadek był pierwszą, ale to Hubert był prawdziwą...

– Życie nie jest czarno-białe. Nie umiem ci jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Wiem, że wolałbyś usłyszeć, że kochałam tylko dziadka, że to zawsze był on. Ale jak widzisz, to nie ode mnie zależało, że nie było go tyle lat, że pokochałam po drodze innego dobrego człowieka. Prawdą jest, że Hubert był moją prawdziwą miłością, ale kto powiedział, że prawdziwa miłość może być tylko jedna? Widzisz, los mnie nie oszczędzał, moi rodzice zostali zamordowani. Mamę rozstrzelali tu, w Warszawie. Tatę

gdzieś wywieźli i nigdy nie wrócił. Do tej pory nie wiem, gdzie są ich mogiły. Później straciłam Karola i choć los mi go oddał, straciłam Huberta. A potem i twoich rodziców, gdy zginęli w Kosowie. Mój syn miał nigdy nie zaznać wojny! – Te słowa wypowiedziała, cedząc je przez zęby dobitnie i boleśnie. – Nigdy! Ale ta wojna była moim przekleństwem. Sam chciał zostać żołnierzem, sam zgłosił się na misję w takim wieku, że już mógłby iść na emeryturę, a ja straciłam wtedy synka i jego żonę. – Zapadło milczenie. Hubertowi zrobiło się wstyd, że w jego słowach pobrzmiewała pretensja do babci. Przeprosił ją, ale Letycja się nie gniewała. Dobrze wiedziała, że ta miłość, dzielona między dwóch mężczyzn, zawsze jej towarzyszyła. I choć Letycja pozostała każdemu z nich wierna, nie mogła stłumić w sobie uczucia, które nakazywało jej kochać.

– Nigdy więcej nie spotkała pani Huberta? – spytała Greta.

– Nigdy. Choć czasami odnosiłam wrażenie, idąc ulicą pełną ludzi, że ktoś na mnie zerka z zaciekawieniem. Że to on gdzieś w tłumie szuka mnie wzrokiem. Ale nie wiem, czy to była prawda, czy tylko moje... płonne nadzieje. Chciałam, żeby był szczęśliwy. Ale czułam żal, bo gdyby nie zadecydował za mnie...

– ...nie wybrałaby pani Karola?

Letycja nie odpowiedziała od razu. Chyba przeraziła ją odpowiedź, którą w sobie nosiła, ale chciała pozostać ze sobą szczera, jak zawsze. Dlatego przyjęła ją, ale nie odpowiedziała Grecie na pytanie.

– Teraz masz już prawie pełny obraz mojego życia. Pamiętnik jest prawie gotowy, musisz go tylko uzupełnić o te najważniejsze elementy i... zrób to sama. To będzie dla mnie

niespodzianka, gdy będę to czytać. A tu… – wskazała szufladę, której dotąd nigdy nie otwierała przy Grecie i Hubercie – są listy, które pisał Karol z Palestyny. Możesz je wykorzystać, jeśli chcesz. Na początku chciałam, żeby była to opowieść tylko o niemieckim obozie Auschwitz-Birkenau. O śmierci i o przetrwaniu. Ale byłaby to opowieść niepełna. Bo to, co pozwoliło mi przeżyć, to miłość. To Karol i Hubert. Celina i Anna, a potem… moja ciotka Antonina. Ale o niej opowiem ci innego dnia.

– Z przyjemnością posłucham, pani Letycjo…

* * *

Greta po zakończeniu pisania pamiętnika znalazła trochę więcej czasu, by odwiedzać swoją leśną polanę. Siedziała na łące i obserwowała konia, który z każdym dniem zdawał się podchodzić do niej coraz bliżej. Nie robiła nic poza tym, że była. Starsza pani wielokrotnie mówiła jej, że czasami samo bycie to znacznie więcej niż rozmowy, działania i decyzje.

Letycja korzystała z rehabilitacji, na którą woził ją wnuk. Spędzał z nią więcej czasu, z czego oboje zdawali się zadowoleni. Pojawienie się Grety w ich życiu wiele zmieniło: Hubertowi przypomniało o obecności, Letycji o świecie innym niż tylko dom. Starsza pani z każdym dniem miała coraz więcej siły, by stanąć na własne nogi, i zdarzało się, że sama robiła herbatę dla Huberta, Grety i dla siebie. Kosztowało ją to jednak wiele siły, i fizycznej, i psychicznej.

– Długo zastanawiałam się, czy w ogóle warto – powiedziała tego ranka. – Tyle lat jeździłam na wózku i tyle życia mi uciekło. Zapomniałam już, jak to jest stać na

własnych nogach. Ale to moja głowa o tym zapomniała, nie ciało. – Hubert kiwnął tylko głową. Był dziś nieswój.

– Babciu, bardzo się cieszę, że tak niespodziewanie to wszystko się zmieniło...

– Na stare lata – przerwała mu. – Chyba po to, żebym do trumny sama weszła – zaśmiała się gorzko.

– Przestań. Przeżyjesz nas wszystkich. Muszę jednak przyznać, że jestem z ciebie dumny. To bardzo trudne podźwignąć się na nogi...

– Tak. Tym bardziej że tu chodzi nie tylko o nogi, a o głowę. Myślę, że przez te wszystkie lata zmurszałam emocjonalnie. Zastygłam w tym mieszkaniu, straciłam wszelką nadzieję, że cokolwiek może mnie jeszcze spotkać. Zaczęłam więc żyć życiem ludzi, których widziałam na ulicy...

Przerwali rozmowę, ponieważ dojechali do ośrodka rehabilitacyjnego pod Warszawą.

– Nie musisz niczego udowadniać światu. Masz prawo zrobić to w swoim tempie, pamiętaj, babciu.

– Najbardziej chcę coś udowodnić sobie. Może myśli się, gdy jest się młodym, że taka stara kobieta jak ja nie ma już marzeń. Ale ja jeszcze mam marzenia, jeszcze jest we mnie życie...

– Dzień dobry! – zawołał Paweł.

Rehabilitant był profesjonalistą. Hubert wybrał babci najlepszego w okolicy. Nigdy jej tego nie powiedział, bo nie chciał, aby czuła jakąkolwiek presję, ale bardzo mu zależało, aby na tę prelekcję weszła samodzielnie. Nie po to, aby

pokazać komukolwiek, że chodzi. Tylko dlatego, że to właśnie było jedno z jej marzeń.

– Dzień dobry, Pawełku! Dzisiaj stara Letycja jest gotowa na hardcorowe ćwiczenia. Greta karmi mnie warzywami i mięsem, chyba nawet już przytyłam – roześmiała się. Miała w sobie dużo więcej witalności i sił, podczas gdy jeszcze kilka tygodni temu wyglądało to zupełnie inaczej.

W trakcie rehabilitacji stawała przy barierce, a Hubert trzymał ją za rękę. Jej ramiona drżały, nogi uginały się po kilku krokach. Mówiła, że nie da rady, jej twarz wykrzywiała się ze zmęczenia. Nie poddawała się jednak. Czuła, że mięśnie są słabe, lecz doskonale też zdawała sobie sprawę z tego, że wszystko w życiu można naprawić, że można osiągnąć sukces, jeśli tylko jest pragnienie, a później wykona się pierwszy ruch. Determinacji akurat jej nie brakowało. Minął czas, a Letycja znów była kobietą, która powoli chodziła o własnych siłach.

– Odzyskałam swoje życie. To takie symboliczne – mówiła do Huberta, gdy wracali do domu. – Ale ty ostatnio jesteś jakiś milczący. Powiedz, co się dzieje.

– Nic takiego, babciu.

– No przecież widzę, starej kobiety nie oszukasz.

– Problemy w pracy – skwitował.

– Jakie problemy? – dociekała.

– Ech... babciu. Po co mam cię martwić rzeczami, na które nie mamy wpływu?

– Masz rację, nie wszystko da się zmienić. Ale pomyśl chwilkę... Czy to, że nie mamy wpływu na wiatr, znaczy, że

powinniśmy się mu poddać i pozwolić się porwać? Czasami wystarczy dobrze ustawić żagle i płynąć z wiatrem. Przeczekać burzę. A rozmowa pomaga. Może razem coś wymyślimy.

– Okradli mnie. – Hubert był konkretny i skupiony.

– Okradli cię? A mówią, że to my na starość głupiejemy i dajemy się nabrać na metodę na wnuczka – zakpiła.

– Nabijasz się, babciu? Przecież sama prosiłaś, żebym ci powiedział. Nie pomagasz. – Chciał brzmieć zabawnie w tej tragicznej dla siebie sytuacji, ale mu nie wyszło. – Straciłem w firmie prawie wszystko.

– Wiesz, Hubercie, nie wiem, co tam się stało w tej twojej firmie, nie znam się na korporacjach, ale wiem jedno. Mogłabym ci dać dwa razy tyle, ile straciłeś, oddam ci mój dom i nawet wszystkie moje pieniądze, tylko wróć życie matce Grety. Potrafisz?

Hubert spojrzał w ożywione oczy babki. Były pełne ognia i pasji. Miała tego więcej niż jej wnuk. Wyglądał teraz, jakby w kółko analizował słowa wypowiedziane przez Letycję, i zrobiło mu się wstyd. Nic, co materialne, nie będzie warte więcej niż człowiek, życie i chwile, które można wspólnie przeżyć. Dla Grety minuta rozmowy z matką byłaby teraz warta wszystkich pieniędzy świata.

– Pewnie nająłeś już sztab prawników...?

– Tak. Ale czasami systemu nie da się naprawić, chociaż traktuje kogoś niesprawiedliwie.

– Rozumiem. Mam jakieś dziwne przeczucie, że wszystko się dobrze skończy, więc pozwól, że powiem coś na inny temat. – Letycja była dumna, że tak łatwo udało się jej

zmienić kierunek rozmowy, bo już dawno chciała z wnukiem pomówić o Grecie. – Pamiętaj, Greta, jeśli się z nią spotkasz... ona zmieni twoje życie. – Letycja pogroziła mu palcem. – Przyjdzie jak burza, ale przed nią poczujesz petrichor.

– Co poczuję?

– Wygoogluj sobie! I lepiej to zrób, bo ona go bardzo lubi – roześmiała się starsza kobieta. – No więc ona wejdzie w twoje życie, a przeszła piekło, uwierz mi, i pokaże ci, czym jest prawdziwa miłość, czym jest bezpieczeństwo i zaufanie. To dziewczyna niezdolna do wyrządzenia krzywdy, osoba, która wie, czym jest śmierć, wie, czym jest strata i ból. Ona uważa, że nie ma drugich szans. A mimo to ma tyle do zaoferowania. Bystry umysł, lojalność, uczciwość i tę cholerną miłość, o której tak wszyscy pompatycznie krzyczą. Ona da ci ją w skrytości, ale za to jak szczera to będzie miłość! Ach! Wiem, ty też swoje przeszedłeś. Ale lepiej przeżyć żałobę i zamknąć ten rozdział, niż tak jak ona rozgrzebywać ten żal, ponieważ ciągle czuje, że jej własny ojciec ją rani. I nie mówię tu tylko o żałobie po śmierci matki. Nie... to była i nadal jeszcze jest żałoba po jej życiu. Ona dopiero odradza się na nowo. Stoi przed ważnymi wyborami, zaczyna żyć, oddychać...

– Chcę ją poznawać, babciu. Wierz mi, nie chcę jej skrzywdzić...

– Wiem. I dlatego pamiętaj... Tu nie chodzi już tylko o miłość, ale też o możliwość stworzenia czegoś pięknego, stabilnego i trwałego z drugą osobą. Ona jest takim typem człowieka, którego nie spotyka się drugi raz w całym swoim życiu. Ja to wiem. Zazdroszczę ci, że teraz ty będziesz to odkrywał. Ale jak to pisała Szymborska: „Nic dwa razy się nie zdarza". Ja miałam już swój czas na odkrywanie Grety i jej

piękna, zmieniła mnie, podniosła. Teraz kolej na ciebie. Tylko w tym odkrywaniu jej nie pozwól jej upaść, a już na pewno nie spraw nigdy, że upadnie przez ciebie. Dlatego daj jej trzy razy więcej piękna, które masz w sobie, niż ona da z siebie. Bo Greta, wnuku, zasługuje na to, co najlepsze.

Gdy dojechali do mieszkania przy Szpitalnej, a Letycja została już sama w swoim mieszkaniu, od razu chwyciła za telefon. Na samą myśl o rozmowie z Gretą poczuła narastającą radość. Nie chciała być żadną swatką, samo jakoś to jej wychodziło. Nie mogła nikogo przecież zmusić do miłości, ale mogła jednemu i drugiemu przemówić do rozumu. Czasami brakuje tej jednej iskry, która rozpali ogień. Letycja chyba właśnie sobie wyobrażała, że jest taką iskrą.

– Halo? Greta?

– Tak, pani Letycjo, nie musi pani tak krzyczeć, ja panią naprawdę dobrze słyszę – powiedziała po cichu dziewczyna. – Siedzę na polanie, koń tu jest... I jest piękny. Dziś podszedł bliżej niż zazwyczaj...

– Słuchaj, Greta, koń koniem, ale ty, dziecko, przyjedź do mnie natychmiast.

– Ale czy coś się stało?

– Przyjedź już najlepiej.

Po niecałej godzinie Greta wbiegła do salonu, w którym Letycja, stojąc na własnych nogach, układała książki w witrynce. Na jej widok uśmiechnęła się szeroko.

– Herbatki?

– Na miłość boską! Herbatki... Myślałam, że coś się stało. Pędziłam tak, że radar na pewno zrobił mi zdjęcie i wystawią

mi mandat, na sto procent! – powiedziała Greta z wyrzutem i złapała się za serce, nadal próbując złapać oddech. Usiadła na fotelu i z dumą przyglądała się, jak Letycja doskonale radzi sobie z chodzeniem. – Zatem herbatki. Ja zrobię, a pani niech mi wreszcie powie, po co miałam przyjechać.

Siedziały w fotelach i delektując się kardamonowym naparem, rozmawiały o pamiętniku. Letycja go wreszcie przeczytała. Była zadowolona z efektu i wzruszona tym, jak pięknie Greta ujęła jej myśli i uczucia w słowa. Wreszcie znalazła odpowiedni moment i zaczęła mówić to, co chciała przekazać dziewczynie od samego początku, gdy ta tutaj przyjechała.

– Nic nie jest nam dane na zawsze. To wszystko, co może zmieścić się w garści albo w walizce, wcześniej czy później się skruszy, spopieli, zniknie. Ludzie przecież też rodzą się i umierają, znikają, wchłania ich ziemia. Nie ma innej drogi z tego świata. A życie... jest tak kruche i krótkie, że doprawdy szkoda stać w miejscu i czekać na to, że kiedyś będziemy szczęśliwi, że kiedyś odpoczniemy i że kiedyś będziemy kochać. – Spojrzała znacząco na Gretę. Ta jednak wydawała się nie rozumieć. – Życie ma być pasją, a jeśli nią nie jest, należy zrobić krok naprzód wbrew sobie i temu, co dyktują nowoczesne, tak płytkie, zasady świata. Być poza nimi to znaczy być tu i teraz. Może to przekorne, ale jeśli się ze mną nie zgadzasz, najwidoczniej szukasz wymówek. To też świadczy o tym, że życie wciąż nie uwiera cię tak mocno, byś wykonała jakiś ruch. Widzę jednak, że nadal nie ma szczęścia w twoich oczach. Jest go więcej, niż gdy się poznałyśmy, ale to dalej nie to... Dlatego powiem tak: zrób to już dziś. Jeden ryzykowny krok, załóż buty, nawet jeśli są niewygodne,

nawet jeśli się boisz iść i nawet jeśli uważasz, że to jeszcze nie czas. A ja ci mówię: to najwłaściwszy czas. Lepszego nie będzie. Może za kilka dni jeszcze tego nie zobaczysz, ale za miesiąc, za rok powiesz, że miałam rację, i zdziwisz się, że nie zrobiłaś tego wcześniej. Życie ma być pełne pasji, jeśli jej nie ma, po prostu zrób ten cholerny krok, Greto.

Greta patrzyła ze zdziwieniem na Letycję. I wtedy starsza kobieta pomyślała, że ostatnio ludzie coś często patrzą na nią ze zdziwieniem.

– A wracając do twojego ojca...

– O nie! Tylko nie temat mojego ojca, błagam. – Greta podniosła się z fotela i odstawiła kubek z herbatą na stół.

– Poczekaj... posłuchaj mnie. Mam taką propozycję. Wiem, wiem, zabrzmi jak wywód psychologiczny, ale jest w tym wiele prawdy. Zrób to, co i ja zrobiłam dla siebie, gdy skończyła się wojna, gdy czekałam na Karola bez skutku, gdy pojawił się Hubert, a potem odszedł i nagle pojawił się Karol... Po tym wszystkim byłam bardzo zagubiona i... niekoniecznie szczęśliwa. Wiesz, co zrobiłam?

– Co takiego, pani Letycjo? – zapytała machinalnie Greta.

– Wyobraziłam sobie siebie siedzącą w pijalni Wedla z moim tatą. Taką małą, która nie dosięgała jeszcze nogami do podłogi, kiedy siedziała na krześle. I pokochałam tę małą dziewczynkę. – Greta spuściła wzrok. – Ukochaj siebie jako małą istotkę, przytul w sobie kobietę, za którą tęsknisz. Gdy to zrobisz, będziesz już gotowa na wszystko. Wiele przeszłaś, oj, wiele. Ja wiem. Ale jesteś już u szczytu tej góry. Wystarczy zrobić jeszcze kilka kroków, nie poddawaj się. To będzie jak

odrodzenie, Greto. – Letycja tak dobrze wiedziała, co czuje Greta. Ona też kiedyś czuła to samo.

– Nie wiem, czy mam aż tyle siły, pani Letycjo.

– Posłuchaj. Coś ci jeszcze opowiem...

Dolny Śląsk

lata 50.

Dolny Śląsk pachniał wilgocią i igliwiem. Góry Stołowe może nie miały monumentalności Tatr, ale niosły ze sobą coś równie potężnego – spokój. Taki, który przychodzi po długim hałasie.

Letycja i Karol przyjechali tu wczesną jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku na zaproszenie ciotki Antoniny – młodszej siostry ojca, kobiety z postawą wyprostowaną jak na wojskowy rozkaz i spojrzeniem, które znało cenę przetrwania. To samo spojrzenie jednak stawało się czułe, gdy tylko patrzyła na małego Huberta. Wtedy stawała się kochaną ciocią, która dla rodziny jest w stanie poświęcić wiele.

Antonina po wojnie osiadła w Sudetach, w jednej z tych poniemieckich wsi, gdzie czas zdawał się płynąć inaczej. Gospodarstwo, które zajęła, należało kiedyś do pruskiego majora. Teraz ślady tamtego życia wciąż były widoczne – żeliwne ogrodzenie, wybrukowany podjazd, dachówka sprowadzana z Saksonii. Dom był przestronny, solidny, z dużymi oknami i ozdobną stolarką, którą Antonina kazała odnowić. Ściany w środku zdobiły obrazy koni i polowań.

Letycja nie spodziewała się aż takiego dostatku. Wiedziała, że ojciec miał siostrę, ale nie zdawała sobie sprawy, jaka jest majętna. Po wojnie też długo nie mogły się odnaleźć. Dopiero gdy Letycja wróciła do Warszawy i zaczęła pracować na poczcie, ciotka napisała list. Znalazła ją przez Polski Czerwony Krzyż i dzięki tej korespondencji Letycja odzyskała namiastkę rodziny. Później ciocia przyjechała na ich ślub.

Teraz Letycja rozglądała się dyskretnie po rozświetlonym salonie, gdzie dębowe meble wyglądały, jakby nigdy nie dotknęła ich wojna. Patrzyła nie z zazdrością, raczej z podziwem, że cioci udało się odbudować życie na nowo tu, w Sudetach, i sprawić, że czuła się szczęśliwa.

– To wszystko – zaczęła ciotka, jakby czytała jej myśli – jest moje. Ale nie było łatwo. Po wojnie, jak wiesz, każdy zaczynał od zera. Ja po prostu wiedziałam, gdzie iść. A może los mnie tu zesłał, bo wymodliłam sobie ten święty spokój. – Uśmiechnęła się pod nosem.

– Cieszę się, ciociu, że twoje życie ułożyło się w taki sposób. – Słowa Letycji były szczere. Ciotka przypominała jej o rodzicach, o domu, poniekąd o tym, co straciła, ale sama jej obecność w życiu młodych była czymś, co dawało radość. Ciocia brała na ręce małego Huberta i opowiadała mu historie o koniach, gdy przechodzili obok obrazów zawieszonych w korytarzu.

Karol miał pracować w stajni z wujkiem Pawłem, który stąd pochodził. Przed wojną prowadził młyn i własne gospodarstwo. Później, gdy wrócił z oflagu, jako repatriant dostał przydział ziemi, zajął się porzuconym przez Niemców majątkiem. I tak poznał ciocię... Miał smykałkę do biznesu, potrafił zorganizować transport, zdobyć pozwolenia, dogadać

się z lokalną administracją. W nowej rzeczywistości nie afiszował się z przeszłością, ale miał wiedzę i odwagę, które pomagały mu utrzymać wysoki poziom życia dla siebie i swojej żony. Niestety chorował i ciotka martwiła się, co zrobi, gdy jego zabraknie... Gdy Letycja chciała wesprzeć ją słowem i pozwolić jej się wygadać, ciotka robiła uniki i zgrywała twardą. Nie lubiła okazywać emocji. Ale nocami, gdy wszyscy już spali, siedziały we dwie przy koniach w stajni i popijając gorącą herbatę z malinami, rozmawiały o tym wszystkim, o czym mogłyby rozmawiać przyjaciółki. Stęskniona za nieżyjącą matką córka. Pragnąca zwykłej rozmowy pełnej zrozumienia dojrzała kobieta. Antonina chciała opowiedzieć bratanicy o jej ojcu, jakim był dzieckiem, o tym, jak poznał się z jej matką. O ich ślubie i marzeniach o potomstwie. O tym, że gdy urodziła się ich córeczka, skakał z radości i szukał dla niej najpiękniejszego imienia, by świat ją zauważył i nigdy o niej nie zapomniał. Ta mała dziewczynka niewiele płakała, za to ciągle się uśmiechała. Dlatego dostała imię, które miało znaczyć „pogoda ducha" – Letycja.

Obie dobrze znały tę historię z przeszłości. Pamiętały o pięknym rodzinnym folwarku dziadka Letycji, który odziedziczył jej ojciec, a potem to wszystko zabrali Niemcy. Po wojnie nie było już do czego wracać. Antonina jednak – jako jedyna z rodzeństwa – przetrwała i podjęła decyzję, by powrócić do koni. Gdy przyszła wojna, była nastolatką. Później, już jako dorosła kobieta, z pomocą Pawła stworzyła gospodarstwo niemal od zera. Między innymi dzięki temu ludzie ją szanowali, nawet jeśli jej nie znali. Budziła respekt, dla bliskich była aniołem.

Rankiem, nim jeszcze wzeszło słońce, Letycja wstała po cichutku i wyszła przed dom. Poprzedniego dnia, zmęczona podróżą, nawet nie zdążyła spojrzeć na urokliwe otoczenie – budynek był położony na skraju łąki i lasu. W oddali rozpościerał się piękny widok na Szczeliniec Wielki. Mgły unosiły się nad ziemią, jakby jeszcze chciały utulić świat do snu, jeszcze go nie budzić. Spowijały też Szczeliniec Wielki, osnuwając jego skalne szczeliny, w których tliło się życie – paprocie i mchy przyczepiały się do wilgotnych ścian, a drobne rośliny wysuwały zielone listki w poszukiwaniu światła. Z dołu góra wyglądała jak tajemniczy, szary olbrzym, a mgła zdawała się szeptać historię miejsc, w których natura zawsze znajduje sposób, by przetrwać. Pierwsze promienie słońca zaczynały dopiero przedzierać się przez zamglenie. Ta gra światła była kojąca i miała w sobie miękkość, która pozwalała Letycji poczuć głęboki spokój w duszy. Zamknęła oczy i wzięła oddech. Pachniało rosą. Szła boso po mokrej trawie, co rusz oglądając się za siebie i dookoła. Świat Sudetów był cudowny. Nic dziwnego, że ciotka pokochała to miejsce.

Nagle poczuła ukłucie w duszy. Stała tu – w miejscu, o którym rozmawiali z Hubertem. Spełniała ich wspólne marzenie. Ale nie z nim, tylko z Karolem. Jednocześnie poczuła wyrzuty sumienia, że myśl o nim mimowolnie do niej powróciła. Z tych wspomnień wyrwał ją tętent kopyt poprzedzony odległym skrzypieniem bramy stajni. W tej niezmąconej ciszy, w której tylko śpiew budzących się do życia ptaków rozbrzmiewał coraz śmielej, każdy inny dźwięk wydawał się zbyt głośny. Wujek Paweł musiał wstać i wypuścić konie – pomyślała. Ucieszyło ją, że wreszcie

zobaczy je na pastwisku, ponieważ wymarzyła sobie, że i ona kiedyś będzie mieć konie. Obróciła się w stronę domu.

Wtedy we mgle coś zaczęło się zmieniać. Najpierw pojawił się jeden cień, ciemniejszy od mgły, ale jeszcze bezkształtny. Potem drugi po jego prawej stronie. Mgła zaczęła się lekko rozrzedzać, jakby przecinana cichym wiatrem, który niósł z sobą zapach siana i ziemi. I wtedy je zobaczyła. Dwa piękne czarne ogiery. Szły powoli, ich kopyta miękko, ledwie słyszalnie uderzały o wilgotną trawę, a ich sylwetki wyłaniały się z bieli jak duchy z dawnych czasów. Najpierw łby, potem szyje i grzbiety. Każdy z nich był jak posąg w ruchu: potężny, cichy, majestatyczny. Ich uszy czujnie poruszały się w kierunku dźwięków, których człowiek nie słyszał. Westchnęła. To było uderzające piękno. Podeszła do nich, by dotknąć ich wilgotnej sierści, i wtedy zrozumiała, że tętent kopyt nie należał do tych dwóch ogierów. Z drugiej strony wyłonił się jeszcze jeden koń. Kremowa sierść i brązowe plamki sprawiały, że klacz wyglądała tak jasno i łagodnie. Miała jednak w sobie też coś dzikiego i surowego, co kryło się w jej oczach. Jej grzywa poruszała się miękko przy każdym kroku. Na tle otaczającej bieli i ciszy wyglądała niemal nierealnie.

– Jesteś piękna... – wyszeptała Letycja.

– Jest twoja – usłyszała głos ciotki, która właśnie wyszła na łąkę za Letycją.

– Jak to moja? – Dobrze rozumiała znaczenie tych słów, a mimo to zupełnie do niej nie docierały.

– Rozmawiałyśmy w Warszawie, że w przyszłości chcesz mieć swoją stadninę. A my z Pawłem dajemy ci teraz

pierwszego konia. Niech niesie ci szczęście i będzie początkiem twoich marzeń. Jest twój.

Dziewczyna rzuciła się ciotce na szyję, mając świadomość, że zachowała się jak dziecko. Zrobiła to pierwszy raz od wielu, wielu lat. Ostatnio tak nieokiełznana ze szczęścia była jeszcze przed wojną. Przez chwilę pomyślała, że to do niej niepodobne, ale może było wręcz przeciwnie – to właśnie była ona: nieco dziecinna, radosna i spontaniczna, tylko życie jej na to nie pozwalało. Tego poranka coś się w niej odrodziło i Letycja zrozumiała, że już nie chce być poważna i stonowana. Chce tak po prostu cieszyć się życiem.

– Jak ją nazwiesz? – spytała ciotka.

– Dionizja – odpowiedziała bez zastanowienia. – Nosiłam w sobie to imię od lat[20].

* * *

Jazda konna sprawiała Letycji ogromną radość. Znów czuła się jak mała dziewczynka, która wcale nie doświadczyła wojny. Pokochała siebie na nowo i pokochała też to uczucie lekkości ducha. Dionizja niosła ją miękko, jakby znała każdą nierówność ścieżki, każdą zroszoną paproć przy skraju drzew. Klacz poruszała się z gracją i ze spokojem, jednocześnie reagowała na najdrobniejszy ruch ciała Letycji – jedno muśnięcie łydki, jeden cichy szmer głosu wystarczały, by zmieniła tempo lub skręciła.

Letycja wyruszała na przejażdżki każdego dnia o wschodzie, gdy mały Hubert jeszcze spał. Słońce przeciskało się wtedy przez liście, malując ich cienie na sierści Dionizji. Letycja czuła pod sobą jej ciepło, puls mięśni,

rytm serca. Oddychała głęboko, jakby chciała wchłonąć cały ten świat: wilgoć mchów, zapach dzikiej mięty, trzepot skrzydeł ptaków nad głową. Las był spokojny i milcząco akceptował ich obecność. To tutaj, w Sudetach, znów była sobą – nie kobietą z ranami, lecz dziewczynką, której nie rozsypał się świat. Dionizja, jakby czując ten stan, podniosła łeb. Jej uszy drgnęły lekko. Była spokojna tylko przy swojej pani. Nikomu innemu nie dawała się tak prowadzić, z nikim innym nie stawała w miejscu tylko po to, by wspólnie popatrzeć w głąb lasu. Letycja często powtarzała, że koń rozumie ją lepiej niż wielu ludzi. Ciotka zaś, że jej bratanica ma dar po ojcu. Dar zaklinania koni. Dziewczyna jednak nie nazywała tego darem. To było porozumienie z czymś pierwotnym, niesłyszalnym jak język modlitwy zwierząt. Dionizja rozumiała ją bez wodzy, bez głosu, bez gestu. Reagowała na nią tak, jak reaguje źdźbło trawy na powiew. Naturalnie i bez oporu.

* * *

Karol, choć nie kochał gór i koni tak jak ona, kochał Letycję. I to wystarczało, by spełniać jej marzenia.

– Ciocia mówiła, że to niezwykłe, jak polubiłyście się z klaczą – powiedział, gdy wybrali się razem w góry: on, Letycja i Dionizja.

– Nie mów o niej „klacz”. To takie… zwierzęce. – Spojrzała na niego z wyrzutem.

– No bo to jest zwierzę. – Nie widział w swojej wypowiedzi niczego zaskakującego ani dziwnego. – Po prostu nazywam rzeczy po imieniu.

– Powiedzmy… – Nie chciała tego komentować. Siedząc na Dionizji, pogłaskała ją po grzbiecie. Klacz cicho prychnęła, jakby doskonale wiedziała, co powiedział Karol, i poczuła oburzenie. – Dla mnie zwierzę jest jak rodzina. – Teraz Karol tego nie skomentował.

Udali się szlakiem z Pasterki w stronę Szczelińca Wielkiego i weszli stromizną na Narożnik. Letycja stała tuż obok Dionizji na skale, patrząc na niecodzienny widok zachodu słońca.

– Nie ruszaj się – poprosił. Aparatem, który pożyczyli od cioci, zrobił jej zdjęcie z widokiem na Szczeliniec. – Wyjdzie pięknie – powiedział zadowolony.

– Nie chcę wracać do Warszawy, Karol.

Spojrzał na nią zaskoczony. Powiedziała to tak nagle. Nigdy nie myślał o tym, że mogliby mieszkać w innym miejscu niż ich miasto. Tak jak nie spodziewał się, że tygodniowe wakacje potrwają niemal miesiąc. Trzeba już było wracać do pracy.

– Jak chciałabyś to zrobić? Przecież tam mamy mieszkanie i pracę. – Chyba pierwszy raz mieli tak odmienny pogląd na dalsze życie.

Dopiero w Sudetach Karol po raz pierwszy dostrzegł też, jak bardzo się od siebie różnili. Zobaczył to teraz, ponieważ do tej pory jego żona tkwiła jakby w powojennym letargu. Letycja przez wszystkie poprzednie lata żyła wyłącznie miłością i oczekiwaniem. Myślała, że do szczęścia potrzeba jej tylko drugiego człowieka obok: mężczyzny. Tutaj zrozumiała, że szczęście nosi się też w sobie. Cieszyła się z rodziny, jaką tworzyli, i chociaż tego pragnęła, odkryła, że jej równie wielkim marzeniem jest życie poza miastem i swoja stadnina.

– Ciocia zaproponowała, żebyśmy zostali.

– A co z pracą? – Spuścił wzrok i przewiesił aparat fotograficzny przez ramię.

– Powiedziała, że gdybyśmy zostali i pomogli jej przy gospodarstwie, przepisałaby nam kiedyś to wszystko. Wujek zatrudnia wielu pracowników, zatrudniłby i ciebie. Ja mogłabym zająć się Hubertem, pomogłabym cioci. I to chyba jest życie, jakiego zawsze pragnęłam. – Spojrzała w stronę horyzontu. Czuła to miejsce. Chciała do niego należeć. Wolność i spokój płynące z gór były tym, co koiło jej duszę.

– Letycjo, nie spodziewałem się, że będziesz chciała takiego życia. Nie wiem, czy jestem na nie gotowy. Rozumiem, że kochasz Dionizję i to miejsce, ale to trochę brzmi jak fanaberia. Działasz pod wpływem chwili i emocji...

– Nie masz pojęcia, pod wpływem czego działam – przerwała mu. – Czy ty w ogóle wiesz, czego ja tak naprawdę pragnę?

– Myślałem, że wiem. Chyba że przez te wszystkie lata udawałaś kogoś, kim nie jesteś. – Posmutniał, chociaż w jego głosie pobrzmiewała też złość, którą starał się poskromić.

– Nie. Ja zawsze byłam sobą, tylko przy tym byłam zbyt poprawna, ponieważ tego ode mnie oczekiwał świat. Teraz wreszcie jestem naprawdę sobą. I jako staruszka też taka będę.

– Jaka?

– Spontaniczna. Nieokiełznana.

– To brzmi, jakbyś zachowywała się dziecinnie. A przecież jesteś odpowiedzialną dorosłą kobietą.

– A może wcale nie? Może jestem odpowiedzialną spontaniczną dziewczyną, która wreszcie zrozumiała, że nie musi robić wszystkiego pod dyktando oczekiwań?! – wykrzyczała.

Dionizja stuknęła kopytem, czuła jej emocje.

– Przecież niczego od ciebie nie oczekiwałem, nigdy. To niesprawiedliwe, co mówisz. – Spojrzał z wyrzutem na żonę, po czym odwrócił się w drugą stronę i zszedł na dół stromym zboczem. Do domu ciotki. Letycja weszła na grzbiet Dionizji i galopem oddaliła się w przeciwnym kierunku. Po jej policzkach płynęły łzy. Tak bardzo wiedziała, czego chce od życia. Wreszcie. I wreszcie mogła o nim zdecydować. Nie spodziewała się, że Karol nie będzie chciał tu zostać. Myślała... że to takie naturalne, że jej marzenie się spełni. Przecież tak miało być. Znowu ktoś inny nakreślił bieg zdarzeń jej życia. I wydarzyło się to poza nią.

Gdy odjeżdżali do Warszawy, ciotka była wzruszona. Na stacji kolejowej stała dorożka, którą przyjechali, a ciągnęła ją Dionizja. Letycja przytuliła twarz do jej ciepłego ciała. I zobaczyła, pierwszy raz, jak koń płacze. Nie wiedziała jeszcze, co zrobi. Dziś musiała stąd wyjechać, ale powzięła też ważną decyzję: od dziś, już to postanowiła, nie pozwoli na to, aby cokolwiek lub ktokolwiek decydował za nią o jej losie. Pocałowała klacz w piegowaty pysk i wsiadła do pociągu. Całą drogę do Warszawy nie odezwała się słowem do Karola. Z jednej strony go rozumiała, z drugiej – w ogóle.

Warszawa

– Opowiadam ci to wszystko, ponieważ jesteś moją przyjaciółką, Greto. A przyjaciele powinni znać swoje historie.

Słowa Letycji uderzyły Gretę tak, jakby jakaś pięść sprawiedliwości buchnęła ją w pierś. Przyznała w końcu przed sobą, że nie zawsze była szczera wobec starszej kobiety, podobnie zresztą jak nie była szczera wobec siebie. Wyznania Letycji chyba nakłoniły ją do rachunku sumienia.

– Dziękuję za te słowa... Muszę przyznać, że oszukuję sama siebie. Ciągle powtarzam, że zostałam taka zraniona, że ojciec nie był przy mnie, że Igor mnie źle potraktował i że ja już nie chcę miłości. Ale... – tu wstrzymała oddech i na chwilę zamknęła oczy... – to nie jest prawda. – Każde słowo podkreśliła krótką przerwą. – Ja bardzo chcę znów kochać i marzę o tym, aby ktoś pokochał mnie. Tylko boję się, że znowu dam z siebie to, co najlepsze, i to zostanie zdeptane.

– Nareszcie! Moje różańce w twojej intencji zaczynają przynosić efekt – zaśmiała się starsza kobieta. A Greta na samą myśl, że ktoś się za nią modlił, poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. – Posłuchaj mnie. Kiedyś pojawi się w twoim życiu taka osoba, która pozwoli ci zrozumieć, dlaczego nie wyszło z nikim innym i nigdy wcześniej. Wtedy poczujesz spokój, o którym kiedyś mówiłyśmy.

– Bardzo tego chcę...

– A teraz wybacz, muszę się przygotować na rehabilitację. Zaraz będzie po mnie Hubert.

Greta wzięła torebkę, nie chciała przeszkadzać.

– A dokąd się wybierasz? Masz jakieś plany? – zapytała Letycja.

– W sumie nie...

– To jedziesz dzisiaj z nami. Musisz zobaczyć, jak mnie tam ćwiczy pan rehabilitant. Przystojniak z niego... – Ostatnie zdanie powiedziała już ze swojego pokoju podczas szukania dresów do ćwiczeń. Greta tylko zaśmiała się pod nosem.

* * *

Gdy Letycja ćwiczyła mięśnie rąk i nóg, Greta z Hubertem czekali przed ośrodkiem na ławce. Hubert myślami błądził wokół swoich problemów z firmą. Dziewczyna nie zdawała sobie z nich sprawy, lecz widziała, że coś go trapi. Mylnie odczytała znaki.

– Nie bój się, nie przeforsuje się. Te ćwiczenia dobrze zrobiłyby każdej starszej osobie, która miałaby w sobie tyle życia i wigoru co twoja babcia.

– Co...? A tak... – Dopiero teraz wrócił myślami do Grety. – Wiem. – Westchnął. – Ciągle trudno mi uwierzyć, że straciła tyle lat, chociaż mogła chodzić. Przestała z dnia na dzień. Bez powodu, tak przynajmniej mi się wydawało. Teraz wiemy, że to efekt tych silnych emocji. Ale wtedy to było jak nielogiczny zbieg zdarzeń.

– Trauma może wywołać nawet chwilowy brak widzenia... – Hubert spojrzał na nią zaskoczony. – To się nazywa konwersja psychogenna. Rozmawiałam o tym z koleżanką ze studiów, która jest na psychologii. Czasem po dużej traumie ciało przestaje funkcjonować normalnie... jakby dusza

wyciągnęła bezpiecznik. Niektórzy tracą mowę, inni słuch. A u niej to było chodzenie.

– Jakby sama sobie odebrała nogi...?

– Dokładnie! Bo zgasło w niej coś w środku. Przez stratę. Przez poczucie, że za późno, że coś przegapiła, może zniszczyła. Ale wiesz, co jest najdziwniejsze?

Hubert spojrzał na nią pytająco.

– Nie masz wrażenia, że teraz jakby... wraca? Nie do ciała, tylko do siebie sprzed wielu lat. Czasem wydaje mi się, że widzę w niej tamtą dziewczynę z opowieści, gdy miała swoją Dionizję i była naprawdę szczęśliwa. Pomyśl o tym, kiedy się przełamała...

– Gdy zobaczyła twojego konia.

– Tak... – Grecie zrobiło się miło na słowa „twojego konia", choć przecież doskonale wiedziała, że ten półdziki koń wcale nie jest jej.

– Czasami zastanawiam się, czy ona nie kłamie.

– Z czym?

– Z tym, że kochała dziadka.

– Myślisz, że gdyby nie kochała, to przestałaby chodzić? Wylądowała przecież na wózku z powodu silnej traumy po jego śmierci.

– Masz chyba rację. – Przez chwilę się zastanawiał. – Ale nie uważasz, że to Huberta kochała bardziej?

– Czy to ma teraz znaczenie? Myślę, że kochała ich obu i nadal kocha. Postaw się w jej sytuacji. Los targał nią na różne strony, a ona próbowała utrzymać się na własnych nogach.

I wydaje mi się, że nie opowiedziała nam jeszcze całej swojej historii.

– Jakiej historii? – usłyszeli głos Letycji, która właśnie wyszła na własnych nogach z ośrodka, trzymając pod rękę przystojnego jej zdaniem Pawła.

– A takiej pewnej przemiłej pani, która jest bardzo dzielna i chodzi regularnie na ćwiczenia – zażartowała Greta.

Letycja uśmiechnęła się i złapała wnuka za dłoń.

– Mądra jest ta nasza Greta. I potrafi kokietować staruszkę. Ciebie też? – Spojrzała szelmowsko.

Hubert się zmieszał, a Greta popatrzyła zaczepnie na ich dwoje.

– Pani Letycjo! – zawołała. – Co też pani opowiada?

Hubert szedł do samochodu, prowadząc babcię, a Greta spoglądała na nich i przez chwilę poczuła się, jakby na nowo miała rodzinę.

* * *

– Korzystając z tego, że jesteśmy we troje, proponuję dziś wieczorem gdzieś się wybrać ... – powiedział pogodnie Hubert. Zdobył się na uśmiech i spojrzał zadziornie na babcię.

– Niby gdzie? – zapytała takim samym tonem, rzuciła mu identyczne spojrzenie i szybko dodała: – Dziś zaproszę was na czekoladę... – Uśmiechnęła się jak dziecko. Czekała na ten moment jak na ważne święto i pomyślała, że jest już gotowa. Dziś o własnych siłach przekroczy próg pijalni Wedla. Wszystko znów nabierało sensu, a ona z każdym dniem czuła, że żyje coraz bardziej.

Wieczorem wszyscy troje czuli podniosłą atmosferę.

– Gotowa? – zapytała Greta i spojrzała na Letycję. Kobieta jeszcze siedziała na wózku w swojej najładniejszej malinowej garsonce. Srebrne włosy upięła w delikatny kok. Na jej szyi wisiały drobne perełki, a na dłoni iskrzył się złoty pierścionek z malutkim rubinem.

Byli na ulicy Szpitalnej tuż przed pijalnią Wedla. Letycja rozejrzała się dookoła. Dzisiejszy świat tylko w niewielkim stopniu przypominał tę ulicę z jej lat młodości.

Wtedy na lewo od pijalni rozciągały się zniszczone lub wypalone kamienice, które nie zdążyły się jeszcze odrodzić po wojnie. Choć część z nich się ostała, wiele nadal nosiło ślady ostrzału, wiele też miało obdrapane tynki i powybijane szyby. Było szaro i pustawo. Ktoś z wolna szedł wydeptanymi ścieżkami do pracy lub kościoła. Smutna była to ulica i bardzo cicha. Zamiast sklepowych neonów dominowały szare fasady, a ulice były pełne dziur. Po mieście poruszały się pojedyncze samochody osobowe, ciężarówki i z rzadka już dorożki, a wszystkie jeździły po nierównym bruku. Na rogu Górskiego często można było zobaczyć kobietę sprzedającą papierosy z łubianki. Wiele pustostanów przypominało, że kiedyś toczyło się tu życie. I te pustki poniekąd dawały nadzieję, że kiedyś ono znów powróci. Każda pustka bowiem jest po to, by w jej miejsce pojawiło się coś nowego.

Gdy była tu ostatni raz na własnych nogach, jeszcze za życia Karola, w latach siedemdziesiątych, po ulicach jeździły syrenki, nyski i warszawy. Beżowe peerelowskie budynki nadal wyglądały smutno, ale nie ulica Szpitalna. Ta stała się jednym z głównych punktów handlowych i usługowych w Śródmieściu. Miejsce dla siebie znajdowali tam fryzjerzy,

zegarmistrzowie i nie brakowało tu sklepów z artykułami codziennego użytku. Zimą pachniało dymem i mokrym betonem. Latem kurzem i benzyną.

Dziś ta niegdyś spokojna i smętna ulica tętniła życiem. Klasyczne, stare samochody ustąpiły miejsca nowoczesnym markom, rowerzyści przecinali chodniki, elektryczne hulajnogi sunęły z młodymi ludźmi po ścieżkach. Pary trzymające się za rękę rozmawiały ze sobą, śmiejąc się głośno. Zewsząd docierały do niej rozmowy w różnych językach. Warszawa stała się europejska. Dla Letycji ta rzeczywistość – wcześniej tylko widziana z okna, teraz na wyciągnięcie ręki – była niemal nierealna. Nie umiała się w niej odnaleźć. Czuła się, jakby była zamknięta w kapsule czasu i nagle wyszła na zewnątrz do zupełnie innego świata. Znała go z ekranu telewizora i internetu. Ale to tak, jakby nie znała go w ogóle.

– Gotowa... – odpowiedziała i bez niczyjej pomocy uniosła się z wózka. Po chwili stała już na własnych nogach.

Jej twarz była pełna napięcia, wyrażała coś w rodzaju podenerwowania i jednocześnie ulgi. Starsza kobieta, choć nie wypowiedziała tych słów, to pomyślała, że to już drugi raz w jej życiu, jak wraca tu po długiej rozłące z ukochanym miejscem, i po raz drugi przekroczenie tego progu wiąże się z przekroczeniem jakichś granic w jej życiu. Przez ostatnie lata miała to na wyciągnięcie ręki, ale nie mogła tu dotrzeć. Jakaś niewidzialna siła trzymała ją w przeszłości. Dopiero dziś znów zrozumiała, że jeśli człowiek nie odetnie się od tego, co było i na co już nie ma wpływu, nie może pójść dalej.

Hubert uchylił drzwi do pijalni. Babcia dostojnym, powolnym krokiem podeszła do progu. Spojrzała na wnętrze

i w pamięci pojawiły się momenty z tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku. Stała dokładnie w tym samym miejscu z nadziejami i marzeniami. Teraz też tu była i nadal miała nadzieje, i nadal miała marzenia. Choć zupełnie inne niż wtedy. Życie mija – tak jak mawiają babki i matki – szybko i nim się obejrzysz, już masz na karku... dziesiąt lat. Dlatego właśnie należy cenić każdy dzień i chwytać go, jakby miał być tym ostatnim – pomyślała. Zrobiła krok do przodu, znowu. Znowu stała w pijalni Wedla.

Gdy usiedli przy jej stoliku, zachłannie rozejrzała się po wnętrzu. W nowoczesnych witrynach, które zaburzały jej wspomnienia, chwytała się tego, co znała. Sztukaterii na ścianach i sufitach, które częściowo zachowały się w oryginale, i luster. Te lustra i sztukaterie... one przetrwały jej młodość, okupację i odbudowę. Część parkietu w jodełkę była już nowa, ale stylizowana na przedwojenny wzór. Lady cukiernicze i szklane gabloty z ozdobnymi drewnianymi ramami nawiązywały do historycznych witryn sklepowych z lat czterdziestych. Bordowo-złote ściany przypominały jej o przedwojennym luksusie. Westchnęła.

Zamknęła oczy, pozwoliła sobie przez chwilę po prostu być tu i teraz, w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło i wszystko się skończyło. A kiedy je otworzyła, zobaczyła nie tylko wnętrze przedwojennej pijalni, ale i siebie – dawną Letycję pełną życia.

Złożyli zamówienie. Zarówno Greta, jak i Hubert przyglądali się Letycji z radością, bo dostrzegali, że właśnie tu starsza kobieta czuła się jak w domu. Nowoczesny charakter pijalni odbierał trochę Letycji to poczucie, ale ona i tak

odnalazła zapach tamtego wnętrza, widziała tamte meble i pamiętała tamtych ludzi...

– Pomyślałam, że na tej prelekcji to ty zaczniesz, Greto, opowiadać.

– Ja? – zdziwiła się. – Chciałam tylko panią zapowiedzieć.

– Nie... wolałabym, żebyś zaczęła mówić o tym, jak wiele zmienia się w człowieku przez ludzkie doświadczenia, bo historia to przecież człowiek i jego los. Jak sama powiedziałaś. A później ja opowiem o niemieckim obozie koncentracyjnym. – Przerwała na chwilę. – I muszę ci podziękować, dziecko. Twoje pojawienie się w moim życiu tamtego dnia wszystko zmieniło. W moim – poprawiła się i spojrzała na Huberta – w naszym życiu. Ja... wróciłam.

– I ja też, i to dzięki pani.

Letycja chwyciła dłoń młodej dziewczyny. Hubert patrzył na dwie splecione dłonie tak bardzo przenikające się historią. Jedną młodą, o jasnej skórze i piegach, drugą pomarszczoną, kruchą i pokrytą plamami, w których mieściły się dekady doświadczeń. Dwie dłonie splecione w jedną całość, a jedna bez drugiej nie byłaby pełna.

– Uwielbiam to miejsce. – Letycja rozejrzała się po pomieszczeniu. – Od dziecka przychodzę tu z ludźmi, których kocham. – Jej druga dłoń chwyciła Huberta za ramię. Wtedy kelnerka przyniosła trzy kubki gorącej czekolady. W powietrzu unosił się zapach kardamonu.

* * *

Zobaczyła go. Złota godzina w zapadających się w zachodzącym słońcu promieniach otoczyła go blaskiem. Wyglądał jak cień na tle pomarańczowego leśnego tła. Majestatyczny kontur od razu zdradził, że to on. Greta wiedziała, że tym razem jej się uda. Po to tutaj przyjechała, by spróbować kolejny raz z cierpliwością i pokorą zbliżyć się do tej pięknej istoty. Nie lubiła już używać słowa „oswoić". Chciała się do niego zbliżyć.

To był moment, w którym poczuła – jak nigdy dotąd – że uda się jej absolutnie wszystko. Chyba zaczynała kochać siebie tak bardzo, że samotne wyjścia do lasu nie wywoływały już u niej płaczu i rozgoryczenia. Niosły ulgę i nadzieję, że kiedyś spełnią się marzenia, że kiedyś wszystko się ułoży albo że właśnie się układa. Letycja będzie z niej dumna – pomyślała. Podchodziła ostrożnie, by nie wzbudzić w koniu podejrzeń co do intencji.

Wokół głowy klaczy jak zawsze wirowała biała ćma. Dziś Greta mogła się jej dokładniej przyjrzeć. Lekuchno postrzępione brzegi skrzydeł wyglądały niczym pióra. Tylko jej główka przybrała brązowy odcień. Ćma poruszała się wolno, raz siadła na koniu, a raz, choć bardzo lekko, dotknęła swoim skrzydłem policzka Grety. Zbliżały się do siebie, wszystkie trzy. Nagle jeden krok rozproszył ten moment. Pod stopami Grety złamała się gałązka świerczyny. Spłoszona klacz uciekła.

– Było blisko... – powiedziała do siebie z uśmiechem dziewczyna. – Jeszcze krótka chwila i się zaprzyjaźnimy.

Rozdział VII

Warszawa

lata 50.

W ostatnich tygodniach Letycja coraz częściej wracała do pustego mieszkania. Karol znikał rano przed jej wyjściem do pracy i wracał późnym wieczorem, często nawet nie wspomniał, gdzie był. Zmienił się – mówił mało, był zmęczony i zamknięty w sobie. Gdy próbowała z nim porozmawiać, zbywał ją krótkim „wszystko w porządku" i od razu siadał do papierów albo zasypiał ubrany, nawet nie zgasiwszy światła. Miała do niego żal. O Sudety, o to, że ciągle go nie było. I miała żal do siebie, że przestała się starać o to, co między nimi. Podróż do ciotki Antoniny wiele zmieniła. Letycja z jednej strony wiedziała, że nie może patrzeć tylko na swoje marzenia, ale z drugiej – od dawna pragnęła czegoś innego. Czasami miała wrażenie, że życie ułożyło się nie tak, jak powinno, choć przecież mieli wszystko, by było pięknie.

Był późny wieczór, a mały Hubert nie chciał zasnąć. Letycja kołysała go już od ponad godziny, chodząc w kółko po ciasnym pokoju, w którym od kilku dni panowała cisza, przerywana jedynie cichym płaczem dziecka i skrzypieniem podłogi. Zupa wystygła na kuchence. Radio, którego nie miała

siły włączyć, milczało od rana. Zegar tykał przeciągle. Karola nie było od świtu.

Gdy w końcu pojawił się w drzwiach, Letycja siedziała na podłodze przy łóżeczku z głową opartą o kolana. Dziecko spało. Ona nie. Otworzyła oczy, jakby poczuła jego przyjście, zanim usłyszała skrzypnięcie drzwi.

– Jest dziewiąta – powiedziała sucho, bez powitania.

Karol wszedł powoli, zostawił teczkę na komodzie, ściągnął marynarkę. Nie odezwał się. Patrzył na nią wzrokiem, który kiedyś był pełen ciepła. Teraz był tylko cichym dopełnieniem milczącego życia.

– Cały dzień byłam z nim sama. Nie miałam kiedy zjeść. Boli mnie już wszystko. I ciało, i dusza, Karol. Ale to wszystko nic – ciągnęła głosem cichym, ale twardym. – Bo on zapytał dziś: „A gdzie tata?". I wiesz co? Nie wiedziałam, co mu powiedzieć.

Karol stał w progu, dłonie trzymał splecione z tyłu. Nie unikał jej wzroku. Patrzył prosto, ale nie wyrzekł ani słowa.

– Chociażbyś powiedział, że cię to obchodzi. Że widzisz, że jest mi ciężko. Cokolwiek.

Milczał.

– Bo ty jak zwykle masz swoją ważną pracę, prawda? Tylko ja mam być zawsze tą silną. Zawsze.

Zasunął powoli zasłonę przy oknie, jakby to miał być jego jedyny gest w tej rozmowie. Potem spojrzał na śpiącego synka. I na nią. W jego oczach było coś więcej niż zmęczenie. Było coś, czego nie potrafiła jeszcze nazwać. Obudował się

dziwnym murem, który wyglądał jak smutek, może jak bezsilność. Nie wiedziała na pewno.

Potem nachylił się nad śpiącym Hubertem i pogłaskał go po głowie.

– Dobranoc – szepnął do Letycji, a ona zdziwiona, tylko uniosła wzrok. Jego ton był dziś spokojny i na tyle obojętny, że zapłakała.

Zaczęła się zastanawiać, czy czegoś nie przegapiła. Może coś się w nim wypaliło? Może to ona oddaliła się pierwsza. Ich rozmowy stawały się coraz rzadsze, jakby rozpychało się między nimi coś niewidzialnego.

Nazajutrz obudziła się i zaskoczona stwierdziła, że jej mąż jest w domu. Obudziło ją stukanie filiżanek o spodki. Wzięła na ręce Huberta i weszła do kuchni. Na stole stały dwie kawy.

– Wypijesz ze mną kawę jak dawniej? – zapytał. Jego głos nie brzmiał nieśmiało.

Letycja nie wiedziała, jak ma się zachować po tylu tygodniach chłodu między nimi. Bez żadnej refleksji, bez słowa „przepraszam" zrobił kawę. Czuła się zagubiona. Kiedyś przecież powiedziałaby, że jego „przepraszam" było porankiem pachnącym kawą, dziś miała pretensje o brak słów.

– Tak. – Jej ton był zimny.

– Ubierz się ciepło po śniadaniu. Musimy gdzieś pojechać – powiedział.

Upił łyk kawy i spojrzał za okno, jakby chciał się upewnić, czy pogoda pozwoli na to, co zaplanował. Miała wrażenie, że mu zależało. Przyjrzała mu się. Jego twarz była szara, miała

więcej zmarszczek niż przed kilkoma miesiącami. Był bardzo zmęczony. Jego oczy podkrążone szerokimi cieniami nagle ją przestraszyły i pomyślała nawet, że na coś zachorował.

– Gdzie? – zapytała nieufnie.

– Zobaczysz. Po prostu się ubierz. Z Hubertem zostanie dzisiaj Rozalia.

* * *

Podróż trwała dość długo. Jechali przez miasto tramwajem, potem przesiedli się do autobusu, a dalej szli pieszo. Było chłodno, ale słonecznie. Letycja nie odzywała się wiele. Karol również milczał. Teraz jednak wyglądał inaczej. Wydawało się jej, że na jego twarzy zagościł nieuzasadniony jak dla niej uśmiech. Starał się go ukryć, ale kąciki warg nieznacznie się unosiły. Znała jego uśmiech, ale ten był inny niż zwykle.

W końcu dotarli na obrzeża Wilanowa. Minęli pola, potem skręcili w drogę gruntową prowadzącą w głąb jakiegoś gospodarstwa. Tam, przy ogrodzeniu, stał niewielki drewniany budynek, a obok – ogrodzone pastwiska. Kiedy podeszli bliżej, Karol przystanął i wskazał palcem w kierunku zagrody.

– Spójrz.

Letycja zrobiła kilka kroków. Szła bardzo powoli. Jej wzrok zatrzymał się na znajomej sylwetce. Stała nieruchomo, jakby nie wierzyła własnym oczom.

– Dionizja...? – wyszeptała.

W pierwszej chwili koń się tylko poruszył, jakby nie dowierzał. Potem podniósł łeb, parsknął i ruszył stępa,

a zaraz później kłusem, aż wreszcie pogalopował w stronę płotu. Letycja uniosła rękę, a Dionizja zaryła kopytami tuż przy niej, zarżała radośnie i zaczęła uderzać nosem w jej ramię, łagodnie, ale natarczywie, jakby chciała się upewnić, że to naprawdę ona.

Letycja rozłożyła ramiona i przytuliła koński łeb, głaszcząc jej szyję drżącą ręką.

– Moja dziewczynka... Moja piękna Dionizja... – szeptała, a łzy płynęły jej po policzkach.

Koń trącał ją pyskiem raz za razem, rozpoznając jej zapach i głos. Przydeptywał ziemię podekscytowany, rżał cicho i kręcił łbem. Letycja znów zaczęła się śmiać. A Karol... Karol czuł radość i dumę. Teraz był pewny, że to był dobry pomysł, i chyba dopiero teraz tak naprawdę zrozumiał, jak bardzo musiały cierpieć obie – Letycja i Dionizja – gdy się rozdzieliły.

– Pamiętała cię – odezwał się cicho, opierając się o płot.

Letycja wtuliła twarz w ciepłą sierść.

– Myślałam, że już jej nie zobaczę... Albo że pojedziemy do ciotki raz do roku i to będzie tyle... – powiedziała ściszonym głosem.

Dionizja otarła się o nią znowu, głęboko parsknęła i przymknęła oczy, jakby się uspokoiła. Jakby już wszystko było dobrze. Wtedy dopiero Letycja poczuła, że coś w niej samej: napięcie, żal ostatnich tygodni, ból, zaczęło powoli znikać.

– Ale... jak? Skąd? – zwróciła się do męża.

Karol wreszcie się odezwał:

– Napisałem do Antoniny, jak tylko wróciliśmy do Warszawy. Wiedziałem, że rozstanie z Dionizją było dla ciebie trudne. Wiem też, że wolałabyś wyjechać w Sudety i prowadzić tam sielskie życie, ale tu mamy większe możliwości... Tak myślę. W Sudetach... kiedyś wybuduję ci dom wakacyjny, kochana. – Chwycił Letycję za dłonie. – Kiedyś tam może nawet zamieszkamy. Na stare lata. – Uśmiechnął się. – Ciotka z wujkiem pomogli mi przetransportować tu Dionizję, ale potrzebne były pieniądze na jej utrzymanie, jakieś miejsce, ktoś, kto się nią zaopiekuje. Żeby więcej zarobić, musiałem więcej pracować. To dlatego nie było mnie w domu. Później znalazłem tego gospodarza w Wilanowie. – Wskazał dłonią na starszego mężczyznę, który wyszedł ze stajni. – Płacę mu, żeby pilnował Dionizji. Możesz tu przyjeżdżać codziennie. Już nic nie stoi na przeszkodzie.

– Myślałam, że... że się ode mnie oddaliłeś... że... – Nie dokończyła. Głos jej zadrżał.

– Robiłem to dla ciebie – powiedział tylko. – Wiem, że ci jej brakowało i że bez niej coś w tobie gasło.

Letycja podeszła do Dionizji, przytuliła się do końskiej szyi. Płakała, ale już nie z bólu, tylko z ulgi i wdzięczności. Stała tak długo, głaszcząc Dionizję po karku, jakby chciała nadrobić wszystkie miesiące rozłąki.

Karol stał nieco z tyłu z rękami w kieszeniach. Nie podchodził. Wiedział, że ten moment jest tylko dla nich.

Warszawa

– To niesamowite! – Greta była wzruszona. Poznawanie życia Letycji było jak odkrywanie najwartościowszego skarbu. Jej historia była cenna, tak wiele ją nauczyła. Greta w jednej chwili pomyślała, że obie są do siebie bardzo podobne.

– Mieliśmy szczęśliwe życie. Jeździliśmy do ciotki każdego roku na wakacje i na święta. Dionizję widywałam codziennie. Byłyśmy podczas jazdy jak jedno ciało. Hubert od dziecka mógł dzięki temu uczyć się jazdy konnej. Dionizja za nim przepadała. Czasami tak słodko podszczypywała mu ucho! A kiedy podawał jej marchew do zjedzenia, szczerzyła zęby, jakby się uśmiechała. Wieś, gdzie mieszkała, nie była jednak aż tak daleko od nas. Często wiosną i latem, a nawet wczesną jesienią jeździłam do niej na rowerze. Czasami nawet całą rodziną jechaliśmy na rowerach. Gospodarz był poczciwym człowiekiem i niekiedy pozwalał nam u siebie przenocować. W zamian za to Karol pomagał mu w stajni. Ja pieliłam z jego żoną ogródek. Hubert zakolegował się z ich wnukiem. Zresztą później, w dorosłym życiu, utrzymywali kontakt. Co by nie mówić, dobra to była rodzina i dzięki niej nasz syn zaznał wiejskiego, zdrowego życia, a nie tylko takiego w mieście. – Zawiesiła na chwilę głos. – Myślę, że razem z Karolem daliśmy Dionizji szczęśliwe życie i chociaż nigdy nie spełniłam marzenia i nie miałam swojej stadniny, nie zamieszkałam na stałe w Sudetach, to znaleźliśmy kompromis, który zadowolił nas oboje. Poświęciliśmy wiele: ja sielskie życie, on swój czas i dużą ilość pracy, by pomóc mi utrzymać konia. Ale chyba o to właśnie chodzi w związku, by wspierać się i szukać kompromisu. To był piękny koń

i doczekał wspaniałej, spokojnej starości. A moment jej śmierci... – Letycja zaczęła płakać tak bardzo, że aż się zanosiła. Greta chwyciła ją za dłoń. – Dionizja leżała wtedy na boku w cieniu stodoły, przykryta cienkim kocem. Sierść przy pysku była już całkiem siwa, ale i tak ciężko było to dostrzec. W końcu miała piękną, jasną sierść. Jej oczy miały już w sobie tę cichość starości i mądrość, jaką widać tylko u zwierząt, które kochały i były kochane. Kiedy zbliżyłam się do niej, uniosła lekko łeb i cicho zarżała. Ledwie, jakby chciała powiedzieć do mnie: „Dobrze, że jesteś". – Letycja przerwała. Na chwilę wstrzymała oddech. – Usiadłam przy niej na ziemi i ostrożnie wzięłam jej łeb na kolana. Głaskałam ją delikatnie po potylicy, przeczesując grzywę. „Moja dziewczynka... Moja mądra, dobra Dionizjo...", szeptałam. Klacz oddychała ciężko, z przerwami. Jej oczy traciły ostrość. Czułam, jak serce Dionizji zwalnia rytm, bije coraz ciszej. „Dziękuję ci", wyszeptałam, kładąc policzek na jej czole. „Za każdą chwilę. Za to, że byłaś. Że mnie wybrałaś". Patrzyła na mnie tymi swoimi wielkimi, pięknymi oczami. Do samego końca. I nagle poczułam, jak jej ciało się rozluźnia. Głowa lekko osunęła się na moje kolana, jakby Dionizja zasypiała. Nie było żadnego dramatycznego dźwięku, żadnego szarpnięcia. Tylko cisza. Taka przejmująca, która przenikała mnie całą, aż bolało. Siedziałam tak w bezruchu długą chwilę, tuląc jej martwe ciało. Nie pamiętam, jak wyglądały kolejne dni. Pochorowałam się z rozpaczy. Ale pamiętam, że niebo wtedy, gdy umierała, zrobiło się pomarańczowe, bo zachodziło słońce. – Letycja patrzyła teraz na zdjęcie z Dionizją, które wisiało między regałami na ścianie. Potem znów spojrzała na Gretę i powiedziała: – Karol zmarł w dwa tysiące piętnastym

roku. Chorował od śmierci naszego syna Huberta. Nie potrafił się pozbierać. Gdy umiera dusza, ciało powoli się poddaje. Trzymał się jeszcze dla mnie. Nie chciał mnie zostawić samej. Naprawdę go kochałam. Bardzo. Był dla mnie bardzo ważny. I nie umiałam bez niego oddychać, gdy zmarł. Powoli moja dusza się kruszyła i ciało odmówiło brutalnie posłuszeństwa. Tak przestałam chodzić. Człowiek, gdy nie czuje się kochany, odchodzi szybciej. Miłość po prostu jest potrzebna, nawet jeśli myślimy, że jest inaczej.

– Są takie momenty w naszym życiu, że czasami trzeba być, po prostu być przy kimś. Bo każde słowo ujmowałoby sytuacji tej zasłużonej i właściwej godności. I teraz właśnie jest taki moment, bo nie wiem, co mogłabym pani powiedzieć...

Letycja kiwnęła głową. Greta w ciszy roniła łzy.

– Opowiedz mi o prelekcji. Jak to będzie wyglądać? – zmieniła temat Letycja.

– Ustaliłam z profesorem, że zrobimy to w ramach wykładu. Zaprosimy również absolwentów szkoły i osoby z klubu Oświęcimiaka. Ale na wykład będzie mógł wejść każdy.

– Nie ma ich już wielu. Została nas garstka. Większość nie żyje albo nie czuje się na siłach przyjść.

– Tak... będzie tylko kilka osób. Zacznę opowieść od przedstawienia pani sylwetki i nakreślenia sytuacji związanej z niemieckim obozem koncentracyjnym i zagłady Auschwitz-Birkenau. Później zaproszę panią. Na końcu przedstawimy pamiętnik. Wydrukowałam już trzy piękne egzemplarze. Na początek. Są w twardej oprawie.

– Zielonej? – zapytała przekornie Letycja.

– Oczywiście!

– To dobrze. Lubię ten kolor. – Kobieta uśmiechnęła się blado.

– Jeden dla pani, jeden dla mnie i jeden oczywiście dla uczelni jako praca, którą miałam oddać.

– Pięknie. Bardzo ci dziękuję. Nie za ten pamiętnik, chociaż za to też. Dziękuję za przyjaźń.

– To ja dziękuję. Za to zaufanie i za opowieść. Bo przecież opowiadanie historii to najbardziej intymna rzecz między ludźmi – powtórzyła słowa Letycji sprzed kilku tygodni. I chwyciła jej dłoń w geście wdzięczności.

* * *

Greta wsiadła do samochodu i łamiąc wiele przepisów, pędziła ulicami Warszawy. Gdy dotarła na miejsce, już rozumiała, czego pragnie. Zapukała donośnie, a gdy nikt nie otworzył, ponowiła pukanie. Niecierpliwiła się. Wreszcie usłyszała szybkie kroki. Ktoś zbliżał się do drzwi.

– Już nie mogę tak, tato – zaczęła, patrząc mu prosto w oczy, gdy tylko stanął przed nią w progu.

– Greta... – powiedział zaskoczony. – Wejdź.

Ona mówiła dalej:

– Tyle lat... ciszy. Rozłąki. Oboje chodzimy jak jakieś sieroty, bez mamy i bez siebie. Bardzo cierpiałam. Ale chyba w końcu zrozumiałam, że ty także cierpiałeś. Może tego nie dostrzegałam, bo robiłeś to inaczej niż ja. Ale tak chyba jest też z miłością. Jeśli ktoś okazuje nam, że nas kocha, i robi to

inaczej, niż robimy to my, i jeśli nawet nam się wydaje, że to my kochamy mocniej, nie oznacza to, że ta druga osoba kocha nas mniej. Możliwe, że kocha najbardziej, jak potrafi... – Złapała oddech.

– Masz rację... – Uśmiechnął się do córki. – We wszystkim się z tobą zgadzam, Greto.

Artur zaprosił ją do kuchni, by wypiła z nim herbatę. Tym razem jeszcze nieśmiało, ale z nadzieją w sercu weszła do znanego sobie domu, który dziś wyglądał jednak inaczej, żywiej.

Trwali chwilę w milczeniu, ale pomiędzy nimi już kruszył się mur, który budowali od wielu lat. Ojciec przesunął palcami po krawędzi kubka, wzrok utkwił gdzieś za oknem.

– Ten miłorząb... – skinął głową w stronę drzewa za oknem – ...to dla niej. Emilia kochała miłorzęby. Mówiła, że to drzewa pamięci. Że ich liście przypominają serce podzielone na pół.

Greta zamarła.

– Nigdy mi o tym nie powiedziała.

Spojrzał na nią z czymś, co przypominało ulgę. Ucieszyło ją, że jednak istniało coś, co było tylko dla nich. Dla nich jako małżeństwa. Że wiedział o czymś, co dla córki jest odkryciem. Że mieli coś, o czym wiedzieli tylko oni i nikt inny. Greta nagle poczuła ciepło, które odebrało jej oddech. To nie była zazdrość, tylko ulga. Oni naprawdę się kochali... Pomiędzy nimi było coś, co istniało poza jej dziecięcą perspektywą. Wstała, podeszła do niego i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Cieszę się, że mi to powiedziałeś.

Ojciec popatrzył na nią wzrokiem, który sugerował, że myślami jest w zupełnie innym miejscu.

– Pamiętam… – powiedział cicho – że pachniała jak wiatr. Tak mówiłem, gdy zasypiała obok. – Mówiąc te słowa, rozpłakał się jak dziecko.

Greta poczuła, jak coś delikatnie pęka w niej od środka. A potem tylko przytuliła się do niego, pierwszy raz od wielu lat. A ten gest był prosty. I był prawdziwy.

Artur chwycił ją za rękę i zaprowadził do pracowni. Stali teraz oboje, ojciec, lekko pochylony, zgarbiony, jakby zmęczony życiem, i córka… niczym mała córeczka, taka sprzed lat, i wpatrywali się w rzeźbę.

– Powiedziałaś, że ten liść nie ma z nią nic wspólnego – szepnął. – Wiesz już, że to nieprawda. – Przerwał. – W dzień jej śmierci liść miłorzębu wpadł do naszej sypialni. Dopiero potem dowiedziałem się, że zginęła. Gdy do drzwi zapukał policjant, byłem cały ubrudzony gliną. Próbowałem zrobić pracę na konkurs i pamiętam, że bardzo mi to nie wychodziło. On przyszedł poinformować, że Emilia miała wypadek. Usiadłem na schodach i nie płakałem. Nie płakałem też do chwili pogrzebu ani na pogrzebie. Nie płakałem przez dobry rok. Nie umiałem, wszystko we mnie wrzeszczało, darło się tak, że myślałem, że postradałem zmysły. Chciałem płakać, ale się zablokowałem, po prostu mój organizm odmówił mi łez. Dopiero po roku, gdy miłorząb znów wypuścił liście… Poczułem zapach, tak podobny do tego, który nosiła na swoich włosach, zapach wiatru i perfum. Wtedy wreszcie zapłakałem. Ale nie chciałem, żebyś to widziała. Nie chciałem ci pokazywać, że jestem słaby, nie chciałem ci przypominać o jej śmierci. Tylko że nie przyszło mi do głowy, że ty

zapewne ciągle o tym myślałaś. I miałaś żal, że ja nie okazuję emocji. I tak mijaliśmy się, aż w końcu nasze drogi się rozeszły. Przepraszam, córeczko, moja perełko[21].

Greta spuściła wzrok. W oczach stanęły jej łzy – nie takie, które się wylewają jak bystry potok, tylko te, które zatrzymują się tuż pod powieką i zostają tam na długo.

W tym czasie, w którym godziły się dwa serca, inne umierało.

* * *

– Na świecie umiera średnio ponad półtorej osoby na sekundę. To oznacza, że co minutę umiera około stu ośmiu ludzi. Dziennie około sto pięćdziesiąt pięć tysięcy osób – usłyszała Letycja w programie telewizyjnym.

Nie podniosła wzroku znad filiżanki herbaty. Siedziała w fotelu przy oknie, tym samym, co zawsze, z widokiem na pijalnię Wedla. Herbata dawno już wystygła, ale starsza kobieta trzymała ją dalej w dłoniach, jakby chciała zatrzymać ciepło jeszcze chwilę dłużej. W pokoju panowała cisza, którą zakłócał jedynie cichy szum telewizora i odgłos zegara tykającego na ścianie. Zawsze go lubiła – mówiła, że przypomina jej, że czas jeszcze płynie. Tylko teraz jakby zwalniał.

Na stoliku obok leżał list, zapisany ręką Karola. Czasem jeszcze do niego wracała, czytała go powoli, z namaszczeniem, jakby to był święty tekst. Dziś też to robiła, a za oknem zaczął padać deszcz. Letycja zamknęła oczy, by zapamiętać ten dźwięk na zawsze.

Wdech: powolny.

Wydech.

Potem jeszcze raz.

Niebo poszarzało od chmur, w pokoju zrobiło się ciemniej, a telewizor dalej szeptał wiadomości o świecie, których już nie słuchała. Zegar nadal tykał, ale nikt już nie podniósł filiżanki, nie dopił herbaty. Na stole osiadł kurz. A za oknem szumiał wiatr, jakby opowiadał komuś historię o kobiecie, która czekała całe życie na spokój – i w końcu go znalazła.

* * *

Ryk. Tak można nazwać to, co wydobyło się z ust Grety, gdy Hubert zadzwonił do niej z wiadomością, że Letycja nie żyje. Była jeszcze u ojca. W końcu odnalazła tam spokój. Wreszcie uśmiechała się i rozmawiała z nim jak nigdy dotąd. Po spotkaniu chciała jak najszybciej jechać do Letycji, by opowiedzieć jej, że wreszcie pogodziła się z ojcem. A teraz nie zdąży. Ojciec złapał ją w locie, ponieważ po rozmowie z Hubertem opadła bez sił na ziemię. Przytulał ją mocno, a ona wrzeszczała na cały głos. Jak wtedy w łazience. Tylko że teraz nie mogła przestać.

Nie opowiedziała jeszcze ojcu, kim była dla niej Letycja, więc nie rozumiał emocji Grety, ale był, był przy niej. A ona znów straciła kogoś, kogo kochała... Nie zdążyła zapytać jej jeszcze o tyle rzeczy. Nie zdążyła wypić z nią jeszcze jednej herbaty z kardamonem. Nie zdążyła wyjść jeszcze raz do pijalni Wedla. Nie zdążyła zabrać ją jeszcze raz do lasu. Nie zdążyła jeszcze raz porozmawiać. Ostatni raz. Ostatni. Na

śmierć zawsze jest za wcześnie. I ludzie umierają zawsze nie w porę. I zawsze to będzie bez sensu.

Hubert zorganizował pogrzeb sam. Nie dlatego, że Greta nie chciała mu pomóc. Ona nie pogodziła się z tym, że Letycja umarła. Jak dziecko unikała tematu i od śmierci przyjaciółki nie odwiedziła jej mieszkania. Nie wyobrażała sobie, że to mieszkanie będzie tak ciche i puste już nieodwracalnie. Gdy wychodziła stamtąd ostatni raz, Letycja siedziała na fotelu i spojrzała na nią tak, jakby widziała jej duszę. Była dziwnie smutna, jak gdyby coś przeczuwała, ale nie chciała powiedzieć co. Greta zapamiętała te jej wielkie oczy wpatrzone w nią z uczuciem. I pamiętała to mieszkanie i jej obecność. Jak mogłaby teraz wrócić do tej pustki?

– Greta... – szepnął ojciec. Od otrzymania tej okropnej wiadomości nie opuściła rodzinnego domu. Spała w swoim dawnym pokoju. – Twój telefon dzwonił. Hubert. Przepraszam, ja... w końcu odebrałem. Dzwonił już któryś raz. Pogrzeb pani Letycji jest jutro o trzynastej.

Greta się nie odezwała. Ojciec jedynie położył telefon obok, na stoliku przy zagłówku, i po cichu wyszedł z pokoju. Leżała w ciszy. Nie miała siły oddychać. Usta miała otwarte. Oczy spuchnięte od płaczu. Nawet nie mrugała. Po prostu patrzyła przed siebie. I trwała tak przez długi czas.

* * *

Pogrzeb rozpoczął się punktualnie. Do kościoła Wszystkich Świętych przyszło wiele osób. Byli więźniowie z klubu Oświęcimiaka, sąsiedzi i niektórzy pracownicy pijalni. Dzięki Grecie, która rozmawiała z kelnerkami, historia Letycji była

już im częściowo znana, więc niektórzy zdecydowali się z nią pożegnać. Wśród zebranych Hubert rozpoznał wnuki pani Anny, a także dzieci pana Kazika.

Hubert pomyślał, że śmierć to dziwna sprawa. Wokół umarłego gromadzą się wszyscy ważni dla niego ludzie i choć wtedy przez chwilę najlepiej rozumieją, jakie to istotne – być obecnym, to potem i tak rzadko mają czas, by spotkać się z bliskimi, którzy jeszcze żyją. Zabawne. I smutne.

Rozglądał się po kościele. Szukał jej. Nie miałby za złe Grecie, gdyby nie przyszła. Wiedział, że kochała Letycję i to ona była z nią za życia. Wtedy, kiedy trzeba.

Nim jednak zabrzmiała pierwsza nuta zagrana przez organistę, po cichym kościele rozeszło się echo czyichś kroków. Greta szła razem ze swoim ojcem przez główną nawę. Ubrana cała na zielono.

* * *

W ciepły, lekko zamglony poranek Greta i jej ojciec jechali spokojnie przez las. Samochód powoli toczył się po szutrowej drodze, koła chrzęściły na żwirze, a przez otwarte okna wpadał zapach wilgotnej ziemi i sosen. Ojciec trzymał kierownicę mocno, jakby chciał się przekonać, że ma nad czymś kontrolę. Nie umiał pomóc córce w żałobie po Letycji, ale musiał zrobić wszystko, by tym razem poczuła, że ją wspiera. Że nie jest sama. Greta patrzyła przed siebie, w znajome zakręty.

– Zawsze jeździłyśmy tutaj z mamą – powiedziała po chwili ciszy. – Mówiła, że las pamięta więcej niż człowiek.

Ojciec skinął głową. Nie odpowiedział.

– Czasami zastanawiam się, co mogłyby powiedzieć drzewa o mamie. Co powiedziałby nam wiatr. Dlatego od lat przychodzę tu sama i słucham...

Zatrzymali się przy rozwidleniu, dalej trzeba było iść pieszo. Greta prowadziła ojca ścieżką, która schodziła w dół, przez młodniak i kawałek śródleśnej łąki. Nagle dziewczyna się zatrzymała. Zobaczyła to, po co tu przyszła. Przed nimi, na skraju polany, stała klacz. Koń podniósł łeb, spojrzał wprost na Gretę i... ruszył powoli w jej stronę. Nie płoszył się, nie wahał. Szedł pewnie, jakby ją znał. Dziewczyna zrobiła krok do przodu i uniosła dłoń. Klacz położyła na niej chrapy. Ciepłe i wilgotne. Greta odetchnęła krótko, a potem przytuliła swoją twarz do jej łba. Jej jasna karnacja i piegi wyglądały niemal identycznie jak kremowa sierść z beżowymi i brązowymi hreczkami. Ojciec stał w oddali, patrzył przez chwilę, zastanawiał się nad czymś, po czym sięgnął po telefon. Ostatnio dużo rozmawiali, więc dobrze wiedział, że Greta pragnęła oswoić tego konia.

– Cześć, potrzebuję transportu dla konia do stadniny pod Warszawą – powiedział do słuchawki. Greta usłyszała z oddali tę rozmowę. Była mu wdzięczna. Potrzebowała tej pomocy.

Jeszcze tego samego dnia, z pomocą weterynarza i trenera, klacz została zabrana do stadniny. Po krótkim śledztwie okazało się, że zwierzę kiedyś do niej należało – wiele lat temu uciekło z transportu. Nikt nie spodziewał się, że klacz mogła przetrwać tyle lat sama na wolności. Jak dziki duch z własnego wyboru.

Ojciec spojrzał na Gretę, która stała przy boksie i nie spuszczała wzroku z klaczy.

– Jest twoja – powiedział. Greta spojrzała na niego z wdzięcznością. – Wszystko już załatwiłem.

– Dziękuję, tato.

– Jak się nazywa?

– Dionizja – odpowiedziała i popatrzyła w niebo. Gdzieś tam pośród chmur było słońce, które starało się przez nie przebić. W końcu tak właśnie się miało stać. Słońce przecież zawsze wychodzi, by rozjaśnić dzień.

* * *

W mieszkaniu przy Szpitalnej panowała cisza. Zmącił ją dopiero klucz wkładany do zamka. Greta po raz pierwszy od dwóch tygodni przekroczyła ten próg. Klucz zadrżał jej w dłoni, zanim przekręciła go w zamku. Za nią szedł Hubert, zamyślony i nieśmiały, a jednak z jakimiś głębokimi uczuciami w oczach, co przypominało Grecie Letycję.

Zapach mieszkania się nie zmienił. Wciąż wyczuwało się tutaj woń starego papieru i kardamonu, jakby Letycja przed chwilą jeszcze tu była i wyszła gdzieś tylko na chwilkę. Greta się rozejrzała. Regały uginały się od książek – w większości powieści, które Letycja znała na pamięć. Zegar na ścianie nadal tykał, choć wskazówki przesuwały się z niepokojącym opóźnieniem. Stolik pod nim, na którym zawsze leżały rachunki i stare czarno-białe zdjęcia, wyglądał na nietknięty. Tylko kurz zdradzał, że nikt niczego nie ruszał od dnia pogrzebu.

Hubert milczał przez chwilę. Pewnie tak jak Greta czuł się nieswojo.

– Nie umiałam tutaj wejść. Przepraszam, że zostawiłam cię samego z tym wszystkim. Potrzebowałam czasu. Myślałam, że jak przekroczę ten próg, to... to już będzie ostateczne. Że naprawdę jej nie ma. I tak jest, nie ma tu Letycji. To bardzo boli. – Łzy spływały jak grochy po jej bladych policzkach.

– Nie ma jej fizycznie, ale zobacz, ile jej opowieści w nas zmieniły. Pozostawiła ślad, który i tobie, i mnie wiele uświadomił. – Stał teraz przed zdjęciem babci tulącej się do Karola. Obok nich była Dionizja. – I ty wiele zrobiłaś dla niej. Dzięki tobie zaczęła chodzić! – Uśmiechnął się.

– Nie, nie... zaczęła chodzić, ponieważ zobaczyła konia, ponieważ to emocje przypomniały jej najlepsze, co spotkało ją w życiu – zaprzeczyła.

– Nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie ty, i dobrze o tym wiesz, Greto. Byłaś dla niej rodziną.

Greta stanęła teraz w oknie i popatrzyła na pijalnię Wedla. Z tego samego okna, przez które kilka miesięcy temu pierwszy raz zobaczyła starszą kobietę, smutną i bez życia. W ogóle nie przypominała tej smętnej pani podczas ostatnich tygodni życia – była jak wulkan, pełen ekspresji i niespodziewanych zwrotów akcji. Dziewczyna pomyślała, że to niezwykłe, ile w człowieku może zmienić drugi człowiek... na lepsze. Letycja miała rację. Jeśli trafi się na swoją osobę, czuje się spokój. I ta mądrość nie musi dotyczyć tylko życiowego partnera.

– Greto! – usłyszała głos Huberta. – Mogłabyś mi pomóc przeglądać te stare papiery? – Otwierał po kolei szuflady,

w których Letycja gromadziła latami swoje notatki, wycinki z gazet, dokumenty i najważniejsze rachunki.

Siedzieli do późnej nocy, pijąc herbatę z kardamonem, by to uporządkować. Pojedyncze zdjęcia Letycji plątały się jeszcze między papierami. Zwrócili uwagę zwłaszcza na jedno z nich: Letycja z Karolem w rocznicę ślubu. Zabrał ją w góry.

– Czyli pamiętał i jeździli czasem, nawet gdy już byli starsi – powiedział Hubert.

– Spójrz na to. – Greta znalazła jeszcze jedną fotografię. – To Dionizja. Naprawdę identyczna jak moja. – Mimochodem się uśmiechnęła. Hubert wziął zdjęcie w dłoń i przytaknął.

– Tu jest jeszcze takie… Wszyscy stoją na Narożniku z widokiem na Szczeliniec Wielki. Ciotka Antonina z wujkiem, dziadkowie i mój tata. – Hubert długo wpatrywał się w rodzinną pamiątkę. Chyba pierwszy raz poczuł się aż tak samotny.

Zdawało się, że ciągle odkrywają nowe informacje zaklęte w papier. Na dnie jednej z szuflad leżała teczka. Stara, widać, że włożona tu i zapomniana już dawno, dawno temu. Związana jeszcze starannie sznureczkiem na kokardkę. Pomyśleli, że w środku musiały być ważne papiery, skoro ktoś zapakował je tak skrupulatnie. Teraz Hubert wziął ją w swoje dłonie. Greta niemal od razu miała przed oczami widok: młoda Letycja trzymająca teczkę, wiążąca ją sznurkiem i chowająca ją na dno szuflady. Z szelmowskim uśmiechem, z jasnymi intencjami, a wszystko to lata temu w ścianach domu pełnego miłości. Teraz jej wnuk rozwiąże supeł i otworzy teczkę. Wyłoni się z niej zapewne jakaś nowa historia…

Złapał palcami końcówkę sznurka i pociągnął. Cienki materiał się postrzępił. Papier wewnątrz teczki był pożółkły i kruchy jak opłatek. Hubert przesuwał palcami po literach, czytając słowo po słowie.

– To akt notarialny – szepnął zaskoczony. W środku był złożony na trzy części akt notarialny. Papier z odręcznym podpisem, suchą pieczęcią i nazwiskiem: Antonina Szczerbińska z domu Wolska. – Ciocia jednak przepisała dom w Sudetach mojej babci! – Hubert uniósł wzrok i spojrzał na Gretę tak jak małe dziecko, które podczas zabawy w piratów znalazło skarb.

– A jednak! – ucieszyła się Greta. – Dlaczego Letycja nam tego nie powiedziała? Jak to się stało...? – Zaczęła przeglądać wyciągnięte już dokumenty, jakby w nich chciała znaleźć odpowiedź. Hubert podał jej teczkę. Spojrzała na akt i przełożyła papiery na stół. – Dokument jest z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

– Ciotka zmarła w dwutysięcznym. Czyli zrobiła to, co obiecała. Przepisała babci przed śmiercią dom. Tylko dlaczego nigdy o tym nie wspomniała?

– Tego się już raczej nie dowiemy... – powiedziała Greta, rozkojarzona, bardziej do siebie niż do Huberta, ponieważ właśnie czytała kolejny dokument. – To... to jest testament. A raczej jego kopia. – Spojrzała na chłopaka i chciała podać mu kartkę.

– Ty przeczytaj.

Zawahała się. Nie czuła się odpowiednią osobą do czytania testamentu Letycji.

– Ona nie miałaby nic przeciwko.

– „Niniejszym sporządzam ostatnią wolę, w której cały mój majątek, w tym nieruchomość położoną w okolicach Pasterki oraz przynależące do niej budynki gospodarcze i stajnię, przekazuję mojemu wnukowi Hubertowi Różyckiemu…” – Urwała, a jej głos stłumił nagły wdech. – „… z pełnym prawem użytkowania, zarządzania i przekazania dziedziczenia dalszego”.

Letycja wszystko, co miała, zostawiła Hubertowi. Mieszkanie w Warszawie, dom w Sudetach, oszczędności. Ale wśród dokumentów leżących na stoliku Hubert odnalazł coś jeszcze: wszystkie listy zebrane w całość. Te od Karola i Huberta, te, które pisała babcia do nich, i jeszcze jeden na wierzchu. Skierowany do Grety.

– To do ciebie. – Spojrzał na dziewczynę i wyciągnął do niej dłoń z kopertą.

Greta usiadła w tym samym fotelu, w którym zawsze siadała, gdy odwiedzała Letycję. Spojrzała na puste mieszkanie i ścisnęło ją w sercu. Ten list był teraz niemal jak dalszy ciąg opowieści, zabrakło tylko znajomego głosu, który by ją snuł.

– „Droga Greto, moja przyjaciółko, choć mogłabyś być po prostu moją wnuczką…” – Greta ukradkiem spojrzała na Huberta i odchrząknęła. Ten się znacznie zarumienił. – „Twoje pojawienie się w moim życiu sprawiło, że znów zaczęłam żyć i te ostatnie miesiące były tak piękne, że umrzeć teraz ze starości, co pewnie mnie czeka niebawem, nie będzie mi żal. Czułam się jak dojrzała kobieta, która znów może usiąść przy swoim stoliku w pijalni Wedla, napić się czekolady z kardamonem, zjeść z kimś śniadanie i kolację. Kochać kogoś

tu i teraz i być kochaną. Bo my się pokochałyśmy, prawda? Pewnie czytasz ten list i teraz się uśmiechasz".

Hubert spojrzał na Gretę, na jej twarzy naprawdę pojawił się blady uśmiech.

– „Nie wiem, kiedy i w jakich okolicznościach odejdę i czy wtedy będziesz już pogodzona z ojcem... Ale wierzę, że to się już stało. Jestem też pewna, że Twoja cierpliwość się opłaciła i klacz z lasu już jest z Tobą, a Ty jesteś z nią. Pamiętaj, że koń ma duszę. Życzę Ci, abyś była z nim jednym ciałem i duchem, Greto. Pewnie już wiesz, albo i nie, że dom w Sudetach był mój. Mogłam Wam o tym powiedzieć, ale najzwyczajniej w świecie chciałam, aby jakaś część tej historii była do odkrycia przez Was samych. Wszystko zostaje w rękach Huberta, z tym że wielką żywię nadzieję..." – Tu Greta przerwała i przez chwilę milczała. Hubert z zaciekawieniem spojrzał na nią i z nieco szelmowskim uśmiechem, identycznym, jaki miała Letycja, zachęcił ją, by czytała dalej. Ta jednak zaśmiała się i odmówiła.

– No nie daj się prosić! – nalegał. Podszedł niespodziewanie i wyrwał jej list z rąk. – „...żywię nadzieję, że i dla Ciebie, i dla Dionizji znajdzie się tam miejsce! XD". Babcia dała tu XD? Naprawdę? Kim była ta kobieta!? – roześmiał się Hubert.

– Oddaj to! – Greta również się roześmiała.

Przez krótką chwilę się przekomarzali, Hubert uniósł rękę z listem, tak że Greta nie mogła go dosięgnąć. I gdy podskakiwała, by wyrwać list z jego ręki, w momencie, gdy oparła swoją dłoń o jego klatkę piersiową, popatrzył na nią jaśniejszymi oczami. Momentalnie zastygła, bo delikatnie

dotknął jej pasa drugą dłonią. Ich spojrzenia się wreszcie spotkały. List opadł im pod stopy, a między nimi nie było już słów, tylko emocje, które znaczyły więcej. Znaczyły to, co chciałaby, by znaczyły, Letycja. Tylko Greta i Hubert jeszcze tego nie rozumieli.

Swoje listy i notatki pozostawiam Tobie, Greto. Możesz je zachować lub przekazać do muzeum. To najbardziej intymna rzecz... oddać w czyjeś dłonie swoją historię i emocje. Oddaję Ci swoją.

Kochająca Letycja

* * *

Wśród starych papierów Greta i Hubert mieli jeszcze odkryć w następne dni wiele pięknych zdjęć i pamiątek. Pierwszą pocztówkę Huberta ojca z obozu w Sudetach, kamień w woreczku z kartką, na której było napisane „Sudety 1961". Ususzone kwiatki z karteczką „Sudety 1962". Korespondencję z ciotką Antoniną i Anną, fotografię ze wspólnych świąt z rodziną Kazika. Zdjęcie grobu Celiny. Na odwrocie Letycja zapisała: „Grób Celiny odnaleziony w 2001 roku dzięki Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi". Były też fotografie Huberta wnuka jako noworodka, jego zdjęcia z rodzicami, z babcią. Dionizja na spacerze z Letycją i w galopie.

I jeszcze coś. Pomiędzy listami zostawionymi dla Grety Letycja schowała wyjątkowy malutki pakunek. Skryty w zielonej kopercie liścik od Huberta z tamtego niezwykłego dnia. Sierpniowy list z dnia ich ślubu, ten sam, który przyniosła jej Rozalia.

Letycjo,

musimy porozmawiać. Przyjdź, proszę, do pijalni Wedla. Obawiam się, że będzie ci lepiej beze mnie.

I jeszcze jeden. Z grubszą kopertą: zwykłą, ale pokreśloną. A na niej napis: „Zwrot – adresat nieznany". Wewnątrz znajdował się list Letycji wysyłany uporczywie od sierpnia tamtego roku przez wiele kolejnych tygodni, aż do dnia zaręczyn z Karolem. Napisała tam:

Hubercie,

proszę, wróć. Prosiłeś o miejsce w moim sercu dla siebie i ono ciągle na Ciebie czeka.

Teraz Greta była już pewna, że w tamtym momencie Letycja poszłaby zupełnie inną drogą.

Nie umiała sobie wyobrazić, jak bardzo Letycja musiała tęsknić. Najpierw za rodzicami, potem za Karolem, później tak samo za Hubertem. I jeszcze za swoim synem, gdy zginął. Listy pozostawione jej jako największy skarb kobiety, która tak wiele straciła, Greta zachowała dla siebie. Tych do Huberta miała już nigdy nikomu nie pokazać.

* * *

Na Krakowskim Przedmieściu około godziny siedemnastej zrobiło się tłoczniej. Ludzie zbierali się przed wejściem do auli na Uniwersytecie Warszawskim, rozmawiali z przejęciem, niektórzy kończyli palić ostatnie papierosy. Starsze kobiety z frasobliwą miną spoglądały na niewielką karteczkę

z zaproszeniem, programem prelekcji i informacją o wystawie. Temat był przecież poważny.

Wnętrze sali kolumnowej wypełniło się gośćmi. Na krzesłach siedzieli profesorowie, studenci, dyrektorzy muzeów, byli więźniowie z klubu Oświęcimiaka, ich rodziny i przyjaciele. Wszyscy przyszli na to jedno wydarzenie, o którym na uniwersytecie mówiono od miesięcy. Szmer rozmów stopniowo cichł, aż w końcu zapanowała głęboka cisza pełna oczekiwania.

Greta stała przy samym wejściu. Przed nią rozpościerał się widok, który zapierał dech w piersiach. Przestrzeń nie tylko zachwycała architektoniczną harmonią – można w niej było poczuć ducha historii – lecz także była miejscem, gdzie czas wydawał się płynąć wolniej. Już od progu wzrok przyciągał rytmiczny szereg smukłych zielonych kolumn, które podtrzymywały wysoki sufit, zdobiony subtelną sztukaterią. Światło wpadało przez łukowate okna, rozlewając się miękko po podłodze. Greta poczuła spokój i powagę. Tu każde słowo i każdy dźwięk miały zabrzmieć donośniej i głębiej.

Dla dziewczyny było to symboliczne podwójnie. Przede wszystkim przyszła tu dla Letycji, by dokończyć jej opowieść, ale myślała także o swoim życiu. Ten rok akademicki był ostatnim, tak jak sobie obiecała. Musiała i chciała iść dalej. Spoglądając na przestrzeń, przypomniała sobie o tych wszystkich minionych wiekach, studentach i profesorach, którzy tu kiedyś zasiadali. Teraz to ona przemówi, ale nie swoim głosem, tylko głosem kobiety, która przeżyła niemiecki obóz koncentracyjny Auschwitz-Birkenau. A symbolicznie głosem wszystkich ludzi, którzy się tam znaleźli, niezależnie od tego, czy przeżyli, czy nie.

Na mównicę wszedł właśnie doktor Kurowski. Poprawił mikrofon, spojrzał na publiczność, a potem rzekł z ciepłą dumą:

– Szanowni państwo, mam zaszczyt zapowiedzieć osobę, która przypomniała nam, że historia to nie tylko daty i bitwy. To człowiek. To wybory, które kosztują wiele, czasami nawet życie. To pamięć, która boli, ale też ulecza. Greta Sarnowska przedstawi dziś pracę, której nie można przeczytać bez wzruszenia i której nie da się zapomnieć. Jak i kobiety, bohaterki opowieści.

Drzwi sali otworzyły się cicho. Greta weszła niepewnym krokiem. Ubrana skromnie w granatową sukienkę, którą zresztą pomagała jej wybrać kilka tygodni temu Letycja. Włosy upięła w luźny kok. Szła niespiesznie środkiem sali, a jej krok nagle zwolnił jeszcze bardziej. Do kartki, którą trzymała w dłoni, przypięta była mała fotografia – czarno-białe zdjęcie: uśmiechnięta Letycja z klaczą Dionizją. Greta przystanęła. Zamrugała szybko, próbując zatrzymać napływające łzy. Przez moment wszyscy zamarli razem z nią. Szukała wzrokiem pokrzepienia, tych jednych oczu, i wreszcie je znalazła. Hubert patrzył na nią ze spokojem. Wyglądał bardzo elegancko w czarnym garniturze i białej koszuli. Posłał jej jeden uśmiech i tyle wystarczyło, by ruszyła dalej.

Weszła na scenę. Stanęła przy mównicy. Popatrzyła na zgromadzonych. Głos jej drżał, ale niósł w sobie siłę, której nauczyła się od Letycji.

– To spotkanie miało wyglądać inaczej – zaczęła cicho. – Miała być z nami niezwykła kobieta. Kobieta, której opowieść pokaże państwu, że historia jako nauka to nie tylko

przeszłość, ale też teraźniejszość, że my jako ludzie w każdej sekundzie tworzymy nową historię. Być może zapamięta nas szerokie grono i napiszą o nas w książkach, a może będziemy tylko i aż najważniejszą historią dla drugiego człowieka. Historia to człowiek. Ludzki los: pełen emocji, wyzwań, radości i smutków. Letycja Różańska to kobieta niezłomna, energiczna, inteligentna i bardzo wrażliwa, to przede wszystkim kobieta, która zmieniła mnie.

Po tych słowach na chwilę przerwała. Na sali panowała niczym niezmącona cisza, a Greta snuła opowieść, której sama stała się częścią. Tę myśl zachowała jednak dla siebie. Ludzie słuchali w bezruchu. Niektórzy płakali bezwiednie. Prezentacja zawierała fragmenty listów Letycji, zdjęcia z jej młodości, urywki wspomnień, cytaty z raportów i świadectwa. Na końcu dźwięk nagrania – Letycja, śmiejąca się krótko, mówiąca: „Pamiętaj, kochanie. Wiatr zawsze wie, gdzie wrócić”.

W przedsionku sali, w specjalnie przygotowanej szklanej gablocie, leżała książka. Miała zieloną, minimalistyczną okładkę. Napis głosił:

To, o czym warto pamiętać

autorki: Greta Sarnowska i Letycja Różańska

Obok, położony z szacunkiem i namysłem, stary pierścionek. Ten sam, który Letycja dostała od Karola w dzień, gdy znów ich życia splotły się w jedno. To był dzień, w którym jedna historia się kończyła, a druga zaczynała zupełnie od nowa.

Epilog

Czy drugi człowiek jest wart czyichś łez? Choćby był najlepszy... nie zasłużył na jeden z najczulszych darów, jakie można z siebie wydobyć. Łzy to nie tylko słone krople, to iskry emocji wypływające z wnętrza ludzkiej duszy. Nikt nie powinien ich wywoływać u drugiej osoby, a jeśli to robi, to znaczy, że na pewno nie jest ich wart... „Jeśli chcesz więc komuś ofiarować swoje łzy, zrób to tylko wtedy, gdy sama uznasz, że warto" – mawiała Emilia. „Jeśli one same się pojawią, jeśli pozwolisz im wzrastać pod powiekami, by potem swobodnie spłynęły na czyjeś dłonie, wtedy, Greto, wtedy właśnie zrozumiesz, że drugi człowiek był tego wart".

Od tamtej pory Greta nie płakała. Aż do chwili, gdy znów pokochała i kogoś straciła. Letycję. I jeszcze dziś. Ale teraz były to łzy wzruszenia, bo właśnie odzyskała siebie. Na czułe łzy, które spoczną w czyichś dłoniach, jeszcze przyjdzie czas.

Hubert czekał na jej powrót w Warszawie. Ona nie wiedziała jednak, czy w ogóle chce tam wracać. Może to on będzie musiał wyruszyć w podróż do niej... Ale był na to gotowy.

– Pieprzyć to! Greta wróciła! – szepnęła w duchu, uśmiechnęła się do siebie i pewnym krokiem weszła w głąb lasu.

Dionizja czekała już na nią u podnóża gór. Dziewczyna dosiadła klaczy i ruszając z wolna, wzniosły się obie na polanę. Z niej już można było dostrzec panoramę Gór Stołowych. Pyszniły się nad rozległymi łąkami. Ten sam widok, który niegdyś na własne oczy zobaczyła Letycja. Dionizja czytała Grecie w myślach. W tej chwili zerwała się i galopem popędziła w stronę Pasterki otwartą łąką falujących traw.

Podziękowania

Ta książka ma wyjątkowe podziękowania, bo cały ostatni rok był dla mnie właśnie taki – wyjątkowy. Nie jest tajemnicą, że wiele w moim życiu się zmieniło w ostatnim czasie – na lepsze. I jestem świetnym dowodem na to, że transformacje są niezbędne i wychodzą na dobre, jeśli umiemy wykorzystać pojawiające się okoliczności. I jeśli je zrozumiemy. I o ile wyniesiemy z tego, co nas spotyka, mądrość. I jeszcze, jeśli w chaosie odnajdziemy siebie. Bo wtedy odnajdziemy też sens wszystkiego. Z trudnych sytuacji, które trudne są tylko na pozór, można podnieść się silniejszym i świadomym. O tym musi pamiętać każdy człowiek. Już wiem, że nie ma takiej rzeczy, która mogłaby zniszczyć sens naszego istnienia. W jakimś stopniu może nas na chwilę osłabić, może mocno testować, ale ostatecznie to wszystko niesie dobro.

Nie chcę brzmieć, jakbym snuła psychologiczne mądrości, choć zapewne taki to będzie miało wydźwięk, ale faktem jest, że jeśli ukochamy siebie, to zaczynamy przyciągać to, co dobre i kochane. Dopiero gdy kochamy siebie, jesteśmy w stanie kochać kogoś lub coś poza sobą. Przez wiele lat zapominałam o miłości do siebie samej. Zapomniałam o akceptacji, docenieniu, dowartościowaniu siebie. Ciągle skupiałam się na innych, nigdy na sobie. To się zmieniło. Umiem, wreszcie, to zrównoważyć. Uwielbiam obdarowywać

ludzi dobrem, ale nie zapominam, że sama też na to dobro zasługuję. I każdy człowiek powinien o tym pamiętać – że zasługujemy wszyscy na szczęście.

Pierwsze podziękowania w odniesieniu do tej powieści należą się zatem mnie! Uśmiecham się, pisząc te słowa, bo nieczęsto w życiu dziękowałam sobie. Ale tak – jestem wdzięczna, że dałam radę napisać tę powieść i że z pełną determinacją ją ukończyłam. A pisana była w momentach, gdy w moim domu rozbrzmiewał zarówno krystaliczny śmiech, jak i płacz. Ale o tym za chwilkę.

Znajdą tu Państwo wiele moich przemyśleń i własnych doświadczeń, choć największym plusem tej książki jest jednak to, że tak Letycja, jak Greta zostały ulepione z łącznie dwudziestu czterech historii – dwunastu Letycji i dwunastu Grety – ze znalezionych prawdziwych wspomnień i rozmów. Na potrzeby stworzenia bohaterek rozmawiałam więc z oficjalnie anonimowymi kobietami, które przetrwały wojnę, i kobietami, które w dzisiejszych czasach przeżyły piekło na ziemi w różny sposób. Bo były to kobiety po dużych problemach finansowych, kobiety zdradzone, porzucone, samotne, bite, takie, które doświadczyły poważnych chorób lub śmierci kogoś bliskiego. Te dwadzieścia cztery prawdziwe historie, po dwanaście dla każdej z bohaterek, pomogły mi stworzyć Letycję i Gretę: kobiety z krwi i kości. Z prawdziwymi emocjami, rodzącymi się w bólu i strachu. Czujące też radość i spełnienie. One pokazały mi, czym jest przemiana, której każdy z nas może dokonywać codziennie na nowo. I za to bardzo dziękuję moim anonimowym rozmówczyniom – choć myślę, że w obszarze spraw

wojennych odkryjecie kilka prawdziwych sylwetek, ponieważ znacie już niektóre z nich z moich poprzednich książek.

Ogromne podziękowania należą się mojemu wydawcy. Kochani wszyscy pracownicy wydawnictwa! Kochana Muzo! Basiu! Dziękuję za wyrozumiałość i cierpliwość, za wszelką pomoc i wiarę we mnie do końca, wszak książka dotarła – pierwszy raz w moim życiu – bardzo długo po terminie. Dziękuję, że we mnie wierzycie i nie zostawiliście mnie w tym roku, gdy naprawdę potrzebowałam czasu, musiałam się uporać z problemami w życiu osobistym i zawodowym. Jesteście ze mną od pierwszej książki i to też dzięki Wam powstają coraz to nowe wspaniałe projekty. Cieszę się, że Was mam!

Teraz będzie bardzo osobiście i zapewne dla wielu podziękowania te będą co najmniej tajemnicze.

Dziękuję moim rodzicom, bez których bym sobie nie poradziła. Cokolwiek bym tu nie napisała, by Wam podziękować, to i tak będzie za mało. Kocham Was. Jesteście najlepsi! Tata mówi, że jestem córeczką tatusia, mama, że jej wojowniczką. Tak. Zdecydowanie jestem tym i tym. A w rodzicach mam swoich przyjaciół. Za cierpliwość do mnie, za znoszenie mojego totalnego marudzenia, za kilogramy truskawek i wyjścia w góry. Za wsparcie zawsze. Za miłość. Dziękuję.

Pragnę też podziękować mojej najbliższej rodzinie: Eli, Monice, Kornelii, Ewie i Patrykowi – bez Was wszystkich byłoby ciężko łapać kolejne dni. A Wasza obecność sprawiała, że mogłam wreszcie szukać uśmiechu w codzienności.

Dziękuję Ani Piotrowskiej, mojej przyjaciółce, mojej sis – za osobiste rozmowy i obecność. Za tę pierwszą wędrówkę w Góry Stołowe, a potem wiele kolejnych. Za jagodowe bułki, za herbaty na skałach, za organizację jednego z najważniejszych wieczorów autorskich w moim życiu. Przeszłyśmy razem wiele kilometrów. To były kilometry rozmów. Aniu, gdyby nie Ty... byłaś od początku do końca. I jesteś nadal, i bądź, i za to Ci dziękuję. W dwa tysiące dwudziestym piątym roku odrodziłam się również dzięki Tobie.

W schronisku PTTK pod Muflonem zostaje jakaś część mojego serca. To miejsce stało się dla mnie schronieniem w przenośni i dosłownie. Idźcie tam! Schronisko ma wyjątkowy klimat i leczy serca. Madzi i Sebastianowi, i całej ekipie – dziękuję!

Tak samo chcę podziękować Agacie Rutowicz – za wszystkie wspólne wieczory i rozmowy. Wierzę, że święty Florian pamięta też o mnie. To takie symboliczne!

Oldze Gilarowskiej, bo nam też nie zabrakło rozmów i gór, i gazowanej wody z kubeczków, które niosłaś dla nas w plecaku. I wielu innych sytuacji, które już zostaną dla nas jako piękne i zabawne wspomnienia.

Radosławowi Radzimowskiemu – za pomoc i wsparcie, a znamy się już od przedszkola – serdecznie dziękuję.

Celestynie Nowickiej, która dobrym i ciepłym słowem koiła moją duszę...

Szczególne podziękowania kieruję do mojej kochanej sąsiadki Beaty. Cóż, można byłoby to nazwać przeznaczeniem, że zamieszkałyśmy obok siebie. Jesteś,

Beatko, moją bratnią duszą. Wiele dobra wydarzyło się w moim życiu dzięki Tobie i Twojemu mężowi Robertowi.

Nie mogłabym zapomnieć o moim osobistym „sztabie zarządzania kryzysowego", o wspaniałych koleżankach z pracy: Dorotce Wiglińskiej, na której zawsze mogę polegać, o wspaniałych Magdalenie Bloch, Kamili Drofiszyn, Roksanie Rataj i Agacie Zdeb. A także Magdalenie Knap, z którą tak wiele mnie połączyło – m.in. „anielskie" pióra. Dziękuję, że mogę na Was zawsze liczyć. Nie spodziewałam się, że gdy zyskam pracę, o której marzyłam – w szkole – to przy okazji wielkim darem i skarbem będzie poznanie Was.

Ludziom dookoła, którzy okazali się aniołami w moim życiu i ofiarowali mi wiele swojej troski, bezinteresownie, naprawdę! Są to ludzie ode mnie ze szkoły, z życia czytelniczego, ludzie spotkani na mojej drodze, wydawać by się mogło – przypadkowo, a ja wierzę, że tak właśnie miało być. Nie spodziewałam się tak ogromnego zaangażowania i wsparcia. Zatem, dobry człowieku, jeśli czytasz te zdania i wiesz, że w najmniejszej choćby sprawie mi pomogłeś, to uwierz, że ja pamiętam i że jestem wdzięczna.

Przyjacielowi od świętego Huberta, którego wsparcie towarzyszy mi przez całe życie. Bardzo je cenię.

Serdeczne podziękowania dla kolejnych aniołów w moim życiu – Magdy i Jakuba Kordelów.

Dziękuję Małgorzacie Szyndlarewicz, Sylwanie Zygmunt, Weście Kowalskiej, Dominice Kus, Kindze Juśkowiak, Agnieszce Mathias, Magdalenie Całej – za słowa i obecność przede wszystkim.

Wszystkim, którzy czekali na tę książkę i którzy kiedykolwiek napisali lub powiedzieli do mnie dobre słowo – z całego serca dziękuję. Niech Wam się szczęści po stokroć. Bo przecież dobro to tak wyjątkowe pojęcie, że dzielone się mnoży!

Uratowali mnie ludzie.

Uratowały mnie góry.

Jeśli ktoś będzie szukał mojego serca, to znajdzie je na szlakach Gór Stołowych. O tym będzie jedna z kolejnych powieści: o górach, o uczuciach i o ścieżkach, które trzeba przejść, by znaleźć się w odpowiednim miejscu, by być szczęśliwym. Już dziś ją polecam.

Serdecznie zapraszam Państwa do obserwowania moich mediów społecznościowych, gdzie znajdą Państwo na bieżąco wszystkie informacje o nowościach literackich i spotkaniach autorskich, a także ciekawostki dotyczące moich książek:

Facebook/Instagram @sylwiawinnikofficial, ale też na konto na TikToku/Instagramie – Baba na Szlaku, na którym dzielę się swoim sercem i podpowiadam, gdzie iść w góry!

PRZYPISY

1 W wielu kulturach (w tym również w ludowych wierzeniach w Polsce) ćma – szczególnie biała – bywa uważana za symbol duszy zmarłego, który wraca, by się pożegnać lub czuwać nad bliskimi [wszystkie przypisy pochodzą od autorki]. [wróć]

2 Jej historię można poznać w książce *Dziewczęta z Auschwitz*. [wróć]

3 19 lipca 1943 – data największej publicznej egzekucji w Auschwitz-Birkenau. W odwecie za ucieczkę kilku więźniów i za kontakty z ludnością cywilną esesmani powiesili na szubienicy dwunastu więźniów Polaków. [wróć]

4 W żargonie obozowym – zupa. Była to woda gotowana m.in. z pokrzywami, obierkami lub zgniłymi warzywami. [wróć]

5 Komando więźniów wychodzące do pracy poza obóz. [wróć]

6 Plac apelowy – teren w obozach koncentracyjnych, gdzie więźniowie byli codziennie ustawiani w szeregi do apelów (niem. *Appell*), czyli zbiórek. [wróć]

7 Więźniowie w Auschwitz (i innych niemieckich obozach koncentracyjnych) otrzymywali skrajnie niedoborowe

racje żywnościowe, które miały na celu wyniszczenie organizmu i pozbawienie sił do oporu. [wróć]

8 W żargonie obozowym tak nazywano człowieka w ostatnim etapie życia, umierającego z wygłodzenia. [wróć]

9 Pod koniec 1943 r. utworzono odrębne baraki dla dzieci powyżej dwóch lat, w których warunki nie różniły się niczym od warunków w barakach przeznaczonych dla dorosłych. Nawet niemowlętom władze obozowe nie przydzielały mleka ani odpowiednich posiłków, czym skazywały je na śmierć głodową. [wróć]

10 Więźniowie otrzymywali rano pół litra „kawy" lub „herbaty", nie miały one jednak nic wspólnego z prawdziwymi napojami, ponieważ porcja zawierała zagotowaną wodę z namiastką kawy zbożowej lub wywaru z ziół. Napój nie był słodzony. Rano otrzymywali tylko napój, na obiad niskokaloryczną zupę (około 1 litra), gotowaną na ziemniakach, brukwi oraz na niewielkiej ilości kaszy jaglanej, mąki żytniej, ekstraktu spożywczego „Avo". Często, co wiemy z podań więźniów, w lurze obozowej znajdowały się zgniłe obierki, liście drzew lub pokrzywy. Na kolację więzień otrzymywał ok. 300 gramów czarnego chleba, do którego dodawano ok. 25 gramów kiełbasy lub margaryny. Czasami była to łyżka stołowa marmolady czy sera. [wróć]

11 Dziewczynka o imieniu Helenka nigdy nie została zapomniana. Jej postać pojawia się we wspomnieniach Barbary Donieckiej, ponieważ to ona opiekowała się nią do ostatniej chwili. Pani Barbara niemal każdego roku

dwudziestego siódmego stycznia zapala znicz i zostawia aniołka na koi, na której spały. [wróć]

12 Nowo przybyły więzień do obozu. [wróć]

13 Tak wspominała to pani Wiesława Gołąbek, była więźniarka KL Auschwitz-Birkenau. [wróć]

14 Potoczna nazwa kompleksu magazynów w Auschwitz-Birkenau, gdzie więźniarki pracowały przy sortowaniu rzeczy osobistych odebranych osadzonym. Choć warunki nadal były tragiczne, Kanada uchodziła za jedno z lepszych miejsc pracy, w którym więźniowie mieli okazjonalny nielegalny dostęp do jedzenia i ubrań. Kanada dawała też inne możliwości przeżycia. [wróć]

15 Termin „transporty specjalne” w kontekście obozu Auschwitz odnosi się do deportacji więźniów, które często kończyły się natychmiastową egzekucją lub były związane z tajnymi operacjami SS. Chociaż w oficjalnych dokumentach rzadko używa się tego określenia, istnieją źródła historyczne, które opisują powyższe transporty. [wróć]

16 W Kanadzie trafiały się najbardziej zaskakujące przedmioty: biżuteria, pudernice, perfumy, jedwabne ubrania i wiele innych. Informacje o tym można znaleźć w zbiorach Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau – wiele z tych przedmiotów zachowano i udostępniono w ekspozycjach muzealnych. Potwierdzają to relacje więźniów z Kanada-Kommando, m.in. Filipa Müllera, Anny Heilman, Zofii Posmysz, i raporty z procesu załogi Auschwitz (np. proces Hössa i personelu SS w Krakowie, 1947). [wróć]

17 Chociaż nie ma udokumentowanych przypadków publicznych egzekucji bezpośrednio przy ulicy Długiej 7, to w jej pobliżu, przy pałacu Raczyńskich (Długa 7), znajdują się wyraźne ślady po kulach z okresu powstania warszawskiego. Obok jest dawna siedziba gestapo i miejsce przesłuchań – stąd intensywność ostrzału w czasie powstania warszawskiego. [wróć]

18 Więźniowie często potajemnie gromadzili się, by w ramach przedstawień lub kabaretów wyśmiewać swoją tragiczną sytuację. W taki sposób, poprzez artyzm i dystans do tragicznej sytuacji, radzili sobie z traumą. [wróć]

19 Została rozstrzelana 28 sierpnia 1946 r. o godzinie 6.15 rano w Gdańsku, razem z Feliksem Selmanowiczem „Zagończykiem". Jej ostatnie słowa do oprawców brzmiały: „Niech żyje Polska!". [wróć]

20 Imię Dionizja pochodzi od greckiego *Dionysios*, co oznacza dosłownie „należąca do Dionizosa" lub „poświęcona Dionizosowi". Dionizos (w mitologii greckiej) był bogiem wina, radości, dzikiej natury, ekstazy, ale też odrodzenia i przemiany. Z tego powodu imię Dionizja symbolizuje wolność, instynkt, siłę natury, radość życia i duchową przemianę. [wróć]

21 Nawiązanie do imienia Małgorzata, które oznacza perłę. Często łączone z osobą, która ma twardą skorupę, ale miękkie serce. [wróć]

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
Prolog
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Epilog
Podziękowania
PRZYPISY